

SZANSE KANDYDATA PIS NA PREZYDENTA

**Zalety i wady Karola Nawrockiego
- oceniają Semka, Ziemkiewicz, Warzecha**



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 49/607 2-8 GRUDNIA 2024
CENA 11,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**Wojna na Ukrainie
umocniła pozycję Łukaszenki
wśród Białorusinów**



**WESTERPLATTE RODZICÓW!
MANIFEST
MAGDALENY CZARNIK
PRZECIW SEKSUALIZOWANIU
DZIECI PRZESZ EKIPE
MINISTER NOWACKIEJ**

**Niegdyś agresywna feministka
przeprasza za zbezczeszczenie
katedry Notre Dame**

Janusz Korwin-Mikke w rozmowie z „Do Rzeczy”: JAK SIĘ GRA GŁUPOTĄ POLAKÓW



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 46 500 egzemplarzy

eprasa.pl 93cebe61ae



**WSZYSTKO CO WAŻNE
DLA POLSKI W UE:
AKTUALNOŚCI, KOMENTARZE,
CODZIENNIE NA MOICH KANAŁACH**



@PatrykJakiPL



@PatrykJaki



@PatrykJaki



@patrykjaki_official



@patrykjakiofficial

Zapraszam na
Konferencję na żywo:

**„Wyzwania
związane
z Zielonym
Ładem”.**

**7 grudnia
od godz. 12:00**





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zatrute dary z Moskwy

Grzegorz Braun ma rzadką zdolność wkładania kija w mrowisko. Występuje często bardziej w roli prowokatora, któremu udaje się wywołać potrzebną dyskusję, niż po prostu polityka. On pierwszy konsekwentnie wskazywał na absurd polityki covidowej, podobnie to on rzucił hasło o zagrażającej Polsce ukraińskiej, a także konsekwentnie wskazywał na niedającą się usprawiedliwić formę działań Izraela. A jednak jego ostatni wpis, z którego wynika, że polscy państwowcy mieliby na poważnie (w domyśle: z aprobatą) rozważać plany rozbioru zachodniej części Ukrainy, uważam za strzał kulą w płot. I to nie z powodów sentymentalnych, uczuciowych, ale właśnie państwowych. To, co europoseł Konfederacji nazwał pomysłem „godnym uwagi”, jest bowiem rozważaniem jałowym i dla polskiego państwa, dla jego racji stanu, szkodliwym.

Oczywiście cała dyskusja ma sens, pod warunkiem że polską politykę zagraniczną prowadzi elita zdolna do działań suwerennościowych, a więc wynikających z tego, czym jest polski interes narodowy, a nie, jak to wydaje się obecnie, różne koterie klienckie, wiszące na zmianę w kłamki a to Waszyngtonu, a to Brukseli. Otóż właśnie z punktu widzenia polskiej suwerenności projekt (jeśli jest to faktycznie projekt Rosji, a nie gra służb wywiadowczych) podziału Ukrainy na trzy strefy – jedną po prostu włączoną do Rosji, drugą jej podporządkowaną, a trzecią, zachodnią, do podziału między ewentualnych chętnych, Polskę, Węgry czy Rumunię – jest całkowicie niegodny uwagi. Jest tak z co najmniej czterech powodów.

Po pierwsze, uczestnicząc w przedsięwzięciu rozbioru Ukrainy, Polska występowałaby w roli państwa hieny, szakala, który żywi

się słabością i upadkiem drugiego, którego pokonał wielki drapieżnik. Tyle że, jak wiadomo, w polityce nic nie jest za darmo. Biorąc, co nie nasze, dzięki silniejszemu popada się natychmiast w dług, i to mając na karku nie wierzytelność wobec szacownej instytucji finansowej, ale wobec rekietera.

Po drugie, trudno byłoby pogodzić uczestniczenie w takiej operacji z członkostwem w NATO. Przynależność do Sojuszu nie jest dobrem bezwzględnym i samym w sobie, ale na razie żadna lepsza forma zapewnienia polskich interesów się nie pojawiła i nic nie wskazuje na to, by miała się ona pojawić w przyszłości. Trzeba ją szanować, co nie oznacza, że Warszawa ma po prostu ulegać i się podporządkowywać takim planom, które mogą być dla niej niekorzystne. Jednak nie można podejmować działań wobec polityki sojuszu nieprzyjrzynych.

Po trzecie, takie rozważanie rozbioru Ukrainy przez polskich „państwowców” oznaczałoby, że do listy historycznych problemów w relacjach z Kijowem dopisujemy jeszcze jeden. Już teraz wskutek różnych nieodpowiedzialnych gestów i wypowiedzi polskich polityków mogą Polsce grozić skutki ewentualnej ukraińskiej frustracji w przypadku przegranej wojny z Rosją. Dodawanie do tego „godnych uwagi” refleksji nad zajęciem części terytorium ukraińskiego to zabawa zapalkami w prochu.

Po czwarte wreszcie, nie trzeba bogatej wyobraźni, żeby zobaczyć, jakie katastrofalne skutki pociągałyby za sobą przejęcie kontroli nad częścią zachodniego terytorium Ukrainy przez Polaków. Mieszka tam najbardziej narodowościowo dojrzała grupa ludności. Jak pokazują doświadczenia ostatnich lat, nad wrogo nastawioną grupą etniczną nie da się skutecznie sprawować nadzoru bez użycia

przemocy na wielką skalę. Czyżby Grzegorz Braun chciał nam zafundować u granic Polski drugą Strefę Gazy? Dziękuję bardzo. Jest prawdą, że obserwując polskie reakcje na wojnę na Ukrainie, Polacy mają skłonność rzutowania swojej świadomości na Ukraińców. Często myślą o Ukrainie, jakby była ona, tak jak Polska, państwem jednolitym etnicznie, i nie dostrzegają, że znacząca część ukraińskich obywateli z terenów wschodnich z przyczyn kulturowych, językowych i historycznych orientowała się na Rosję. Odwrotny błąd mogą popełnić ci, którzy przechodzą do porządku dziennego nad autentycznymi niepodległościowymi aspiracjami Ukraińców.

Wniosek z tego wszystkiego jest jasny: Polska powinna trzymać się od bezpośredniego udziału w wojnie jak najdalej. Niezależnie od tego, czy zaangażowanie proponują nam sojusznicy z NATO czy niesojusznicy ze Wschodu, polscy państwowcy nie powinni dać się wciągnąć i uwikłać w żadne gry, które mogłyby być szkodliwe dla obecnego (a nie wyimaginowanego) polskiego narodu. Chociaż można sobie wyobrazić, że wskutek wojny Polska będzie graniczyła w większym stopniu z obszarem podległym Moskwie, to istnienie osobnej, niepodległej Ukrainy oddzielającej nas od Rosji leży w polskim interesie i na pewno nie wolno przykładać swojej ręki do planów, które mogłyby ją zniszczyć.

Dziwne, że poseł Konfederacji, skądinąd przecież człowiek ocytany, zapomniał klasycznej przestrogi: „Timeo Danaos et dona ferentes” („Wstrzegam się Greków, nawet gdy przynoszą dary”). Te słowa z „Eneidy” powinny być przestroga dla polskich państwowców, których do działania popycha rozpalona wyobraźnia. ©

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z JANUSZEM KORWIN-MIKKEM
**GROZI NAM, ŻE POPEŁNIMY
TEN SAM BŁĄD, CO W 1939 R.**
Jak się gra głupotą Polaków

KRAJ

20 KAROL GĄC
MISJA: NAWROCKI
Szanse kandydata PiS na prezydenta

22 PIOTR SEMKA
WSZYSTKO PRZED NAWROCKIM.
SPORO PRACY TEŻ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PODWÓJNY FALSTART

26 ŁUKASZ WARZECHA
NAWROCKI TO WIELKA NIEWIADOMA

28 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
BIERZCIE, TO WASZE!

30 RADOŚLAW WOJTAS
POWODZIANIE NA ŁODZIE

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
POWRÓT ZIELONEGO KSIĘCIA
Dzieło życia Pücklera

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – ANDRZEJ SIKOROWSKI

38 PIOTR GOCIEK
JAK ZABIĆ BESTSELLER

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 LECH MAŻEWSKI
**CORAZ GORĘCEJ
NA GASNĄCEJ WOJNIE**
Największy konflikt od 1962 r.

48 ROBERT BOGDAŃSKI
JASNIEJĄCE MIASTO NA WZGÓRZU

51 MAGDALENA CZARNIK
WESTERPLATTE RODZICÓW

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
SYNODALNY „KINGMAKER”
KARDYNAŁ RYŚ

HISTORIA

56 ROZMOWA Z LIDIĄ SADKOWSKĄ-MOKKAS
ZAPISANI W OKUPACJI
Literaci w okupowanej Warszawie

ŚWIAT

60 KRYSZTOF KRATIUŁ
CZY ŚWIAT KATEDR ISTNIEJE?
Powrót katedry Notre Dame

64 WOJCIECH GOŁONKA
**PRZEPROSINY ZA ATAK
NA NOTRE DAME**

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
„BAĆKA” TRZYMA SIĘ MOCNO

69 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
UCIECZKA PRZED TRUMPEM

EKONOMIA

72 JAKUB WOZIŃSKI
MAKE VOLKSWAGEN GREAT AGAIN
Niemiecki interes ważniejszy od planety

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), POSPIESZAŁSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabyel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabadzki, Marek Jurek,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharzyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygadlo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto**
Okładka: **Krzysztof Maj/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

To nasze dzieci

Szanowni Państwo,
w mediach, wśród znajomych, w rodzinie toczą się dyskusje o fatalnym stanie psychicznym dzieci i młodzieży. Rozmawiają rodzice, urzędnicy, pedagodzy, psychologowie, nauczyciele. Narzekają, że dzieci są niezaradne, że młodzi nie chcą mieć dzieci, że myślą tylko o sobie. Głowią się nad przyczynami. Za dużo przemocy i seksu w filmach, za dużo czasu przed komputerem. Apelują o większą liczbę terapeutów.

Nowe kierownictwo GUS prezentuje już właściwe podejście do wskaźników ekonomicznych za rządów Tuska



A przecież te dzieci nie spadły z nieba. Są nasze. To nie one wymyśliły 57 pici, choć widać tylko dwie, nie one są twórcami filmów i gier komputerowych, nie one wieszczą koniec świata, bo „Ziemia płonie”, nie one zamykają nas w domu z powodu morderczego wirusa itd. Nie one nam, tylko my im opowiadamy takie historie, wprowadzając atmosferę zagrożenia i zagubienia.

Na leki natury ogólnej nakładają się także osobiste. No bo jak tu nie popaść w przygnębienie, skoro właśnie rodzice chodzą na marsze proaborcyjne i tańczą proaborcyjnego poloneza. Pytanie, czy jest się chcianym i kochanym dzieckiem czy tylko takim, którego nie usunęło się przez przypadek, nasuwa się samo.

Tak naprawdę nie o młodzież należy się martwić, lecz o rodziców. Właściwie powinno się ich poddać terapii i leczeniu farmakologicznemu. Może uda się ich przekonać, żeby przestali straszyć.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Co miał w głowie pan Hołownia?

Szanowna Redakcjo,
jakiś czas temu panujący nam marszałek Sejmu, pan Szymon Hołownia, raczył być zażartować, że w wypadku zwycięstwa niewłaściwego kandydata na urząd Prezydenta RP mógłby nie uznać stwierdzenia Sądu Najwyższego o ważnym wyborze (kto mu zabroni?) i sam ogłosić przejęcie tej funkcji „ha, ha, ha...”. Któż może wiedzieć, czy to tylko żart pana marszałka czy też jakiś wariant rozważany przez rządzących?

Myślę jednak, że kij ma dwa końce. Można wyobrazić sobie sytuację, w której po wygranej pretendenta obozu władzy Sąd Najwyższy nie wydaje żadnego orzeczenia. Uzasadniając to np. tym, że wszystkie jego dotychczasowe orzeczenia powinny być najpierw uznane i zrealizowane przez rządzących. W przeciwnym wypadku nie widzi powodu, aby

to robić. Czy to łamanie konstytucji? Nie mam pojęcia. Ale jakie to ma znaczenie, skoro panuje aktualnie doktryna, że obowiązuje takie prawo, jak „my je rozumiemy”? Czy w takim wypadku pan Hołownia też przejąłby prezydencką władzę? A może nie byłoby w ogóle prezydenta lub prezydent nie do końca legalny? [...]

Z poważaniem
Leszek Sebesta

Wyjaśnienie

W artykule Roberta Bogdańskiego pt. „Ostatni szczyt?” („DRz” nr 48/2024) błędnie podaliśmy imię i wiek 13-letniej Licyprii Kangujam.

Za powstały błąd przepraszamy.

Redakcja



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Blisko, coraz bliżej

Trzydziestojednoletnia pasażerka autobusu w Berlinie podsłuchiwała rozmowę 59-letniej pasażerki z jej 58-letnią towarzyszką podróży, podczas której padły homofobiczne wypowiedzi. 31-latką zdecydowała się następnie sfilmować (komórką) rozmowę – informuje dziennik „Berliner Zeitung”. „Kiedy 59-letnia pasażerka zauważyła, że jest filmowana, zareagowała obelgami, pokazała 31-latce środkowy palec i poczyniła podburzające komentarze. 59-latką wysiadła z autobusu na Schweinfurthstrasse. Zaalarmowani policjanci aresztowali dwie pasażerki, ale zwolniono je po ustaleniu ich danych osobowych [...]. Wobec 59-letniej kobiety prowadzone jest śledztwo w związku z podejrzeniem o sianie nienawiści”.

Tego typu historie pojawiają się co pewien czas w polskich mediach jako ilustracja nowych, drakońskich przepisów o mowie nienawiści na Zachodzie. Dotąd wielu Polaków traktowało takie historie jako rzeczowość bulwersującą, ale wciąż nieco egzotyczną. Niedługo może

się to zmienić. Rząd Donalda Tuska przyjął właśnie projekt reformy Kodeksu karnego, który wprowadzi ostre kary m.in. za „homofobiczną mowę nienawiści”. Nowy projekt autorstwa Ministerstwa Sprawiedliwości zakłada surowe kary za przestępstwa podszyte nienawiścią ze względu na czyjaś płeć, orientację, wiek czy niepełnosprawność. Teraz zajmie się nim Sejm.

Dotąd karom podlegali sprawcy przestępstw popełnianych m.in. ze względu na czyjaś przynależność narodową, etniczną, rasową czy wyznaniową. Nowelizacja resortu Adama Bodnara poszerza katalog przesłanek o niepełnosprawność, wiek, płeć i orientację seksualną. Przestępstwa motywowane uprzedzeniami (np. stosowanie przemocy lub groźby, publiczne znieważenie lub naruszenie nietykalności cielesnej, nawoływanie do nienawiści) będą ścigane z urzędu. Za stosowanie przemocy lub groźby grozi kara więzienia od trzech miesięcy do pięciu lat. Za publiczne nawoływanie do nienawiści – kara pozbawienia wolności do trzech lat, a za publiczne znieważenie – grzyw-

na lub kara więzienia do dwóch lat. Praktyka stosowania podobnych przepisów, np. w Wielkiej Brytanii czy Kanadzie, wskazuje, że karaniu z urzędu zaczynają podlegać wypowiedzi dotąd traktowane jako element wolnej debaty publicznej. Głównie opinie krytykujące politykę grup LGTB+ i lansowanych przez nie zmian w prawie.

Czy projekt ministra Bodnara ma szansę na wejście w życie? Platforma, Trzecia Droga i Lewica już zapowiadają pełne poparcie dla projektu. Dyskusja ma dotyczyć szczegółów. W obozie koalicji pewne głosy rezerwy dobiegają jedynie z obozu PSL. A PiS i Konfederacja, krytyczne wobec zmian, są w mniejszości. Na razie spora część Polaków nie rozumie możliwych konsekwencji takich zmian w prawie. Do końca swej kadencji blokować je będzie prezydent Andrzej Duda. Ale co będzie potem? To kolejne przypomnienie, jak wielka jest stawka przyszłorocznej prezydenckiej rywalizacji. Dochodzimy do ściany. Aksamitny zamordyzm puka do drzwi. © ©

BYŁY SZEF SLD ZATRZYMANY

W środę 27 listopada CBA zatrzymało w Warszawie, Radomiu i w Zgierzu sześć osób. Wśród nich Wojciecha Olejniczaka, byłego szefa SLD, byłego ministra rolnictwa. Sprawa ma związek z finansowaniem Zakładów Mięsnych Henryka Kani. Podejrzanym przedstawiono łącznie 10 zarzutów. Mają one związek z działaniem na szkodę Alior Banku SA, którą szacuje się obecnie na 161 mln zł. Chodzi o udzielanie kredytów na podstawie dokumentów poświadczających nieprawdę. (raw) © ©



FOT. KRYSZTAŁ DOBUSZYŃSKI/REPORTER

Jak wiadomo, osoby kandydujące na stanowisko osoby głowy państwa mają w naszej rubryce specjalny status. Ten zaś przejawia się prawem do podwójnego imienia. Zatem informujemy, że o schedę po Andrzeju Sebastianie walczą Karol Tadeusz, Rafał Kazimierz oraz Szymon Franciszek. Karol Tadeusz mógłby też w sumie mieć dodatkowo ksywę, związaną z tym, że jest kandydatem obywatelskim: Obywatel Karol.

Siedemnastu wspaniałych – tylu liczy sztab wyborczy Karola Nawrockiego. Ale czy ma wśród nich prawdziwych przyjaciół? Okazuje się, że tak. Jednego. To Jan Kanthak, druh serdeczny Karola Tadeusza jeszcze z Trójmiasta. Było ich trzech, niczym trzech muszkietierów: Nawrocki, Kanthak i Rabenda. Swoją drogą Rabenda to też Karol. Ale jego w sztabie nie ma.

Jeszcze wgląd za kuliszy wyboru kandydata. Do ostatniej chwili trwały zabiegi, żeby startował jednak Czarnek. Wspierała go silna koalicja: Witek, Ziobro, Sasin, Błaszczak, Kurski. Prezes Naczelnik podjął jednak inną decyzję. I to już jakiś czas temu, mówią wiewiórki, bo dobry tydzień przed imprezą w hali Sokoła w Krakowie. Przykazał wtedy, żeby z Nowogrodzkiej płynęły sygnały mylące: że w grze jest wciąż dwóch, pięciu, czterech kandydatów. No i płynęły.

Mało kto wie, że na własną rzecz lobbował jeszcze jeden chętny. Opowiemy o nim w formie pytań dziennikarskich. Czy to może być prawda, że mógł to być Radosław Piesiewicz, szef Polskiego Komitetu Olimpijskiego? Czy to prawda, że mógł on przybyć do Jarosława Kaczyńskiego w tej sprawie? Czy to prawda, że mógł on hipotetycznie obiecywać 100 mln na kampanię i poparcie Zygmunta Solorza? Ach, pytania, pytania – i znikąd odpowiedzi.

Tydzień temu z kolei informowaliśmy o plotkach na temat Rafała Brzosi, któremu marzyło się ponoć kandydowanie. Jest nowe info. Wiewiórki opowiadają, że sprawa była bardziej zaawansowana, niż się wydaje, bo po mieście chodzili podobno ludzie proponujący fachowcom pracę w jego sztabie

wyborczym, i to pracę na etacie. Kto bogatemu zabroni?

Skoro już o pytaniach: może pamiętacie, że zadawaliśmy je dwa miesiące temu na temat Szymona Hołowni i jego tęsknoty za wyższym wykształceniem. Pisaliśmy wówczas: „Czy to możliwe, że z pomocą miała mu przyjść znana z tego i owego uczelnia Collegium Humanum? Czy to możliwe, by w sprawie Szymona dwukrotnie rozmawiał z Pawłem Cz. przedstawiciel Szymonowej partii o jakimś popularnym imieniu, np. Michał?”. Bardzo się cieszymy, że temat podjęli dziennikarze „Newsweeka”. Lubimy być trendsetterami.

Szymon bardzo się oburzył publikacją „Newsweeka” i rzucił, że w koalicji będzie kryzys, „jeżeli służby za tym stoją”, bo „to będzie znaczyło, że to nie jest to, na co się umawialiśmy”. Bardzo jesteśmy ciekawi, na co się Szymon umawiał – i z kim. A propos jego tłumaczeń, że na uczelni nigdy nie był i nikogo tam nie zna, odpowiadamy pytaniem: A nie na tym właśnie miał polegać deal?

Czytelnikom w młodszy wiek przypominamy, że PO ma długą tradycję kasowania zbędnych kandydatów na prezydenta z konkurencyjnych ugrupowań. Ot, np. w 2005 r. sprawa Anny Jaruckiej, przez którą ustrzelono kandydaturę Włodzimierza Cimoszewicza. Rzecz nagłośnił wtedy nie to inny, jak Konstanty Miodowicz, taki pan z UOP i z Platformy.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie **g**

Skoro o lewicy. Za sprawą CBA i prokuratury sympatyczny dawny lider SLD Wojciech Olejniczak został tylko Wojciechem O. Jak to kiedyś pięknie powiedział w „Vivie!”: „Jestem ciekawy życia poza polityką. Ale też lekko przestraszony, bo to nowe wyzwanie”. No i wyszło na to, że było się czego bać.

Wiceministra sprawiedliwości Maria Ejchart (już nie Dubois), nosząca wdzięczną ksywę Wyłupiasta, sprawuje nadzór nad więziennictwem. Dokonała wizytacji na Kłęczkach. Tak starzy złodzieje nazywają osławiony Zakład Karny nr 1 przy ul. Kłęczkowskiej we Wrocławiu. Zostawiła tam niezatarte wrażenie na „gadach” (wbrew powszechnemu przekonaniu, że strażnicy w więzieniach określani są klawiszami, osadzeni nazywają ich właśnie „gadami”). Otóż w jednej z kanciap strażników ministra odkryła tablice z portretami najbardziej niebezpiecznych bandziorów mogących stanowić zagrożenie zarówno dla „gadów”, jak i innych osadzonych. Ministra zażądała zdjęcia tablicy, twierdząc, że taka ekspozycja może owych bandziorów niepotrzebnie stygmatyzować.

Jeszcze o więzieniach. Mało kto wie, że w Polsce trwa właśnie cicha, pełzająca amnestia. Nie została ogłoszona, ale jest faktem i z za krat wypuszczani są kolejni skazańcy. Nieoficjalnie słyszeliśmy, że na wolność wyjdzie aż jedna piąta osadzonych. Nieoficjalnie wiadomo też, że względy humanitarne są jedynie pretekstem. Rząd po prostu rozpaczliwie szuka oszczędności. No i ten bonus: przecież pod całą poparcie dla obecnie rządzących jest większe nawet niż wśród ludzi kultury.

Przewietrzenie więzień cieszy „gady”. Wiadomo – mniej osadzonych, mniej kłopotów. Natomiast prawdziwym przerażeniem napawa policję. Wyrokowcy, opuszczając więzienne mury, nie rozpylają się przecież w powietrzu. Wracają na swoje dzielnie. Jak mówi nasz znajomek z policji – na mój rewir trafiło kilku starych znajomych i skończyło się dolce vita. ©©

PŁYWANIE W KISIELU

Wszystko dla przedsiębiorców



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

Czy pamiętają państwo tę scenę z filmu „Dzień świra”, w której bohater odbiera pensję nauczyciela? „I oto mi płacą – jakby mi kto dał w pysk!” – wścieka się, patrząc, jak mizerną kwotę odlicza mu kasjerka. Przyznam, że podobnego uczucia doznałem, czytając, że rząd przygotował projekt zmniejszenia składki zdrowotnej od przedsiębiorców i samozatrudnionych. Przypomnę, że przywrócenie jej do wielkości sprzed ogłoszenia przez premiera Morawieckiego Polskiego Ładu było chyba najbardziej brzemienną w wyborcze zyski obietnicą Tuska.

I oto Tusk ją realizuje – zmieniając nieco sposób naliczania „składki” (biorę w cudzysłów, bo to przecież nie żadna składka, tylko

podatek celowy, naliczany od dochodu), tak że – uwaga! – niektórzy będą płacić nawet do 90 zł mniej niż po reformie Morawieckiego. Słownie: dziewięćdziesiąt złotych! Niektórzy. Z moich pobieżnych obliczeń wyszło, że to dotyczy tych, których składka przekracza obecnie 2 tys. zł miesięcznie. W większości wypadków obniżka wyniesie kilkanaście złotych, góra 30. Zresztą i tak nie wiadomo, czy projekt wejdzie pod obrady Sejmu, bo Lewica już podniosła krzyk, że nawet tak mizerna ulga pobawi budżet służby zdrowia, któremu i tak brakuje już 20 mld zł, kolejnych 2 mld.

Myszę, że ponad 2 mln przedsiębiorców i samozatrudnionych, które uwierzyły Tuskowi i jego koalicjantom,

jednak docenią łaskę pańską. To zresztą niejedyny dobrodziejstwo. Premier Tusk zapowiedział też, że stworzy zupełnie nową instytucję, która będzie walczyć z „szarą strefą”. Przez ostatnie 35 lat przećwiczono już dziesiątki sposobów walki z nią, ale Tusk wymyślił nowy: instytucja ta będzie „typować podatników do skontrolowania”. Same urzędy skarbowe tego nie potrafią? Pewnie nie, bo nie stosują właściwych kryteriów. A nowa instytucja będzie je znać – i, znając rządzącą ekipę, będą to kryteria polityczne. Podskakujesz rządowi, PO, samemu Tuskowi? No to już jesteś „wytypowany”, spodziewaj się kontroli skarbowej w ramach trzepania „szarej strefy”. © ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Wszyscy czy całość?

Karol Nawrocki został wybrany przez PiS i zgłoszony na konferencji PiS. Do tej pory więc niewiele elementów potwierdza społeczno-obywatelski profil jego kandydatury na urząd prezydenta. Jedynie jej symboliczne zgłoszenie przez prof. Andrzeja Nowaka oraz rzucona przez samego prezesa Nawrockiego formuła „prezydentury wszystkich Polaków”. To hasło jednak bardziej niż z filozofią dobra wspólnego kojarzy się z osławionym PiS-owskim „słuchaniem ludzi”. Ten slogan zaś nigdy nie oznaczał reagowania na konkretne obywatelskie postulaty, a jedynie ciągłe ślęczenie nad sondażowymi wróżbami.

Jako elementy niezależności pozostają więc osobiste intencje i charakter kandydata, które w tej chwili znaczą mniej niż materialne elementy kampanii, ale których ostatecznie lekceważyć nie można.

Na jednej z pierwszych konferencji prezes Nawrocki zapytany o sprawy moralno-ustrojowe zapewnił, że o „kwestiach światopoglądowych” będzie mówił później i osobno, bo są „środowiska w Polsce, dla których kwestie światopoglądowe są bardzo ważne”.

Wybór czasu, okoliczności, zakresu – to święte prawo kandydata. Ale „światopoglądowy” język, Panie Prezesie, trzeba skorygować jak najszybciej! Ze względów zasadniczych, bo przewyższenie kryzysu

rodziny to po prostu warunek przetrwania narodu. I pragmatycznych, bo zwolennicy rewolucji gender przedstawiają swe rewindykacje jako „prawa człowieka”, a nie jako „kwestie światopoglądowe ważne dla wielu środowisk”.

I rzecz druga. Realną politykę wychodzenia poza krąg PiS należy zacząć od 2 mln Polaków, którzy ostatecznie zdecydowali o wyborze Andrzeja Dudy, czyli od tych, którzy nie głosowali na obecnego prezydenta w pierwszej turze, a poparli go w drugiej. Obecność w sztabie kandydata ich reprezentantów (i to nie symboliczna, ale proporcjonalna) byłaby realnym dowodem ponadpartyjności kampanii. Na dobry początek. © ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Strajkiem w rząd

We Włoszech wszystko podszyte jest polityką. W Krajowym Stowarzyszeniu Sędziów działają frakcje polityczne jak w parlamencie, co nieuchronnie prowadzi do tego, że w procesach, które wiążą się z drażliwymi kwestiami, takimi jak migracja czy reformy ustrojowe, wyrok zależy od politycznych poglądów sędziów. Nie inaczej jest ze związkami zawodowymi.

Dwie lewicowe centrale związkowe proklamowały strajk generalny, ale trzecia, prawicowa, nie wzięła w nim udziału. Piątkowy strajk był rzekomo protestem przeciw ustawie budżetowej na przyszły rok, a konkretnie niewystarczającym nakładom na służbę zdrowia, edukację

i administrację publiczną, spadek zatrudnienia etc.

Wiele jednak wskazuje, że chodziło wyłącznie o to, aby uderzyć w rząd. Proklamowano strajk, gdy ustawy budżetowej jeszcze nie było i trwały w tej sprawie negocjacje związków z rządem (sic!). Lista powodów, dla których odbył się strajk, była listą oślepiających kłamstw. Te łgarstwa metodą Goebbelsa kilka razy dziennie powtarzała i powtarza postępowo opozycja. Tymczasem nakłady na służbę zdrowia w przyszłym roku będą najwyższe w historii. Cięcia wydatków, owszem, były, ale wtedy, gdy rządziła lewica. I nikt wtedy nie strajkował. Spadek zatrudnienia? Jest najwyższe w historii, liczbowo i procentowo, a bezrobocie najniższe w XXI w. Opowieści związkowców i opo-

zycji o zbliżającej się katastrofie gospodarczej też trzeba włożyć między bajki. Włochy, jeśli chodzi o duże państwa Unii, notują najwyższy poziom wzrostu gospodarczego, a agencje ratingowe świetnie wyrażają się o włoskich papierach dłużnych.

Za czasów rządów Giorgii Meloni było już 519 strajków, aż 15 razy więcej niż za rządów postępowców. Naturalnie liczą oni na to, że zmęczony strajkami naród przestanie popierać rząd Meloni. Oczywiście strajki godzą we włoską gospodarkę, powodują potworny chaos komunikacyjny. Ale to postępowcom nie przeszkadza. Trudno się dziwić: poparcie dla koalicji rządzącej od wyborów skoczyło o niemal 5 proc. Trzeba strajkować. ©©

Author jest korespondentem Polskiego Radia.

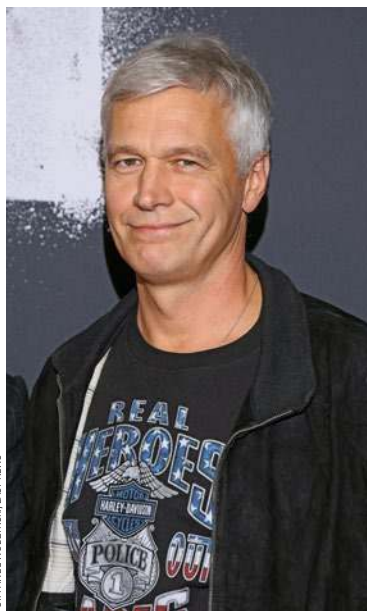


ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

ZAKOCHANY ŻEBROWSKI

Skoro to Rafał Trzaskowski został kandydatem KO na prezydenta, to medialna machina ruszyła. Rafał najlepszy, najsprawniejszy, najsilniejszy i – wiadomo – najwyższy. Zaskakujący w swojej toporności – nawet jak na standardy neo-TVP – pean na cześć kandydata wygłosił w programie Doroty Wysockiej-Schnepf Michał Żebrowski. Aktor, który osobiście zna się z włodarzem stolicy, już w poprzednich kampaniach aktywnie wspierał Trzaskowskiego (pamięta ktoś jeszcze słynne „za Rafała!”?). Trzeba



FOT. PAMEL WODZIŃSKI/EAST NEWS

jednak przyznać, że teraz Skrzetuski przeszedł samego siebie. Panowie poznali się w szkole podstawowej, gdzie razem siedzieli w jednej ławce. Żebrowski uważa Trzaskowskiego za „najinteligentniejszego, najmądrzejszego człowieka, którego spotkał w życiu”. Stwierdził, że przyszły polityk był nie tylko ulubieńcem innych uczniów i nauczycieli, lecz także szkolnym liderem. I choć rywalizowali o jedną dziewczynę, to dziś dziewczyna ta popiera Rafała. – Chcę wierzyć, że nie przypadkiem znaleźliśmy się w tej samej ławce. Umieraliśmy generalnie ze

śmiechu, to pamiętam. Robiliśmy sobie żarty. Rafał się zawsze bardzo, bardzo dobrze uczył i lubił się uczyć. Oprócz tego grał w piłkę, czasami imprezował, jeździł na wycieczki, był ulubieńcem zarówno dziewczyn, jak i kolegów – opowiadał Żebrowski. – Dziewczyna miała na imię Julita. Cała sprawa miała miejsce jeszcze w szkole podstawowej, a konflikt został zakończony przez wspólne spotkanie w kultowym barze Poziomka. Przy wodzie gazowanej. Od tamtego momentu kłamka zapadła [...], że już się nie będziemy kłócić. Julita jest naszą bardzo dobrą koleżanką do dzisiaj. I też wspiera Rafała, to wiem na pewno – wskazał gwiazdor. To jednak nie koniec, bo według Żebrowskiego Trzaskowski jest genialnym kucharzem („najlepsze befsztyki), narciarzem („jeździ z gracją i swobodą, na pewno lepiej niż Andrzej Duda”) i mówcą. Zarówno prowadząca, jak i gość starali się znaleźć jakąkolwiek wadę kandydata, ale on ich po prostu nie ma. Człowiek ideał. Dlatego konieczne były prawdybory.

ADWENTOWE WYDATKI

Początek adwentu to od kilku lat złote żniwa dla handlowców. Wszystko za sprawą kalendarzy adwentowych, na które moda nie ustaje. Kalendarz może być ze wszystkim i nie ma absolutnie nic wspólnego z duchowym przygotowaniem do Bożego Narodzenia. Stała bywalczyni tej rubryki influencerka Andziaks jest właścicielką firmy produkującej świeczki i woski zapachowe. Internetowa celebrytka wypuściła własny kalendarz. Luksusowy. „Stworzyłam kolejny kalendarz adwentowy! Ekskluzywny, elegancki, przepełniony magią świąt Bożego Narodzenia – taki właśnie jest nasz zupełnie nowy kalendarz adwentowy Twinkle Candle! Poczuj dziecięcą radość i każdego dnia odkrywaj nowe zapachy oraz kosmetyki naszej marki. Kalendarz zawiera 16 pełnowymiarowych produktów!” – czytamy na jej profilu. Wszystko fajnie, ale cena powala. Za kalendarz od Andżeliki trzeba zapłacić 745 zł (!).

Część obserwatorów influencerki nie kryje złości. „Cena kosmos”, „Piękny kalendarz, niestety, jest jedynie dla osób wybranych, które nie mają ważnych wydatków”, „Kalendarz dla bogatych ludzi, niestety, nie dla przeciętnych”, „Kalendarz piękny, szkoda, że Andziaks wybiera sobie tym kalendarzem tylko bogatą publikę, przykre” – czytamy w komentarzach. Zazdrośnicy.

AFERA O PIESKI

Pisarka Blanka Lipińska wystąpiła wraz z nowym chłopakiem w podcaście Żurnalisty, gdzie padło pytanie o jej eks, basistę zespołu Aframenta, Barona. Twórca podcastu zapytał Pawła Baryłę, czy nie ma już dosyć tego, że jego dziewczyna mówi publicznie o swoim byłym chłopaku. Ukochany Blanki odparł, że nie, a poza tym chodzi o muzykiem do tego samego fryzjera, więc wszystko jest w porządku. Co więcej, miał okazję pogłaskać jego psy. To ogromnie rozwścieczyło Sandrę Kubicką, czyli żonę Barona. Modelka jest zażenowana ciągłym poruszaniem tematu jej ukochanego przez byłą dziewczynę, co jej zdaniem zakrawa na obsesję. „O co chodzi z tym śmiechem? To jest jakiś tik nerwowy czy to jest serio aż tak śmieszne, że on pogłaskał nasze psy i zrobił sobie z nimi zdjęcie? Przez ostatnie ponad trzy lata słyszałam już dziesiątki zaczepów w naszą stronę, obrażania Alka w wywiadach, Q&A, podcastach. Słyszałam o scenariuszu o gitarzyście i pisarce, [...] o gratulacjach z okazji narodzin Leosia, widziałam zdjęcia w koszulach Alka... Tego jest mnóstwo. To wszystko z publicznych artykułów, oprócz tego były jeszcze sytuacje poza kamerami... Jasne, często zaczynały media, zadając pytania o Alka, ale come on... Na Q&A chyba sama wybierasz, na co chcesz odpowiadać. Ile można? Czy słyszełście, żeby Alek chociaż raz coś wspomniał o niej, odkąd się rozstali po paru miesiącach związku? No właśnie... Dajcie żyć!” – zaapelowała Kubicka do byłej swojego aktualnego i do mediów. Lipińska odpowiedziała krótko: „Chciałabym dodać, że ja tych psów nie głaskałam”. Uff. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż jesteśmy od tego, aby tłumaczyć wam, co należy myśleć, musimy zająć stanowisko w sprawie wolnej Wigilii. Tyle się bowiem mówi o poglądach lewicowo-liberalnych, a tu jak przychodzi co do czego, to liberalne skrzydło naszego kolektywu nie chce, iżby Wigilia była wolna, ale skrzydło lewicowe zdecydowanie się opowiada za tym, iżby tego dnia nie było trzeba chodzić do pracy.

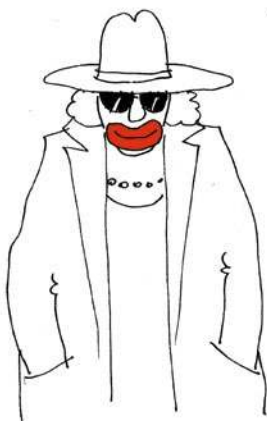
Jest o tyle skomplikowane, iż od wielu lat Wigilia jest zawłaszczona przez środowiska katolickie i szerzej – chrześcijańskie, a więc optowanie za nią jako za dniem wolnym od pracy pozornie może wyglądać na popieranie churchingu i lajfstajlu, ale tym razem chodzi nam o prawa pracownicze.

Nawet wewnątrz naszego kolektywu panują odmienne zdania, iż jedni chcą w Wigilię móc pojechać na myjnię (ofc umyć rower), zrobić zakupy, odwiedzić pralnię, skorzystać z siłowni czy pójść do restauracji. A w ogóle to wolna Wigilia spowoduje, że PKB spadnie, gospodarka runie, a przedsiębiorstwa zbankrutują. Zwłaszcza samozatrudnieni na JDG.

Inni z kolei uważają, że każdy ma prawo do dnia wolnego, a nawet jeśli tego dnia ktoś chciałby pracować, to nie należy mu na to pozwalać, iż ma odpo-

czywać i elo. A wolna Wigilia należy się bez względu na wyznanie, iż tego dnia i tak się nie chodzi do kościoła, zatem ryzyko zaistnienia churchingu jest znikome.

W tej sytuacji chcielibyśmy powiedzieć: to niech każdy robi, jak chce, ale okazuje się, iż tak być nie może. Poza tym wiecie, my jesteśmy młodzi, ale jednak nie z pokolenia Z, więc pewnie do pracy byśmy poszli, a zaraz po niej



Tw „Justyka”
taka dumna z syda...

c e z d r y k r y l z t o r d

pojechali na Winter Holidays do osób płodzących – tak na ostatnią chwilę, iżby nas ominęły wszystkie prace domowe, porządkowe, zakupowe, ubieranie choinki i choćby bierny udział w mordstwie karpia.

Na szczęście, kochani, mamy Sejm, rząd – wszyscy mądrzejsi od nas, sami ich żeśmy sobie wybrali, więc oni w toku burzliwej intelektualnej dyskusji zrobią to, co jest dla nas najlepsze.

Apropos korpo. Jakiś czas temu Nowy z Tarnowa chodził dumny jak paw. Mianowicie pewnego razu przyszedł do open space'u i ogłosił, że od teraz rozpoczyna się nowy rozdział w historii naszego „zakładu pracy” (dosłownie tak powiedział, boomer jeden), bo on właśnie zdał „embrieja” i pokaże nam dopiero teraz, co znaczy efektywne zarządzanie, nowoczesne podejście do biznesu i liderstwo zbudowane na autorytecie.

Okazało się, że on to wszystko mówił o sobie xD.

A ostatnio jakoś przestał o tym „embrieju” mówić; zauważyliśmy, iż nosi przy sobie ciągle szczoteczkę do zębów i mydelniczkę, nerwowo zerka na telefon, a jak słyszy dzwonek do drzwi, to prawie chowa się pod biurko. Zawsze powtarzaliśmy, iż nauka, studia – to wszystko bardzo szarga nerwy, żeby przejść przez tę sesję i jakoś dotrwać do kolejnej. Ale żeby już po studiach, i to dodatkowych, się denerwować – aż tak?

A, kochani, i uważajcie w piątek – żeby przypadkiem nie odwiedził was świecki Mikołaj, który pobierze 75 proc. od otrzymanych przez was prezentów i słodyczy... ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

To tylko skarpetka

Mateusz, co taki smutny jesteś?

Przemku, ja nigdy nie bywam smutny. Po prostu skarpetka mi się sfałdowała i uwiera w bucie.

To sobie popraw.

Nie mogę. Ludzie patrzą. Muszę dbać o wizerunek, nie mogę się tak schylać i grzebać w bucie.

A to nie o to chodzi, że nie ty, ale Karol startuje?

Karol może startuje, ale nie wiadomo, czy dobiegnie. Nic nie jest przesądzone.

Ty ciągle masz nadzieję?

Ja nie mam nadziei. Ja mam pewność.

Gadasz jak cyborg jakiś.

Tak, zaraz cyborg, jasne. Przepraszam, muszę iść się podłączyć do ładowania, mam 10 proc. baterii. ©©

OD RZECZY

„Skoro nie potrafimy złapać przestępców z PiS, to łapiemy swoich”.

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X po zatrzymaniu byłego posła Wojciecha O.

Łukasz Warzecha

„BITWA POD GRUNWALDEM”, KTÓRA MOŻE PODRÓŻOWAĆ

Muzeum Bitwy pod Grunwaldem w Stębarku pozyskało kopię słynnego obrazu Jana Matejki. Obraz jest nawet trochę większy od oryginału. Przedstawiciele placówki tłumaczyli mediom, że od dawna próbowali wypożyczyć z Muzeum Narodowego w Warszawie oryginalną „Bitwę pod Grunwaldem”, ale ze względu na możliwe uszkodzenia dzieła zaprzestano jego wypożyczania. Z odsieczą przybył skierniewicki artysta Ireneusz Rolewski, który przez sześć lat pracował nad kopią obrazu (o jego pracy pisaliśmy w „Do Rzeczy” w 2019 r.). Dzieło absolwenta łódzkiej ASP prezentowane będzie teraz w Stębarku. Jak przyznawał artysta w rozmowie z naszym tygodnikiem, początkowo nie miał zamiaru kopiować całej „Bitwy...”, jednak dowiedział się, że oryginał nawet po konserwacji jest tak uszkodzony, iż muzeum nie zgadza się już na jego wypożyczenie innym placówkom. Rolewski uznał więc, że namaluje kopię całego dzieła, by mogła być prezentowana w Polsce i poza jej granicami. Artysta wyliczał, że w samym Muzeum Narodowym spędził w sumie 620 dni roboczych. Jego obraz składa się z 11 połączonych ze sobą części. Artysta ujawnił, że na płótnie ukrył niespodziankę – jest na nim w jakimś miejscu autograf koszykarza Marcina Gortata. Ukończoną kopię można było najpierw zobaczyć w Muzeum Historycznym w Skierniewicach w 2020 r. **(luz)** © ©

ROT TOMASZ WASZCZUK/PAP







**Z Januszem Korwin-Mikkem,
prezesem partii KORWiN**
rozmawia Ryszard Gromadzki

Grozi nam, że popełnimy ten sam błąd, co w 1939 r.

RYSZARD GROMADZKI: Czy jesteśmy na progu trzeciej wojny światowej? Po tym, jak administracja ustępującego prezydenta USA Bidena zgodziła się na wykorzystanie przez Ukrainę rakiet dalekiego zasięgu ATACMS do ataków na cele w głębi Rosji, a z drugiej strony po zaangażowaniu się wojsk Korei Północnej po stronie Rosji wydaje się, że wojna za naszą wschodnią granicą znalazła się w szczególnie niebezpiecznym punkcie.

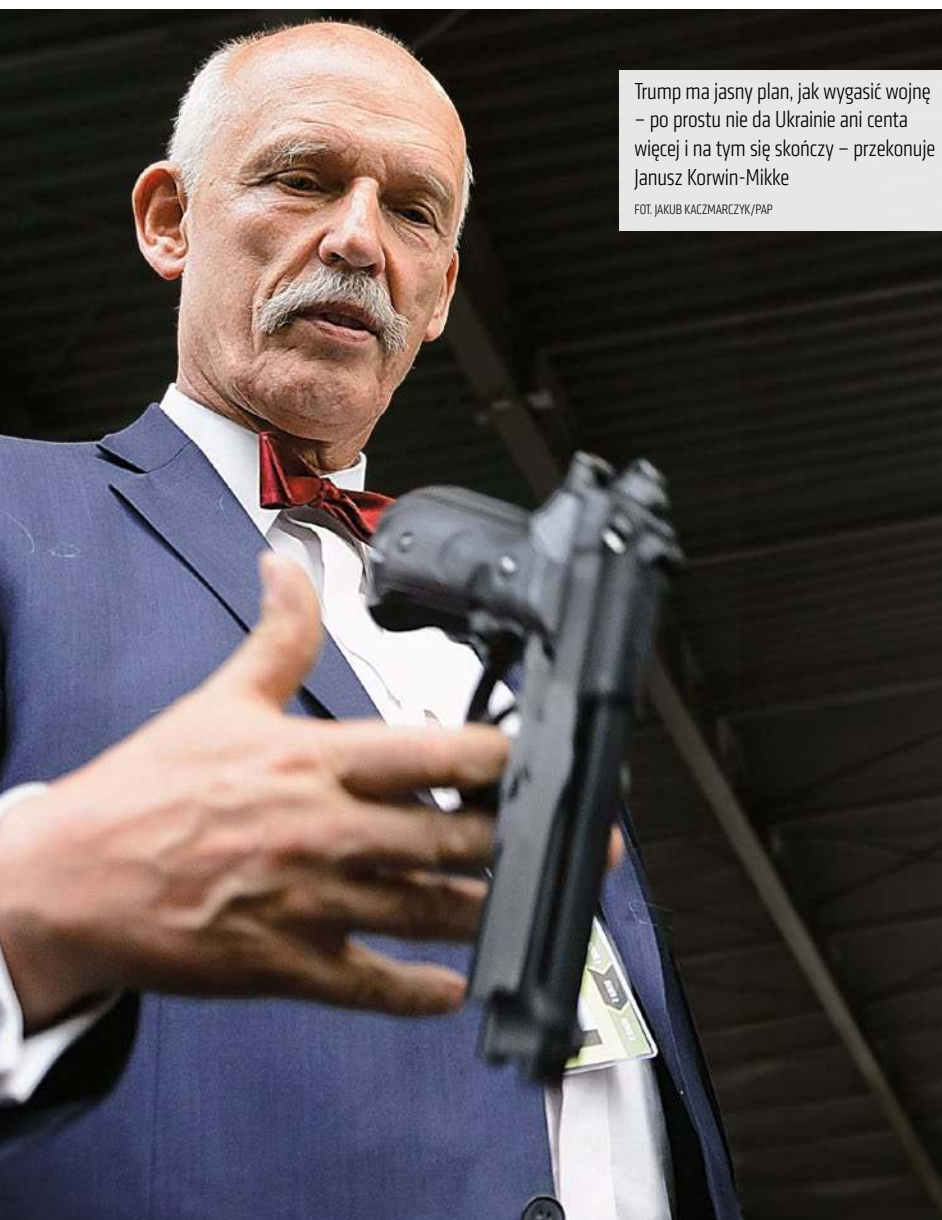
JANUSZ KORWIN-MIKKE: Skoro tylu analityków przed tym ostrzega, to pewnie jest takie niebezpieczeństwo. To, że Rosja wykorzystuje do walki przeciw Ukrainom żołnierzy północnokoreańskich, świadczy o tym, że skończyli się ochotni-

cy gotowi ginąć na froncie. Zamiast ogłosić pobór, Putin zdecydował się wynająć żołnierzy w Korei Północnej. To rozsądne i tańsze rozwiązanie, a jednocześnie dowód na to, że Rosji kończą się rezerwy. Ale to ich problem.

Natomiast co do zagrożenia wojną światową chciałem przypomnieć, że po tym, jak Ukraińcy zaatakowali okręg kurski, Rosjanie szybko odbili 40 proc. utraconego terytorium – tak że te ataki pod względem wojskowym niewiele wniosły. Podobnie rzecz się ma z wykorzystaniem przez Rosję rakiety balistycznej do ataku na miasto Dniepr. To tylko demonstracja

siły, pokazanie, że mają takie coś, w co można włożyć głowice nuklearne, i wtedy będzie niedobrze. W aspekcie czysto wojskowym to absurd. Użyto rakiety, która kosztuje 80 mln rubli, a straty związane z jej wykorzystaniem szacowane są na jakieś 40 mln. Jest to zatem zupełnie nieopłacalny interes.

Na razie mamy prężenie mięśni z obydwu stron. Ale sytuacja jest rzeczywiście napięta, bo nigdy w historii nie było tak, że dwa potężne państwa chcą przeprowadzić swoją wolę, a grozi nam wojna atomowa, która może zniszczyć pół planety albo więcej.



Trump ma jasny plan, jak wygasić wojnę – po prostu nie da Ukrainie ani centa więcej i na tym się skończy – przekonuje Janusz Korwin-Mikke

FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

Tak jak Władysława Studnickiego przed drugą wojną światową uznawano za niemieckiego agenta, tak mnie uważa się obecnie niemal za rosyjskiego agenta, a ja tylko przekonuję, że Polska powinna mieć dobre stosunki z Rosją. Nie ma sensu obrażać potężnego mocarstwa, jeśli nie można go ograć

Pytanie brzmi: W jaki sposób mocarstwa mają przeprowadzać swoją wolę? Zawsze działa się to tak, że każda z potęg interweniowała w swojej strefie wpływów. Na przykład kiedy Grenada w 1982 r. wybudowała lotnisko, dziwnym trafem nakierowane na Florydę, o długości pasa znacznie powyżej potrzeb samolotów pasażerskich, to prezydent Reagan nakazał desant marines i zrobił porządek z rządem Grenady i lotniskiem. Jak Kuba sprowadziła rosyjskie rakiety, to Kennedy zagroził wojną światową i Rosjanie się wycofali.

Być może dlatego krótko po tym Kennedy zginął. Obecnie też jesteśmy w punkcie zwrotnym. Za kilka tygodni władzę w USA przejmie nowy prezydent. Donald Trump konsekwentnie zapowiada zakończenie wojny na Ukrainie. Czy eskalacja konfliktu, którą obserwujemy w ostatnich tygodniach, ma związek z tym, że siły, które prą do wojny, kompleks zbrojeniowy, który na niej zarabia, zrobią wszystko, żeby udaremnić plan Trumpa, postawić go w sytuacji bez wyjścia?

Dokładnie tak. Stany Zjednoczone to, jak wiadomo, państwo d...kratyczne, którym rządzą różne lobby. Kontynuacją wojny zainteresowane jest na pewno lobby wojskowe. Jeszcze w okresie, kiedy

sekretarzem stanu była pani Clinton, z kręgów wojskowych padały deklaracje o gotowości zniszczenia Rosji w ciągu 25 dni. Z wojny oczywiście żyje kompleks zbrojeniowy. Dlatego informacje o wykorzystaniu przez Ukrainę rakiet ATACMS bardzo cieszą jego przedstawicieli, bo rząd zamówi u nich nowe ATACMS.

Jest wreszcie lobby tzw. neokonserwatystów. Znam to środowisko. Kiedy przebywałem w Ameryce, często z nimi rozmawiałem. To byli socjaliści, w 95 proc. Żydzi. Ludzie mądrzy, bo Żydzi to ludzie mądrzy, którzy przestali wierzyć w socjalizm i stali się konserwatystami. Ale z czasów socjalistycznych pozostały im, powiedziałbym, pewne nawyki operacyjne. W związku z czym wśród konserwatystów istnieją wątpliwości, czy traktować ich jako konserwatystów. Skoro są Żydami, to popierają państwo Izrael, a państwo Izrael prze do wojny, licząc, że w jej wyniku rozwiąże swój największy problem związany z zagrożeniem ze strony Iranu. Nawiasem mówiąc, rzecznikiem tego ostatniego lobby jest pani Anne Applebaum, żona ministra Sikorskiego. Jestem zdumiony, wyrażam najgłębsze oburzenie faktem, że PO traktowała pana Sikorskiego jako swego kandydata na prezydenta.

Co pana dokładnie oburza w ubieganiu się Sikorskiego o nominację Platformy na jej kandydata w wyborach prezydenckich?

Jeżeli na drugi dzień po mianowaniu na szefa brytyjskiego MSZ ten minister

przylatuje do Polski i spotyka się z Sikorskim w jego dworku w Chobielinie, a na trzeci dzień pan Sikorski zaczyna żądać, żeby Polska zaczęła strącać rosyjskie rakiety, to najwyraźniej zależność pana Sikorskiego od Wielkiej Brytanii pozostaje silna. Jak człowiek, który chce wtrącić Polskę w wojnę z Rosją, może być ministrem spraw zagranicznych? A czy za PRL był przypadek, by o ważne stanowisko ubiegał się partyjniak mający żonę Żydówkę siedzącą z dziećmi w Związku Sowieckim i mający syna w Armii Sowieckiej?

bo nigdy tam nie byłem, natomiast rozmawiałem z politykami w Rosji i Chinach. Oni wcale się nie kochają, ale doskonale wiedzą, że muszą być razem, bo kiedy Ameryka wyeliminuje Rosję, to w następnej kolejności wyeliminuje Chiny.

Głupota odchodzącej administracji amerykańskiej polegała na tym, że jednocześnie atakowała ona Chiny i Rosję. Natomiast Donald Trump ma inny plan. Chce odwrócić sojusze i przeciągnąć Rosję na swoją stronę. Chce mieć sojusz białego człowieka przeciw żółtej rasie.

doradców. Grozi nam, że popełnimy ten sam błąd, co w 1939 r., gdzie był tylko jeden człowiek, który mądrze mówił, co trzeba robić, ale uznawany był wręcz za niemieckiego agenta.

To był Władysław Studnicki.

Tak. Podobnie uważa się mnie obecnie niemal za rosyjskiego agenta, a ja tylko przekonuję, że Polska powinna mieć dobre stosunki z Rosją. Nie ma sensu obrażać potężnego mocarstwa, jeśli nie można go ograć.

Nas interesuje niepodległa Ukraina. A to, czy ta Ukraina obejmuje Donbas czy Zaporozże, to już nas nie interesuje

Złożyłem w tej sprawie doniesienie do prokuratury; niestety, kilka dni temu umorzyła je. Istnieje silne podejrzenie, że agentem brytyjskim pod koniec swej działalności państwowej został śp. płk Józef Beck.

To poważne oskarżenie, na które nie ma twardego dowodu. Beck działał w 1939 r. w sytuacji bardzo ograniczonej alternatywy, braku manewru politycznego...

Podstawowy kanon brytyjskiej polityki jest niezmienny – nikt tego nie ukrywa. Wielka Brytania zwalcza zawsze najsilniejsze mocarstwo w kontynentalnej Europie. W latach 30. ubiegłego wieku największym mocarstwem w Europie byli Niemcy hitlerowskie, więc celem Wielkiej Brytanii było skierowanie Polski przeciwko Niemcom i osłabienie ich przed spodziewanym atakiem na Francję. Aktualnym celem brytyjskiej polityki jest osłabienie Rosji. Realizacji tego celu służy poświęcenie Ukrainy, a jeszcze lepiej byłoby, gdyby do Ukrainy dołączyła Polska. I my dajemy się na to nabierać jak głupi.

Wróćmy do neokonserwatywnego lobby w Stanach, które opowiada się za silnym zaangażowaniem USA w wojnę z Rosją, nawet gdyby wojna na Ukrainie przekształciła się w wojnę globalną. Ten scenariusz grozi bezpośrednią konfrontacją Ameryki z Rosją i Chinami.

Mamy obecnie trzy mocarstwa, które są w sojuszu przyjmowanym przez Zachód z niepokojem – czyli Rosję, Chiny i Iran. O Iranie nie mogę wiele powiedzieć,

Z punktu widzenia Ameryki jest to rozsądna polityka. Trudno zarzucić Trumpowi, że jest wariatem. Jeżeli ktoś uważa, że głównym zagrożeniem nie jest Rosja, która powoli schodzi z areny dziejowej w wyniku wzrostu potęgi Chin, ale właśnie Chiny, ze względu na ciągle rosnący potencjał, to ma rację.

Czy Trump będzie w stanie przeprowadzić swój plan, mając przeciwko sobie potężne grupy interesów w samych Stanach?

Dlaczego nie? Można przypuszczać, że proizraelskie, neokonserwatywne lobby wyobraża sobie scenariusz, w którym Rosja dostaje carte blanche w sprawie Ukrainy w zamian za zielone światło dla Izraela w rozprawie z Iranem. To całkiem prawdopodobny układ. Trzeba się z tym liczyć, dlatego polska polityka powinna być otwartą na wszystkie strony.

Znam prywatne poglądy pana Sikorskiego na gospodarkę i politykę i mogę powiedzieć, że są one rozsądne. Problem polega na tym, że to, co robi, stoi w sprzeczności do jego wypowiedzi.

Przecież w tym samym – jastrzębim wobec Rosji, a bezkrytycznym w stosunku do Ukrainy – tonie mówi nominalnie polityczny oponent Sikorskiego, czyli prezydent Duda...

To mnie zdumiewa. JE Andrzej Duda jest człowiekiem, który troszkę się orientuje w polityce wewnętrznej kraju, natomiast jest dzieckiem we mgle, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Nie wiem, skąd pochodzi to, co on mówi, jakich ma

Dlaczego polska polityka ma tak ogromny problem z identyfikacją zagrożeń, właściwym odczytywaniem geopolitycznej gry mocarstw? Przecież to powtarzalne schematy, zmieniają się tylko obsada i dekoracje.

Proszę zwrócić uwagę, że w 1939 r. Brytyjczycy wykorzystali to, że politycy są fanatycznie antyniemieccy i antysowieccy zresztą również. Teraz wykorzystuje się to, że Polacy są antyrosyjscy, po części antyniemieccy też. Jednym słowem wykorzystuje się głupotę Polaków, którzy kierują się w polityce uczuciami, słusznymi czy niesłusznymi, natomiast nie kierują się rozsądkiem. Pomysł, żeby w polityce zagranicznej kierować się uczuciami, jest horrendalny. Jeśli ktoś ma uczucia, to niech zarezerwuje je dla kobiet i dzieci.

Niecałe dwa miesiące, które pozostały do inauguracji prezydenta Trumpa, trzeba traktować jako czas podwyższonego ryzyka w polityce międzynarodowej? Czas, w którym polska polityka zagraniczna powinna zachować szczególnie rozsądek i wstręmięliwość, żeby nie uwikłać się w awanturę wojenną, z której nie da się później bez bólu wycofać?

Dopóki nie spadają na nas bomby, nie latają nad nami i nie wybuchają rakiety z głowicami nuklearnymi, dopóty oczywiście to wszystko można ugasić. Nie ma z tym większego problemu. Pan Donald Trump ma jasny plan, jak wygasić wojnę na Ukrainie – po prostu nie da Ukraincom ani centa więcej i na tym się skończy. Unia Europejska coś tam przebąkuje, że my to przejmujemy. Ba, któryś z polskich polityków zaszarżował, że to Polska powinna wziąć na siebie finansowanie wojny przez Ukrainę. Polacy nie lubią Rosji od czasów carskich, ale kiedy im się jeszcze płaci, żeby jej nie lubili, to dochodzimy do granic absurdu. Politycy rozbudzają te

uczucia i później sami na nich jadą. Kto tylko mówi, że z Rosją należy rozmawiać jak z normalnym krajem, z automatu traktowany jest jak rosyjski agent.

Trump zmieni układ polityczny w Europie?
Administracja Bidena miała głównego partnera politycznego w Niemczech. Czy Trump postawi na inny porządek?

Sytuacja w Niemczech się zmienia. Jak wiadomo, w lutym odbędą się tam wybory. Ich głównym tematem wcale nie będzie to, co doprowadziło do rozpadu koalicji, czyli „walka z GLOciem”, globalnym ociepleniem, bo liberałowie oświadczyli, że mają tego dość. Oczywiście oni nie potrafią powiedzieć, że to bzdura, ale tłumaczą, że to za drogie, że gospodarki niemieckiej na to nie stać itd. Nie są w stanie zdobyć się na to, żeby powiedzieć, że ograniczenie emisji CO₂ to mit i nawet gdyby było ich stać, nie ma z czym walczyć.

Rzeczywistym tematem wyborów w Niemczech będzie stosunek do Rosji. Ja jestem człowiekiem Zachodu i patrzę z przerażeniem na Polaków, którzy rozumują jak Rosjanie, czyli kierują się

uczuciami. Rosjanie też uważają, że albo się kocha Rosję, albo się jej nienawidzi – i to jest najważniejsze. Człowiek Zachodu, Francuz czy Niemiec, nie myśli uczuciami, tylko rozważa, co zrobić z Rosją. Jaki jest rachunek korzyści i strat. To jest rozumowanie zachodnie.

W Polsce niestety jesteśmy zarażeni Rosją i wszyscy rozumują uczuciami w polityce. Mam nadzieję, że znajdą się u nas w końcu politycy, którzy zaczną rozmawiać racjonalnie. Takich ludzi w Polsce jest dosłownie kilku.

Kogo pan widzi w tym gronie?

To nawet nie są politycy, a publicyści, tacy jak pan Łukasz Warzecha, pan Piotr Zychowicz i inni. Tak się dziwnie składa, że ludzie myślący dorzecznie skupieni są w redakcji „Do Rzeczy” (śmiej).

A pana kolega Grzegorz Braun?

Kolega Braun na pewno jest lepiej zorientowany w polityce zagranicznej od JE Andrzeja Dudy choćby dlatego, że ciężko być mniej zorientowanym w tej sprawie od prezydenta Dudy. Jeśli byśmy mówili

o współpracy polsko-rosyjskiej, to przecież głównym beneficjentem tego jest Polska, a nie Rosja. Nawet drobna korzyść ze strony Rosji to dla Polski jest ogromna rzecz. Natomiast dla Rosji Polska jest w tej chwili pieskiem, który na komendę amerykańską szarpie ją za nogawki. Tak nas traktują.

Czy Polska z uzasadnioną historycznie niechęcią do Rosji, z deficytem mądrej polityki zagranicznej może w ogóle zbudować normalne stosunki z Rosją?

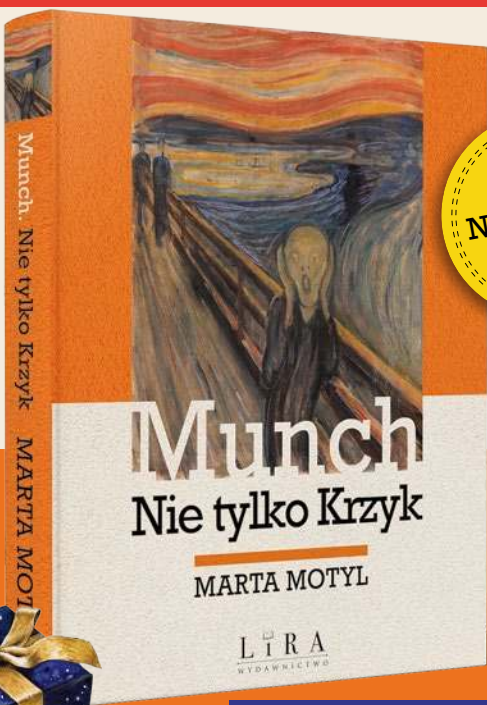
W 2008 r. wydałem książkę „Rusofobia w odwrocie”, zauważając ku swojemu radosnemu zdumieniu, że kończy się era rusofobii i zaczynamy rozumieć Rosję. Akurat był to rok, w którym rusofobia zaczęła powracać. Czymś zupełnie szokującym jest, że Rosja, poświęcając życie kilkudziesięciu czy kilkuset żołnierzy – bo tylu ich zginęło – uratowała Osetię przed imperializmem gruzińskim. Przypomnę, że nieżyjący już były prezydent Gruzji, pan Zwiad Gamsachurdia, powiedział wyraźnie, że z Abchazów i Osetyjczyków on zrobi dobrych Gruzinów. Więc jedni i drudzy natychmiast ogłosili niepodległość, ■

REKLAMA



Munch. Nie tylko Krzyk

Poznaj sekrety malarza,
który porusza
miliony serc!




www.wydawnictwolira.pl

■ żeby z nich nie robiono „dobrych Gruzinów”, a wspomagała ich w tym Rosja. Bez pomocy Rosji Abchazja może by dała sobie radę, ale Osetia to enklawa z 50 tys. ludzi. Notabene: JE Włodzimierz Putin nie chce przyjąć Osetii do Federacji Rosyjskiej dlatego, że planuje sprzedać ją Gruzinom w zamian za to, żeby rząd gruziński był sympatyczny dla Rosji. Putin to zimny polityk i on im tę Osetię sprzeda. Osetyjczycy zresztą o tym świetnie wiedzą i panicznie boją się takiego scenariusza.

W 2008 r. Rosja rzuciła się na pomoc Osetii najechanej przez Gruzję. Tymczasem w Polsce to Rosja została oskarżona o napaść na Gruzję, choć wszyscy wokół wiedzieli, że to Gruzja była agresorem. Pan Micheil Saakaszwili, bardzo miły człowiek, którego znam osobiście, uznał, że skoro zaczęła się olimpiada w Pekinie i tam jest prezydent Rosji, to może spokojnie zaatakować Osetię. Putin oczywiście był w Pekinie, ale ktoś tam jednak na Kremlu pilnował interesu.

To zostało uznane w Polsce jako agresja na Gruzję – kiedy oni poświęcali życie swoich żołnierzy w obronie małego, uciemzonego narodu, zostali przez Polaków, którzy przecież też kiedyś walczyli o wolność waszą i naszą, uznani za agresorów. Rosjanie są za to na nas oburzeni.

Większość Polaków ma inny, utrwalony przez media obraz wydarzeń z sierpnia 2008 r. Pamiętamy więc w Tbilisi i prezydenta Kaczyńskiego upominającego się właśnie o wolność „waszą i naszą”...

To było coś koszmarnego. Ten chytry Gruzin, czyli pan Micheil Saakaszwili, uknuł słynną aferę, w której centrum znalazł się polski prezydent. Kiedy śp. Lech Kaczyński wylądował w Tbilisi, Saakaszwili zawiózł go w nocy prosto z lotniska nad granicę gruzińsko-osetyńską; tam się rozległa seria strzałów i poszło w świat, że Rosjanie ostrzelali polskiego prezydenta. Strzelali oczywiście Gruzini, wszystko było wcześniej ukartowane. Tylko w Polsce i części Stanów Zjednoczonych wierzy się, że zrobili to Rosjanie. Takie metody stosował pan Saakaszwili. Trudno mu odmówić sprytu, robił, co mógł.

Zajmując Krym, Rosja też słusznie wystąpiła w obronie prześladowanych pobratymców?

W sprawie Krymu sekwencja zdarzeń była następująca. Parlament Ukrainy uchwalił, że jedynym językiem urzędowym państwa jest ukraiński, a język rosyjski został zakazany. Trzeba wiedzieć, że na Krymie po ukraińsku mówi może 6 proc. ludzi. Cała reszta to Rosjanie albo Tatarzy, którzy od ponad 100 lat umieli mówić po rosyjsku, a po ukraińsku – nie. Nagłe zakazanie języka rosyjskiego spowodowało, że Autonomiczna Republika Krymu – i chyba 100 proc. składu tamtejszego parlamentu – ogłosiła niepodległość Krymu i poprosiła o przyjęcie do Federacji Rosyjskiej. Oczywiście wszystko było ustalone z Rosją, jednak taka była kolejność zdarzeń. Autonomiczna Republika Krymu wystąpiła z Ukrainy, do

Kolega Braun na pewno jest lepiej zorientowany w polityce zagranicznej od JE Andrzeja Dudy choćby dlatego, że ciężko być mniej zorientowanym w tej sprawie od prezydenta Dudy

czego nie miała prawa, ale przypominam, że Stany Zjednoczone też nie miały prawa wystąpić z imperium angielskiego. Secesja Krymu wywołała wielki atak na Rosję.

Pięćdziesiąt lat temu byłem na Krymie. Specjalnie nauczyłem się trochę po ukraińsku, żeby brylować na miejscu znajomością języka. Niech mi pan wierzy, nie znalazłem ani jednej osoby, która mówiłaby po ukraińsku. Wszyscy mówili po rosyjsku. Wprowadzenie tam języka ukraińskiego musiało być powszechnym szokiem.

Podobnie rzecz się ma z obwodami donieckim i ługańskim, gdzie większość rosyjska przeważa bardziej niż na Krymie, bo nie ma tam Tatarów. To spowodowało bunt obydwu tych okręgów, co było bardzo nie na rękę Putinowi. Czy Polska w 1920 r., pomagając powstańcom śląskim, nie robiła tego samego?

Myślę, że to nie jest dobre porównanie. Polska w 1920 r. nie była satrapią, którą jest Rosja Putina.

Wewnętrzny ustrój Polski nie ma żadnego znaczenia. Ważne, że nielegalnie podsyłaliśmy na Śląsk pieniądze, oficerów, broń i amunicję. Dokładnie tak samo jak Rosja do Donbasu.

Żeby było jasne: potępiam Rosję za aneksję Doniecka i Ługańska, ale bunt był z tego samego powodu. Kazano im mówić po ukraińsku. Popieranie separatystów było oczywiście złamaniem memorandum budapeszteńskiego, więc JE Putin powinien zaciśnąć zęby i się z tym pogodzić. Albo być konsekwentny i to, co zrobił w 2022 r., przeprowadzić w roku 2014. Wtedy nie byłoby żadnego protestu i cała rosyjskojęzyczna – co nie znaczy, że prorosyjska! – Ukraina głosowałaby na Janukowycza, którego bezprawnie obalono. Oni uważali go za prezydenta. Gdyby wtedy, w 2014 r., Rosja wkroczyła i w imieniu bezprawnie obalonego Janukowycza przynajmniej ustanowiła ziemie wschodniej Ukrainy jako republikę dla pana Janukowycza...

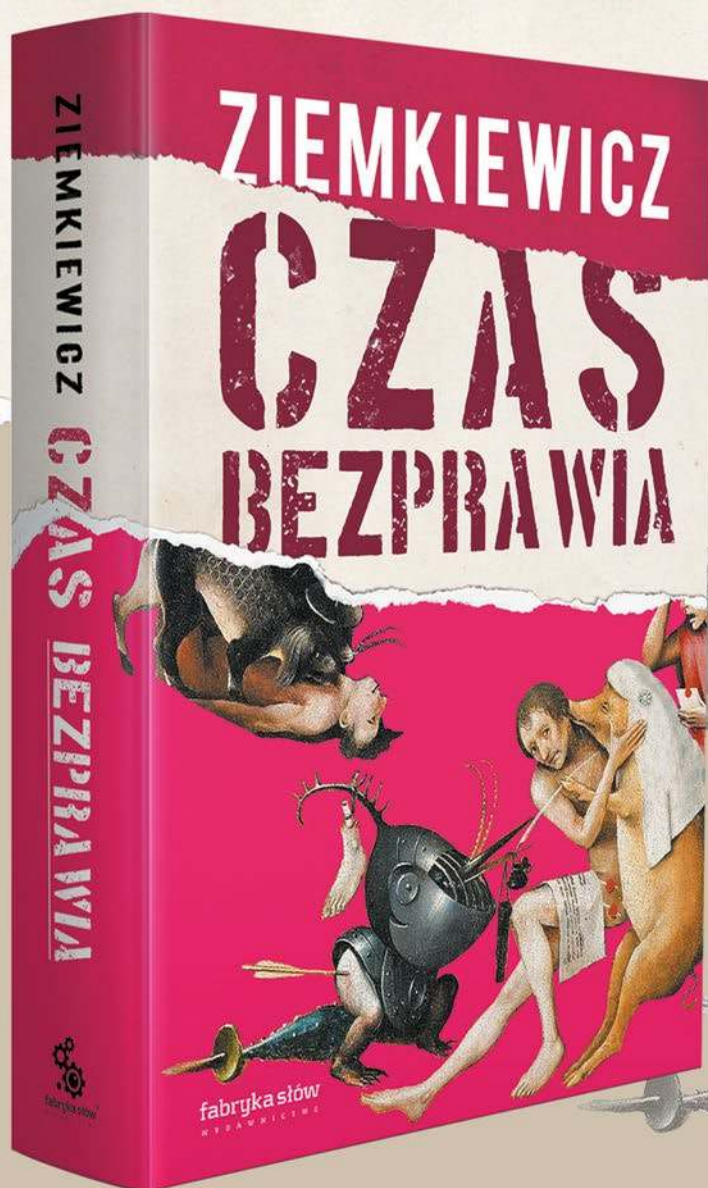
Bardzo wymowna jest mapa, którą publikowałem na Twitterze, przedstawiająca ludzi mówiących po rosyjsku i wyborców Janukowycza. One się niemal dokładnie pokrywają. Gdyby wtedy Janukowycz proklamował nową republikę we wschodniej Ukrainie, nie byłoby żadnych protestów. W 2022 r. Putin wybrał fatalny moment na zaatakowanie Ukrainy.

Jeżeli uda się wygasić wojnę, to państwo ukraińskie wyjdzie z niej prawdopodobnie mocno okrojone terytorialnie i osłabione politycznie. Co to będzie oznaczać dla Polski?

W interesie Polski leżą niepodległa Białoruś i niepodległa Ukraina, żeby dzieliły nas od Rosji. Mogą być nawet wrogie Polsce. Pisałem o tym otwarcie jeszcze za komuny w podziemnych pismach, że w naszym interesie leży niepodległa Ukraina, nawet wroga Polsce, byleby nie była za silna i była wroga Rosji. I to właśnie mamy. Trzeba to kultywować. Ale nas interesuje niepodległa Ukraina, a to, czy ta Ukraina obejmuje Donbas czy Zaporozże, to już nas nie interesuje. To jest wewnętrzny spór między Rosją a Ukrainą. Polska nie powinna dać ani jednego żołnierza do obrony Charkowa, Zaporozża czy Odessy. Natomiast powinniśmy jasno powiedzieć, że będziemy bronili niepodległości Ukrainy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Gorące tematy, jeszcze gorętsze opinie.
Najnowsze felietony **RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA!**



Polska i świat oczami
ZIEMKIEWICZA.
Bez owijania w bawełnę
Satyra, ironia, polityka.
ZIEMKIEWICZ
w najlepszej formie

fabryka słów
WYDAWNICTWO

PREMIERA 27.11.2024

patronat medialny

DO
RZECZY

R
REPUBLIKA



Karol Gac

Prawo i Sprawiedliwość oficjalnie poparło dr. Karola Nawrockiego, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, jako „kandydata obywatelskiego” w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Co o nim wiemy?

Karol Tadeusz Nawrocki urodził się 3 marca 1983 r. w Gdańsku. Pochodzi z robotniczej dzielnicy Siedlce, gdzie wychowywał się z siostrą Niną. Jego ojciec, Ryszard, z zawodu był tokarzem, w latach 80. należał do Solidarności, a matka Elżbieta była introligatorką i w dużej mierze dbała o ognisko domowe.

HART DUCHA

Od najmłodszych lat Nawrockiemu towarzyszył sport, którym zaraził go ojciec, w tym przede wszystkim boks, który trenuje do dzisiaj, co widać w jego mediach społecznościowych. Odnosił w nim nawet pewne sukcesy. Na początku lat dwutysięcznych jako pięściarz zdobył Puchar Polski juniorów w kategorii 91 kg, choć zżyma się, gdy ktoś określi go mianem „boksera”. Nastoletni Nawrocki grał też w klubie piłkarskim KKS Gdynia, a później został pięściarzem w RKS Stocznowiec (2000–2004). Następnie wrócił do piłki, gdy reprezentował barwy Ex Siedlce Gdańsk. W 1992 r. zaczęła się także jego świadoma miłość do Lechii Gdańsk, gdy jako dziewięciolatek zasiadł na trybunach podczas meczu ze Stilonem Gorzów.

Wydaje się jednak, że to boks zajmuje najwięcej miejsca w sercu dr. Nawrockiego. „Zaczynałem, jak miałem siedem lat, więc bardzo szybko. Potem grałem kilka lat w piłkę. Na poważnie boksowałem jednak w latach 2000–2004, gdy byłem regularnym zawodnikiem klubu sportowego Stocznowiec [...]. Jestem zresztą z bokserskiej rodziny. Mój stryj, Waldemar Nawrocki, miał ponad 200 walk w I lidze w Stoczniewcu, więc od strony ojca to było naturalne, że się biję i po-



Karol Nawrocki podczas wystąpienia w krakowskiej hali Sokoła. FOT. MAREK LASKY/REPORTER

Misja: Nawrocki



trzebuję upustu adrenaliny. Boks uczy szacunku do drugiej osoby i choć jest to najbrutalniejszy sport, to pozwala zdagnozować swoje słabości. Konfrontacja jeden na jeden uczy pokory” – wspomina Nawrocki w jednym z wywiadów.

Lekcje, które odebrał przez lata w ringu, Nawrocki wykorzysta później w życiu zawodowym, choć przez wiele lat myślał, że pisana jest mu kariera sportowa.

„Moja droga do dzisiejszej pracy zawodowej była dość skomplikowana – zawsze dużo czytałem i kochałem historię, ale nie myślałem, że będę ją uprawiał zawodowo. Przez lata myślałem więc, że będę sportowcem. Na wiele lat wyłączałem w piłkarskiej B i A-klasie w EX Siedlce Gdańsk, boksersko rozbijałem się już wyłącznie sparingowo, ale za to we wszystkich możliwych klubach w Gdańsku. Zrozumiałem, że sport pozostanie tylko pasją” – przyznał już jako dyrektor

Muzeum II Wojny Światowej w rozmowie z portalem lechiahistoria.pl.

PRZEŁOM

Początek lat dwutysięcznych to bardzo intensywny czas w życiu Nawrockiego. W 2003 r. rozpoczął studia w Instytucie Historii Uniwersytetu Gdańskiego. „W dzień studiowałem i trenowałem, w nocy pracowałem w ochronie obiektów, a tam... zgarniałem całe 3,2 zł na godzinę. Ale nie to było ważne... Podczas 240 godzin właściwie beczynnej »służby« w miesiącu przerzucałem dziesiątki książek. Dostałem nawet stypendium na I roku. Nie pamiętam tylko, kiedy spałem” – wspomina w rozmowie z portalem kibiców Lechii. Pracowitość jednak popłaca, bo Nawrocki kończy studia magisterskie i idzie za ciosem – rozpoczyna doktorat. Jednocześnie od 2009 r. zaczął pracę w gdańskim oddziale Instytutu

Pamięci Narodowej, gdzie kierował Biurem Edukacji Publicznej. W 2013 r. uzyskał tytuł doktora nauk humanistycznych, broniąc dysertacji „Opór społeczny wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim 1976–1989”. Jego promotorem był prof. Grzegorz Berendt. Równolegle trwała jego przygoda z lokalną polityką. W latach 2011–2017 Nawrocki był radnym dzielnicy Siedlce położonej w zachodniej części Gdańska. Już wtedy wyróżniał się determinacją.

Nawrocki w gdańskim oddziale IPN dał się szybko poznać jako zaangażowany historyk, ale i sprawny menedżer, czym zwrócił na siebie uwagę polityków Prawa i Sprawiedliwości. Rok 2017 był przełomem w karierze Nawrockiego. To wtedy otrzymał nominację na fotel dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, gdzie zastąpił prof. Pawła Machcewicza – twórcę placówki, obsadzonego za PO. Jego nominacja rozwścieczyła środowiska lewicowo-liberalne, ale Nawrocki nic sobie z tego nie robił. Szybko zapowiedział zmiany w wystawie stałej muzeum, co wywołało ogromny konflikt. Autorzy pierwotnej wystawy potraktowali je bowiem „jako ingerencję polityczną w przekaz ideowy wystawy oraz naruszenie praw autorskich”. Czy się naraził Nawrocki? Chęcią odpowiedniego wyeksponowania np. rtm. Witolda Pileckiego, św. Maksymiliana Kolbego czy rodziny Ulmów. Nowy dyrektor szybko zaczął działać, a muzeum z roku na rok zyskiwało na popularności.

Kolejny przełom nastąpił w życiu Nawrockiego cztery lata później, gdy zaczęto go rozpatrywać jako potencjalnego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. PiS, który miał większość w Sejmie, ale nie miał jej w Senacie, długo szukał kandydata, który mógłby uzyskać poparcie w izbie wyższej. Ostatecznie postawiono na Nawrockiego, który zdobył potrzebne 52 głosy (48 z PiS, dwa z PSL, jeden z KO i jeden senator niezależnej Lidii Staroń). W tle był m.in. wybór Rzecznika Praw Obywatelskich, ale również ważna dla ludowców obietnica otoczenia szczególną troską pamięci o Wincentym Witosie. 23 lipca 2021 r. Karol Nawrocki złożył ślubowanie na prezesa IPN, przestając być jednocześnie dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. „Jako człowiek urodzony w latach 80. chcę wy-

pełnić narodowy łańcuch świadomości historycznej, być jego ogniwem” – w taki sposób określił swoją misję. Do tego zapowiedział „inkluzywną ofertę edukacyjną, która będzie balansem między sacrum historii a profanum nieustannie zmieniającej się rzeczywistości”.

Jednym z najbardziej znanych działań Nawrockiego jako prezesa IPN była akcja wyburzania sowieckich i propagandowych pomników w Polsce. W całym kraju zniknęło w ten sposób kilkadziesiąt „pomników”, głównie ku czci Armii Czerwonej. Nagle okazało się, że coś, co wydawało się niemożliwe, stało się faktem. Szło mu to tak dobrze, że w lutym 2024 r. znalazł się na liście osób poszukiwanych przez Federację Rosyjską, właśnie za usuwanie z przestrzeni publicznej pomników upamiętniających Armię Czerwoną. Oprócz tego Nawrocki zaczął wprowadzać do IPN na szeroką skalę nowe technologie, czego dowodem jest choćby Centralny Przystanek Historia IPN im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Warszawie. To miejsce, gdzie tradycja łączy się z nowoczesnością m.in. za sprawą nowych technologii rozsianych na powierzchni 200 mkw.

TAJEMNICZY KANDYDAT

Po raz pierwszy o Karolu Nawrockim w kontekście przyszłorocznych wyborów prezydenckich wspomniano pięć miesięcy temu, choć wówczas mało kto brał to na poważnie. Ot, kolejne nazwisko „na giełdzie”. Czas jednak mijał, PiS testował kolejnych kandydatów, aż ostatecznie Jarosław Kaczyński postawił na prezesa IPN. Na ostatniej prostej, co przyznał prezes PiS, Nawrocki wyprzedził Przemysława Czarnka i Tobiasza Bocheńskiego. Co zdecydowało o wyborze szefa IPN? Nowogrodzka liczy, że brak elektoratu negatywnego, który ma większość polityków PiS, będzie atutem. – Nie był posłem i nie można mu wyciągnąć jakichś głosowań w Sejmie. Za co będą go atakować? Za to, że obalał sowieckie pomniki? – pyta retorycznie jeden z polityków PiS.

Warto pamiętać, że Nawrocki nie jest członkiem Prawa i Sprawiedliwości ani żadnej innej partii, ponieważ prezesowi IPN wprost zabrania tego ustawa. PiS przedstawia go zresztą jako „kandydata obywatelskiego”. Faktycznie, w jego

komitecie znalazło się miejsce dla blisko 200 osób związanych ze światem nauki, kultury, polityki czy mediów. PiS liczy, że będzie to kolejny atut, który pomoże Nawrockiemu. Podobnie jak brak rozpoznawalności, który zarzuca się na ogół prezesowi IPN. Łatwiej jest bowiem budować wizerunek i spójną opowieść od zera, niż całkowicie ją zmieniać. Ponadto kierownictwo PiS liczy także na to, że Nawrocki przyciągnie do siebie wyborców spoza PiS, a zwłaszcza Konfederacji. W tym kontekście warto wspomnieć o niedawnej wypowiedzi wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Bosaka. „Jeżeli chodzi o dr. Nawrockiego, to on akurat, jak na przedstawiciela kadr związanych z PiS, zachowywał się wobec nas całkiem OK. Zanim został szefem IPN, spotkał się z nami, przedstawił swoją kandydaturę. Była możliwość normalnej rozmowy” – mówił Bosak. W PiS pamiętają również postawę PSL wobec Nawrockiego. „Wystarczy, że nie będą go otwarcie atakować i może czasem puszczać oko do swoich wyborców. Zresztą Marek Sawicki wprost zadeklarował, że nie zagłosuje na Rafała Trzaskowskiego” – tłumaczy nam jeden z polityków PiS.

Faktem jest, że sztabowcy PiS z Pawłem Szefernakerem na czele będą mieli niemal czystą kartę do zapisania. Karol Nawrocki ma żonę Martę, z którą wychowuje troje dzieci. Marta Nawrocka jest absolwentką wydziału prawa i administracji na Uniwersytecie Gdańskim i od kilkunastu lat pracuje w Krajowej Administracji Skarbowej. Specjalizuje się w kontroli przemysłu naftowego, spirytusowego oraz w zwalczaniu nielegalnego hazardu. Co ciekawe, w przeszłości uczęszczała do szkoły baletowej w Gdańsku.

O poglądach Nawrockiego wiemy niewiele. Co oczywiste, znane są te dotyczące historii. Prezes IPN wielokrotnie twardo wypowiadał się także w sprawie postawy Ukraińców wobec ekshumacji na Wołyniu. Podczas swojego wystąpienia w krakowskiej hali Sokoła Nawrocki mówił ogólnikowo m.in. o gospodarce, bezpieczeństwie czy projektach infrastrukturalnych. Choć części poglądów i odpowiedzi możemy się domyślać, to przez najbliższe sześć miesięcy dr Karol Nawrocki będzie musiał dać się poznać Polakom. Przed nim długa i wyboista droga.

PiS podjął decyzję. Rachunek zysków i strat wskazał na Karola Nawrockiego jako optymalnego kandydata.

I musimy się przyzwyczaić do tego, że będzie to główny rywal Rafała Trzaskowskiego. Oczywiście, jeśli obecny szef IPN popełni zbyt dużo błędów, w partii Jarosława Kaczyńskiego zacznie się debata nad ewentualną zmianą. Ale na razie to bardzo hipotetyczna możliwość.

Dość dobrze poznałem pokolenie, z którego wywodzi się Karol Nawrocki. Ta generacja wyrastała w latach 90., w cieniu pokolenia, które stawiało opór rządowi ekipy Jaruzelskiego. Gdańsk – solidarnościowa stolica Polski z bardzo żywą tradycją kresową – w latach 90. został wręcz zahipnotyzowany przez środowisko Donalda Tuska. Jeśli ktoś rzucił temu liberalnemu ładowi wyzwanie, to jedynie związkowcy z Solidarności i właśnie oni, młode pokolenie, które idee niepodległościowe uznało za swoje. Pokolenie o rogatych duszach, szukające swojej tożsamości na trybunach gdańskiej Lechii, które podniosło sztandar pamięci o Żołnierzach Wyklętych i zakatowanej w Gdańsku na UB Danucie Siedzikównie „Ince”. To byli – tak jak Nawrocki – chłopcy z mało efektownych dzielnic, takich jak właśnie Siedlce, gdzie wychował się młody Karol. Nikt im niczego nie podał na talerzu za darmo. Musieli z ogromnym wysiłkiem pięć się i to nadaje im chropawy, ale autentyczny charakter. I właśnie cecha autentyczności, pewnej integralności budzi do Nawrockiego zaufanie wielu utytułowanych nazwisk, które zgodziły się przyłączyć do honorowego komitetu jego poparcia.

Ale Nawrocki dotąd politykiem nie był. A start w kampanii prezydenckiej to jak skok na grzbiet wierzgającego mustanga. Nie można sobie wyobrazić, jak to jest, dopóty, dopóki się już nie skoczy. Jeśli się popełni zbyt dużo błędów, to można boleśnie się potłuc. Albo sprostać wyzwaniom i wygrać.

Spróbujmy teraz podsumować atuty kandydata Komitetu Obywatelskiego oraz elementy, które mogą być dla niego obciążeniami.

ATUTY

1. Wybory prezydenckie zawsze były dla prawej strony wygodniejsze niż elekcje parlamentarne. Nawet politycy z Platformy przyznają, że w ciągu ostat-

Wszystko przed Nawrockim. Sporo pracy też



Piotr Semka



Nawrocki dotąd politykiem nie był. A start w kampanii prezydenckiej to jak skok na grzbiet wierzgającego mustanga. Nie można sobie wyobrazić, jak to jest, dopóty, dopóki się już nie skoczy. Jeśli się popełni zbyt dużo błędów, to można boleśnie się potłuc. Albo sprostać wyzwaniom i wygrać

nich ponad 20 lat bilans jest korzystny dla prawej strony. Trzy razy prawica wygrała – w 2005 r. (Lech Kaczyński), w 2015 r. i 2020 r. (Andrzej Duda). Platforma odniosła sukces tylko w 2010 r., gdy zwyciężył Bronisław Komorowski.

Karol Nawrocki to idealny kandydat do zgromadzenia wokół siebie szerokiego oddolnego popołitego ruszenia „ludu pisinowskiego”. Tak jak w 2020 r., gdy wskutek nadzwyczajnej mobilizacji wygrał Andrzej Duda. Wyraziste postacie zawsze mobilizowały wyborców prawicy, czego przykładem była kampania Lecha Wałęsy w 1990 r. czy „wiosna Polaków” Lecha Kaczyńskiego z 2005 r.

2. Karol Nawrocki jest jednym z dwóch najmłodszych kandydatów w prezydenckim wyścigu. Ma 41 lat i młodszy od niego o dwa lata jest tylko Sławomir Mentzen, który startuje jako reprezentant Konfederacji. Główny rywal Nawrockiego, Rafał Trzaskowski, ma 52 lata i już w poprzednich wyborach prezydenckich jeździł po kraju znacznie mniej niż wówczas Andrzej Duda. Teraz nielicha kondycja będzie znacznie bardziej potrzebna Karolowi Nawrockiemu, którego nie rozpoznaje aż 61 proc. ankietowanych i który musi dać się poznać w setkach miasteczek i wsi. Do dużej liczby spotkań codziennie trzeba nielichej wytrzymałości fizyczno-psychicznej. Brak rozpoznawalności jest problemem, ale o to, by nazwisko Nawrockiego dudniło co dzień, zadba strona liberalna, która z pewnością rozpęta hejt.

3. Ogromnym atutem Nawrockiego może być jego rodzina. Młoda i atrakcyjna żona, dorosły syn, kolejny młodszy syn i wręcz wymarzona do wyborczych zdjęć najmłodsza córeczka z uroczymi kucykami.

4. Rozsądnym krokiem jest wybór Pawła Szefernackera na szefa sztabu. Trzydziestosiedmiolatek, który zbierał w przeszłości pochwały za dobre wykorzystanie mediów społecznościowych w poprzednich kampaniach PiS. W tej kampanii dotarcie do młodego wyborcy będzie wyjątkowo ważne. Platforma, tak jak w październiku 2023 r., zamierza skłonić młodą generację do głosowania na PO. Tylko kontrofensywa w sieci może pomóc historykowi z Gdańska.

5. Głównym rywalem Nawrockiego w krótkim planie jest oczywiście Sławomir Mentzen. Jego styl człowieka sukcesu i self-made mana uwodzi część młodych wyborców prawicy. Ale nie jest tak, że Mentzen nie popełnia błędów. Dobrym przykładem kiksów była jego niedawna wizyta u Kuby Wojewódzkiego i Piotra Kędzierskiego w Onecie. Mentzen uznał, że przyjęcie zaproszenia będzie korzystne, ale wspólne zdjęcie z Wojewódzkim wywołało w sieci nadszarpnięcie dużo negatywnych reakcji. Kolejnym warunkiem sukcesu Nawrockiego musi być też pilnowanie przez Jarosława Kaczyńskiego, by w jego partii nie pojawiły się tendencje czyhania na niepowodzenie Nawrockiego ze strony czy to zwolenników Mateusza Morawieckiego, czy Przemysława Czarnka. Wszelkie takie tendencje z lubością wychwycą

media liberalne, które wykpią polityczne skłócenie i wilczą rywalizację.

6. Nawrocki jak dotąd dobrze znosi próby dezawuacji. Zdjęcie z hajlowaniem okazało się fejkem, a stereotyp stręczyciela z bokerskich zgrupowań na razie „Gazeta Wyborcza” schowała pod sukno. Dziennikarze Onetu wysłani na poszukiwania jakichś kłopotliwych historii w Gdańsku nie znaleźli zbyt wiele. Ale spokoju nie dadzą. I to, jak Nawrocki będzie umiał reagować na kolejne ataki, zadecyduje o wszystkim.

7. I wreszcie ostatni dość banalny, ale istotny element. Karol Nawrocki już na starcie ma lepsze wyniki sondażowe niż Andrzej Duda w 2015 r. W sondażu United Surveys ankietowani dają przewagę 41 proc. Trzaskowskiemu w stosunku do 26 proc. Nawrockiego. W drugiej turze: Trzaskowski 52 proc., Nawrocki 41 proc. Wszystkie będzie zależało więc od elektoratu Konfederacji, a także np. PSL. Nawrocki jest więc w lepszej sytuacji niż Duda, w którego początkowo prawie nikt nie wierzył. Mobilizacji prawej strony służyć będzie też przekonanie, że wygrana Trzaskowskiego przynieść może „domknięcie układu”.

Przyjęte przez kandydata prawicy hasło walki o pluralizm polityczny i zmniejszenie ostrości wojny polsko-polskiej – jeśli tylko będzie poprowadzone w mądrze – może przynieść kandydatowi z Gdańska spory polityczny kapitał. Charakterystyczna była wypowiedź byłego posła PO Bogusława Sonika, który tak wyjaśnia swój akces do komitetu wspierającego Nawrockiego: „Są dwa powody, dla których zdecydowałem się poprzeć pana Nawrockiego. Po pierwsze, Karol Nawrocki jest spoza establishmentu politycznego i aparatu partyjnego. A po drugie, jestem za pluralizmem w polityce”. Jeśli mówi o polityk, który miał okazję dobrze przyjrzeć się z bliska Donaldowi Tuskowi, to w jego ustach hasło „Nawrocki to gwarancja pluralizmu” oznacza, że zagrożenie zamordyzmem „uśmiechniętej Polski” jest bardzo realne.

WADY

1. Już widać, że formuła pozapartyjnego kandydata dla Karola Nawrockiego została wymyślona na łąpu-capu. Mimo że było odpowiednio dużo czasu, zaniedbano powołanie w spokojnych warunkach komitetu wspierania Nawrockiego. Nie wybrano na czas nawet przewodniczącego komitetu. Jeśli wierzyć prof. Andrzejowi Nowakowi,

to wystąpienie na wiecu w sali Sokoła w Krakowie z obywatelską rekomendacją dla kandydata zaproponowano mu w sobotę wieczorem, przed niedzielnym wiecem. I kolejna kwestia. Czy rozdzźwięk pomiędzy deklarowaną obywatelskością kampanii a tym, że najprawdopodobniej kampania będzie w dużym stopniu korzystać ze środków PiS, nie stanie się dla Nawrockiego kulą u nogi?

2. Nie sposób zrozumieć, dlaczego Nawrocki nie przygotował na inaugurację swego startu w hali Sokoła przemówienia „z głowy”. Z obozu PiS słysząc kulurowe wyjaśnienia, że kandydat z Gdańska zadeklarował, że taką przemowę wygłosi, ale potem – czy to skutek tremy, czy ostrożności – wolał jednak swój inauguracyjny manifest w dużej mierze przeczytać, a nie wygłosić z pamięci. Ten incydent Nawrocki musi potraktować niezwykle serio. Bez swobody wygłaszania długich, ponadgodzinnych monologów nie porwie sal w całej Polsce. Na dodatek rzucała się w oczy pewna sztywność mowy ciała. Bezłitośnie wypunktował to na portalu Onetu specjalista od body language Łukasz Kaca. „Wystąpienie było, delikatnie mówiąc, kanciaste, sztywne. Szczególnie było to widać w momentach, gdy gesty były spóźnione w stosunku do wypowiedzi. Pan Nawrocki coś mówił i gest powinien iść równo z tym, natomiast on był trochę opóźniony, przez co cała dynamika trochę spadała [...] Nie pomagało też czytanie z kartki. Jeśli już ktoś nie da rady powiedzieć z pamięci, to ta kartka może tam być, ale na tym poziomie to nie powinno być takie ordynarne czytanie z kartki”.

Następnego dnia ten sam Karol Nawrocki bardzo dobrze wypadł w luźnej rozmowie z Danutą Holecką jako gość TV Republiki. Wniosek? Nawrocki całkiem nieźle wypada w kameralnej rozmowie w studiu. Tyle że na trasie kampanijnej podstawowym formatem będą występy w dużych salach. Albo Nawrocki szybko nauczy się swobody w takich sytuacjach, albo będzie miał poważny problem. Oczywiście na jego korzyść można wskazać rozmaite niezłe pomysły z wiecu w hali Sokoła. Zaliczyć do nich należy użycie muzycznego motywu z filmu „Rocky” – zgrabna aluzja do emploi boksera – czy zaproszenie go na scenę przez najstarszego syna.

3. Informacja, że już następnego dnia po krakowskim wiecu Nawrocki pojawił

się we Włoszczowie, aby skrytykować wycofanie z rozkładu jazdy przystanków Pendolino na tej właśnie stacji, teoretycznie pasowała do wizerunku gdańszczanina jako obrońcy praw Polski B przed arogancją Platformy – rzecznika wielkich metropolii. Ale przez najbliższe pięć tygodni do daty oficjalnego rozpoczęcia kampanii 8 stycznia Nawrocki powinien ograniczyć wyjazdy, by poświęcić czas na staranne przygotowanie kampanijnych narzędzi. Musi wymyślić i dostosować do swoich potrzeb operacyjny sztab reagujący na aktualne wyzwania, osobno stworzyć bardziej oderwany od bieżączki zespół strategiczny planujący w skali całej kampanii, a osobno wreszcie stworzyć grupę operacyjną komitetu wsparcia, która wypracuje politykę wzmacniania jego autorytetu głosami poparcia znanych postaci. A oprócz tego Nawrocki musi znaleźć jeszcze czas na korepetycje z kwestii prawnych i konstytucyjnych, na zajęcia doszkaleniowe z polityki międzynarodowej i wreszcie na syntetyczne poznanie najważniejszych wyzwań ekonomicznych, przed którymi stoi Polska. A przede wszystkim ustalić sztywny parytet dzielenia czasu między wszystkie te zajęcia. Bo szybko odkryje, że czas jego pracy będzie przekraczał 16–18 godzin, a głowę kładzioną do poduszki po wypełnionych zajęciami dniami będzie miał spuchniętą jak bania. I powinien zaskakiwać, a nie powielać już ustalony wizerunek. Po co publikować na X kolejne migawki z siłowni? Nie lepiej opowiedzieć wszystkim, że zjadło się śniadanie z kimś w rodzaju Marka Magierowskiego (nie wiem czy Marek by się na to zgodził, ale chodzi mi o pewien kierunek kształtowania swojego wizerunku), aby dowiedzieć się czegoś o świecie amerykańskiej polityki?

4. I ostatnia kwestia, którą musi szybko rozstrzygnąć. Czy to Nawrocki będzie kontrolował przekaz na swój temat wobec mediów czy też media zrobią sobie z niego wiatrak, zapraszając go do siebie i urządzając quiz na zagięcie „natuszczyka z Gdańska”? Trzeba się zdecydować, czy przyjmując się za zaproszenia od wszystkich czy też wybiera się występy medialne tylko po to, aby zarysować jakiś wybrany i przygotowany przekaz. I musi to być zrobione z matematyczną dokładnością. Wszelki chaos albo spontan zemszczą się na Nawrockim niezwykle szybko. A na naukę nie ma zbyt dużo czasu.



Podwójny falstart



Rafał A. Ziemkiewicz

„Wygra ta drużyna, która popełni mniej błędów” – jak mawiał Kazimierz Górski. Na razie największą nadzieją Nawrockiego są jego przeciwnicy

Słabą rozpoznawalność Karola Nawrockiego można przy umiejętnej kampanii przekuć w jego największy atut FOT. PAWEŁ SUPERNIAK/PAP

Nigdy nie ma się drugiej okazji, by zrobić pierwsze wrażenie – także w polityce. Dlatego tak ważne są w niej wszelkiego rodzaju inauguracje. Niestety, inauguracja kampanii wyborczej Karola Nawrockiego dobrego wrażenia nie zrobiła. Nie jest to jeszcze katastrofa, ale jeśli kandydat szybko nie wyciągnie wniosków i nie zapanuje nad swoim zapleczem, to pomimo atutów, które posiada w rozgrywce z Rafałem Trzaskowskim, przegra. A chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że domknięcie systemu bezprawia i kolonialnego podporządkowania Polski niemieckiemu „państwu europejskiemu” to najgorsze, co może nam się w najbliższym czasie przydarzyć.

Formuła „kandydata obywatelskiego popieranego przez PiS” mogła mieć sens, ba, mogła dać przewagę nad rywalem, gdyby sprawę należycie rozegrano. Czas na to był jednak jakieś dwa miesiące, najpóźniej miesiąc temu. To wtedy należało stworzyć obywatelski komitet autorytetów z popierającymi Nawrockiego Andrzejem Nowakiem, Bogusławem Sonikiem oraz

Bronisławem Wildsteinem na czele i zaapelować o ponadpartyjnego kandydata, powiedzmy „polskich spraw”, tak jak stali swe bezskuteczne apele do prawicowych polityków sygnatariusze listów inicjowanych przez Macieja Pawlickiego. Ojczyzna w potrzebie – apeluje taki komitet, wokół którego zbiera się coraz więcej prawicowych środowisk, trzeba za wszelką cenę uniemożliwić domknięcie systemu tuskowo-bodnarowskiego bezprawia, trzeba kandydata ponadpartyjnego, a najlepszym będzie prezes IPN. Konfederacja z Mentzenem zostaje zepchnięta do defensywy, PiS przez parę tygodni odgrywa spektakl „największej partii opozycji należy się własny kandydat”, przymierzając kogoś w typie Czarnka albo Tarczyńskiego, aż ostatecznie ogłasza, że skoro ojczyzna w potrzebie, to jednak wznosimy się ponad i popieramy kandydata społecznego... To miałyby sens i skutek.

Ale tak, jak sprawę załatwiono, „obywatelskość” Nawrockiego ma tyle samo sensu, co upieranie się Hołowni, że jest „kandydatem niezależnym”, albo nazywanie niedawnego wchłonięcia przez

PiS Suwerennej Polski „zjednoczeniem prawicy”. Skoro najwyraźniej decyzja, by wystawić Nawrockiego zapadła dopiero w przededniu jej ogłoszenia (a wcześniej tygodniami trwały medialne spekulacje wokół partyjnej nominacji dla niego), to już lepiej było po prostu ogłosić Nawrockiego kandydatem PiS i go nie ośmieszać.

KARTKI NA BOK

Drugą wtopą było inauguracyjne przemówienie kandydata. Znacznie gorsze niż dotychczasowe publiczne wystąpienia Karola Nawrockiego jako historyka i prezesa IPN, odczytane z kartki, choć nie było w nim literalnie niczego, czego nie byłby on w stanie powiedzieć „z głowy”. Z kartki! Ja rozumiem, że po akcji – bezprawnej i skandalicznej skądinąd – pozbawienia PiS dotacji sytuacja finansowa partii jest ciężka. Ale czy naprawdę nie stać jej na nierzucający się w oczy prompter? W dodatku najwyraźniej zabrakło czasu, by to jakoś przećwiczyć. Nawrocki nie tylko mówił (czytał) gorzej niż kiedykolwiek wcześniej jako prezes IPN, lecz także stworzył wrażenie, że jest tylko figuran-

tem, któremu ktoś – wiadomo kto – pisze, co ma publicznie powiedzieć, a on jedynie posłusznie to wygłasza. A to jest najgorszy przekaz, jaki w tej sytuacji można było wysłać.

Obie wtopy mają zapewne tę samą przyczynę, już wspomnianą: decyzję o wystawieniu kandydatury Nawrockiego podjęto najwyraźniej w ostatniej chwili. Nie było czasu należycie przygotować go do występu, nie było czasu przemyśleć, do kogo i jak powinien się zwracać, a tym bardziej nie było czasu na stworzenie w miarę przekonującego anturażu dla „kandydata obywatelskiego”. „Zima znowu zaskoczyła drogowców”.

Szkoda niewypowiedziana, bo kandydowanie Nawrockiego to nie jest wcale – jak twierdzą niektórzy komentatorzy – „mission impossible”. Jego nieskrywane plebejskie korzenie, wizerunek fightera – siłownia, boks itd. – pozwalają zbudować dobry kontrast z gogusiowatym Trzaskowskim i przełamać w oczach kobiecego elektoratu urok fryzjersczyka, którym uwodzi ten segment wyborców nominat partii rządzącej. To, co jest największą słabością Nawrockiego – słaba rozpoznawalność – można przy umiejętnej kampanii przekuć w jego największy atut: jako kandydat mało znany ma też znikomy elektorat negatywny. Rządowe „wolne media” zwyczajnie nie miały czasu zbudować wokół niego tylu negatywnych emocji, co np. wobec Przemysława Czarnka. Już rzuciły się nadrabiać tę stratę, ale, jak wiadomo, w pośpiechu łatwiej popełnia się błędy, a „czarny PR” ma to do siebie, że łatwo go „przegrzać” ze skutkiem odwrotnym do zamierzonego.

PRZEGRZEWANIE

Pierwsze reakcje PO-wskiej „bańki” są pod tym względem obiecujące. Najpierw upowszechniono fejk z rzekomym hajlowaniem, który podchwycili liczni politycy koalicji i potem zmuszeni byli mniej lub bardziej pokrętnie przeproszać. Potem podchwycyło sensacje niemieckiej gazety, że w latach studenckich Nawrocki pracował jako portier w trójmiejskim hotelu i stąd „zna wszystkie prostytutki”. Te wątpliwej jakości demaskacje (poza wszystkim, nawet gdyby od czasów studenckich Nawrockiego ówczesne prostytutki musiały już wypaść z branży, a na pewno z jej elity, którą stanowią te

współpracujące z luksusowymi hotelami) stały się podstawą hejtu PO-wskich celebrytów, w rodzaju wpisu Krzysztofa Skiby, który ogłosił Nawrockiego „kandydatem alfonsów i przestępców”. Jak to się pisze w Internecie: „Wincyl!” – tacy ludzie jak Skiba, Maleńczuk, nie mówiąc już o Hołdysie czy prof. Markowskim, mogą w swej zajadłości okazać się największymi sojusznikami „kandydata obywatelskiego”, budując mu zarazem rozpoznawalność i legendę człowieka atakowanego nikczemnymi pomówieniami, a Polacy z jakiegoś powodu lubią się ujmować za ofiarami niesprawiedliwości.

„Przegrzaniem” może się także okazać decyzja PKW o odebraniu PiS dotacji pod trudno zrozumiałym dla przeciętnego wyborcy pretekstem, zwłaszcza w kontekście sposobu, w jaki została ogłoszona przez Ryszarda Kalisza, postrzeganego powszechnie jako polityk lewicy, a nie żaden „bezzstronny sędzia”. Miała ona za jednym zamachem nieco ukoić frustrację radykałów spod znaku „dlaczego oni wszyscy jeszcze nie siedzą?” i utrudnić PiS kampanię, zwłaszcza w wariantcie postawienia na kogoś mniej znanego, a więc i mniej nielubianego. Tak się w istocie dzieje; odebranie dotacji na pewno nie pomoże budować Nawrockiemu rozpoznawalności, ale może też stać się tak jak z PiS-owską „wunderwaffe” z wyborów parlamentarnych, którą było powołanie parlamentarnej komisji do zbadania wpływów rosyjskich. Inicjatorom tego przedsięwzięcia też wydawało się wtedy, że dobiją Tuska ostatecznie, a w istocie umożliwili mu powrót do władzy.

SIŁA W PRZECIWNIKACH

Tak czy owak na razie największą nadzieją Nawrockiego są jego przeciwnicy. Na Trzaskowskiego, aktywnego w polityce od wielu lat, łatwo znaleźć dość kompromitujących wypowiedzi i zachowań dokumentujących jego lewicowy radykalizm i konformizm wobec ośrodków zagranicznych, żeby skutecznie przedstawić się jako mniejsze zło – i w PO widać wyraźną obawę, że obecne optymistyczne sondaże mogą okazać się równie fałszywe jak te sprzed 10 lat, która sprzyja niekontrolowanej i nieprzemyślanej agresji. Duch „ciężarnej zakonnicy przejechanej na pasach” unosi się zresztą nad obydwoma głównymi protagonistami tej kampa-

nii, jedną stronę napawając przesadnym optymizmem, graniczącym chwilami z wielce naganną bez troską, drugą nieco paraliżując, szczególnie w połączeniu z powszechną w PO wiarą w spiskową teorię, że w 2015 r. podwójne zwycięstwo zapewnił PiS Amerykanie, których służby zakreśliły polską kampanią, i że wyborcze zwycięstwo Trumpa oznacza powtórkę sytuacji.

Zabawne jest skądinąd obserwowanie, jak rządzący i ich kibice starają się przełamać ten lęk, zasypując Trzaskowskiego i partię wezwaniami do „ciężkiej pracy”. Człowiekowi mojego pokolenia trudno oprzeć się tu skojarzeniu z późnym PRL, gdzie tak samo fetyszyzował „ciężką pracę” i wzywał do niej nieustannie swą partię Jaruzelski. Rzecz przecież nie w tym, by Trzaskowski „pojechał do każdej gminy”, tylko w tym, by miał tam do powiedzenia coś bardziej dla jej mieszkańców przekonującego niż to, że jest młody (?), przystojny, zna języki obce i cenił go prof. Geremek.

Żeby jednak Trzaskowski wypadł poza wielkimi miastami – gdzie i tak wygra, ale to nie one zadecydują – słabo, także Nawrocki musi mieć tam do powiedzenia coś nowego. Musi odejść od partyjnego przekazu PiS: „Przez osiem lat rządaliśmy świetnie, nie zrobiliśmy nic złego, nie mamy za co przeproszać, to wy, wyborcy, spieprzyliście wszystko, ulegając PO-wskiej demagogii, i teraz waszym patriotycznym obowiązkiem jest to naprawić głosowaniem na nasz powrót”. Więcej, musi wejść z tym przekazem w wyraźny konflikt, zaprezentować się jako samodzielnny polityk, lider rozumiejący dotychczasowe wydarzenia i mający wizję przeprowadzenia Polski przez narastający w Europie i świecie zamęt. Czy ma jakiekolwiek dane, by to zrobić, czy dorasta do takiej roli? To „enigmat ciemny jak grób”. Jeśli Jarosław Kaczyński postawił właśnie na niego, to można się obawiać, że zobaczył w nim materiał na bezwonnego „strażnika żyrandola”. Ale może się omylił?

„Wygra ta drużyna, która popełni mniej błędów” – jak mawiał Kazimierz Górski. Na razie zdecydowanie więcej błędów popełnia PiS. Ale przed nami jeszcze sześć miesięcy, w czasie których może się zdarzyć wszystko. Nawet coś dobrego.



Łukasz Warzecha

Kandydatura prezesa IPN nie jest bez szans. Najprawdopodobniej w obecnych warunkach była to jedyna kandydatura lub jedna z dwóch czy trzech najlepiej rokujących. To jednak nie znaczy, że plusy przeważają nad minusami. Pomysł na kampanię i poglądy Nawrockiego na trzy czwarte istotnych spraw to niewiadoma

Prawie 10 lat temu jednego dnia odbyły się dwie konwencje: Bronisława Komorowskiego i Andrzeja Dudy. Różnica w formie obu kandydatów, w atmosferze i energii była uderzająca. Pytany przez redaktora Jarosława Kulczyckiego o ocenę tych wydarzeń w programie „Z dnia na dzień” w TVP Info stwierdziłem, że wyglądało to tak, jakby zestawić najnowsze porsche 911 w postaci Andrzeja Dudy ze starym, klepanym polonezem w postaci Komorowskiego. Redaktor Kulczycki zapytał wówczas, czy płaci mi sztab Andrzeja Dudy – a ja wyszedłem ze studia, bo uznałem, że pytanie prowadzącego było skandaliczne.

Oglądając konwencję PiS w Krakowie, miałem wrażenie, że tym razem to kandydat „obywatelski” wjeżdża w kampanię klepanym polonezem. Konwencja pod każdym względem była regresem nie tylko wobec tego, co dzisiaj uznaje się za średni poziom takich wydarzeń, lecz także w relacji do wspomnianej konwencji z początku 2015 r. Źle pokazywane, źle zaplanowane, usypiające.

Symboliczna dla konwencji była scena, gdy prowadzący ją Lucjusz Nadberezny, prezydent Stalowej Woli (dlaczego do prowadzenia nie zatrudniono profesjonalisty?), najpierw wygłosił zaiste porównanie wprowadzenie: – [...] w mieście wielkich Polaków, którzy tworzyli naszą wielkość, również wielkość duchową, która nas niosła, trzeba wspomnieć również tych, którzy dają nam siłę, którzy dają nam możliwość działania.



FOT. DOMINIK GAJA/REPORTER

– Tym kimś miał być prezes Kaczyński, który w tym momencie wkroczył na salę – kulejąc. Chyba jako alegoria wspomnianej siły. Za takie ustawienie konwencji autor jej koncepcji powinien natychmiast stracić pracę – chyba że tym autorem był sam Jarosław Kaczyński, co wcale by mnie nie zdziwiło.

Inne elementy też nie zagrały: usypiające wystąpienie prof. Andrzeja Nowaka, dygresyjne wystąpienie prezesa, którego legendarna sprawność retoryczna i błyskotliwość są już tylko wspomnieniem, wreszcie czytane z kartki wystąpienie Nawrockiego. Jeśli ktoś potrzebuje notatek, żeby powiedzieć, że Polska jest wspaniała i chce dla niej pracować, to nie robi to najlepszego wrażenia.

ATUTY I PROBLEMY

Oczywiście inauguracyjna konwencja nie decyduje o wyniku wyborów, choć pierwsze wrażenie również jest ważne – a to nie było porywające, mówiąc najdelikatniej – a może też być sygnałem na przyszłość. Kilka wątków, które prawdopodobnie sztabowcy PiS zaplanowali sobie jako przewodnie w kampanii, już się pojawiło.

Pierwszy z nich, czyli „obywatelskość” kandydata, może zostać szybko zarzucony, bo stał się od razu obiektem ataków, kpin, a forsowanie go w kampanii może raczej

zaszkodzić, niż pomóc. Jaki to bowiem „obywatelski” kandydat, skoro w czasie tejże samej konwencji nawet sam prezes oznajmia, że Nawrocki był „w tym naszym konkursie” od początku? „Naszym” – czyli PiS-owskim. Nie wystarczy stworzyć „obywatelskiego komitetu poparcia” – zresztą wprost z udziałem polityków PiS albo bardzo bliskich tej partii osób (Jadwiga Emilewicz, Krzysztof Czabański, Sławomir Cenckiewicz, Anna Fotyga, Zdzisław Krasnodębski i wielu innych równie blisko z PiS związanych) – żeby kandydat stał się naprawdę niezależny. PiS nawet nie spróbował sięgnąć na etapie wyłaniania kandydata do jakichkolwiek głosów czy sił spoza samej partii. Zignorował – jakkolwiek niemający szans powodzenia, ale poparty przez sporą część środowisk konserwatywnych – apel o przeprowadzenie prawyborów. Nie zorganizował zapowiadanego przez siebie szerokiego zjazdu środowisk prawicy, bo działacze PiS nie mogli znieść, że ktoś z zewnątrz mógłby ich, o zgrozo, krytykować. Nawrocki nie jest więc żadnym kandydatem obywatelskim, ale po prostu kandydatem PiS i im szybciej partia to przyzna i przestanie się wygłupiać, tym szybciej rozbroi ten granat, który sama pod tę kandydaturę podłożyła.

Natomiast oczywiście jest prezes IPN kandydatem niepartyjnym – ale to inna

kwestia. Co jednak rodzi kolejny problem i powód do ataków: Czy kandydat może prowadzić kampanię, jednocześnie pozostając czynnym prezesem IPN? Prezes tej instytucji nie może należeć do partii, ale nie ma w ustawie o IPN mowy o tym, żeby nie mógł startować w wyborach z partyjnym poparciem. Nie może natomiast z pewnością wykorzystywać podległej sobie instytucji w kampanii, a temu rządzący będą się dokładnie przyglądać. Podobnie zresztą jak opozycja – słusznie – będzie sprawdzać, czy pan Trzaskowski nie prowadzi kampanii za pieniądze miasta.

W przypadku Nawrockiego atuty są jednocześnie problemami – i odwrotnie. Jego niska rozpoznawalność – zaledwie 34 proc. według badania dla „Super Expressu” – powoduje, że trzeba ją zbudować, a z tym może być ciężko przy obciążeniu pieniędzami. Zapewne podczas kampanii pojawi się również argument całkowitego braku doświadczenia politycznego kandydata – choć to akurat dla niektórych może być zaletą („może niedoświadczony, ale też nieumoczony”). Jednakże lepiej mieć kandydata, który dopiero się wyborcom opowie, a więc będzie tutaj mógł zachować elastyczność, niż takiego, który już się opowiedział – jak prezydent Warszawy – i to poprzez działania ekstremalne, takie jak wspieranie parady równości czy zarządzenie w sprawie wokeistowskich zasad mających obowiązywać w urzędzie miasta.

Ale uwaga: ta opowieść nie może być oderwana od prawdziwych poglądów kandydata, bo wyborcy taki fałsz jednak wyczuwają, mimo że żyjemy w epoce postpolityki. Zrobienie szefem sztabu Pawła Szefernakera daje nadzieję, że początkowy październik się nie powtórzy, ale też nie sam Szefernaker będzie odpowiadał za wizerunek kandydata. Jeśli za kulisami swoją robotę będą wykonywać ludzie tacy jak Jacek Kurski, to skończy się najpewniej na kampanii coraz bardziej skoncentrowanej na emablowaniu twardego elektoratu – a to może być kłopotliwe w drugiej turze.

NOWE TEMATY

Trzeba jednak patrzeć w ramach całego układu kandydatów – choć nie w pełni go jeszcze znamy i mogą się pojawić zaskoczenia. Naprzeciwno Nawrockie-

go staje Trzaskowski, któremu trudno będzie zerwać z wizerunkiem polityka skrajnego. Kandydat PiS może zatem tradycyjnie postawić na polaryzację – to jednak może spowodować, że jakaś część wyborców centrowych w drugiej turze zniechęci się całkowicie i po prostu zostanie w domach. Pytanie brzmi, kto na takim rozwoju wypadków bardziej by stracił.

Karol Nawrocki może również spróbować ukształtować swój wizerunek jako kandydata bardziej centrowego – mogłoby na to wskazywać wspomnienie podczas inauguracyjnego wystąpienia o konieczności zakończenia wojny polsko-polskiej. Główny kontrkandydat o tym nie wspomina również dlatego, że dla elektoratu KO wciąż ważne jest przynajmniej retoryczne podbijanie wątku „rozliczeń”. Być może więc prezes IPN mógłby spróbować przepchnąć kontrkandydata w lewą stronę, samemu starając się zająć centrum.

Jednocześnie jednak w drugiej turze liczyć się dla niego będą wyborcy Konfederacji, której kandydatem jest całkiem dobrze sobie radzący Sławomir Mentzen. Tutaj Nawrocki będzie miał trudne zadanie. Dla znaczącej części tych wyborców ważne są takie sprawy jak wolność osobista czy gospodarcza, a w tych sprawach PiS był na ogół wprost po przeciwnej stronie. Liczyć się będą również kwestie Ukrainy i wojny, gdzie PiS w czasie swoich rządów prezentował kurs radykalnie proukraiński, również kompletnie sprzeczny z tym, czego szukali u konfederatów ich sympatycy. W tej ostatniej sprawie prezes IPN – poza kwestią poszukiwań i ekshumacji ofiar wołyńskiej rzezi, o czym wypowiadał się zdecydowanie – prezentował na razie stanowisko mało klarowne i nieostre. Nie będzie tego jednak mógł robić w czasie całej kampanii. Na tematy gospodarcze zaś nie wypowiadał się w ogóle.

I to jest kolejny kłopot Nawrockiego: dotychczas nie musiał się wypowiadać na wiele tematów, o które będzie teraz pytany, także podczas debat (nie wiemy, jak sobie radzi w czasie takich wystąpień). Tymczasem mogą one być kluczowe dla istotnych kilku procent wyborców, od których może zależeć wygrana. Oni będą chcieli wiedzieć, czy nowy prezydent podpisałby ustawę zmienia-

jącą sposób obliczania wynagrodzenia minimalnego, czy jest zwolennikiem ozusowania umów cywilnoprawnych albo jak ocenia restrykcje wprowadzone przez rząd PiS w trakcie pandemii i czy, gdyby taka sytuacja się powtórzyła, milczałby jak prezydent Duda czy przeciwnie – broniłby obywatelskich wolności. Czy Karol Nawrocki i jego sztabowcy mają pomysł na ten segment elektoratu – za wcześniej stwierdzić. Jeżeli tak, to dotąd go nie ujawnili, ale może to jeszcze nie być właściwy moment.

KAMPANIA ZASKOCZEŃ?

Jest wreszcie zasadnicze w oczach wielu osób obciążenie kandydata PiS: samo poparcie PiS. Można założyć, że sposobem na osłabienie tego problemu było przedstawienie Nawrockiego jako kandydata „obywatelskiego” – ale to, jako się rzekło, jest skrajnie niewiarygodne. Dla wielu wyborców natomiast imprimatur od prezesa Kaczyńskiego jest równoznaczne z przekreśleniem kandydatury. Do takiego podejścia przyczynił się stan spraw pomiędzy PiS i jego prezesem a obecnym prezydentem. Andrzej Duda – wbrew pogardliwemu określeniu „Długopis” – od lat jest w bardzo chłodnych relacjach z Nowogrodzką. Tyle że właśnie to każe sądzić, iż Kaczyński nie wybrałby jako kandydata w przyszłorocznych wyborach osoby, którą mógłby podejrzewać o to, że urwie mu się podobnie jak obecna głowa państwa. A więc należałoby założyć, że Nawrocki musiał złożyć jakieś daleko idące obietnice lojalności. Nie będzie miał z tym problemu twardy elektorat PiS, ale pozostali wyborcy – już tak.

Wszystko to nie znaczy, że prezes IPN to kandydatura bez szans. Najprawdopodobniej w obecnych warunkach była to jedyna kandydatura lub jedna z dwóch czy trzech najlepiej rokujących. To jednak nie znaczy, że plusy przeważają nad minusami. Pomysł na kampanię i poglądy Nawrockiego na trzy czwarte istotnych spraw to niewiadoma. W obecnych okolicznościach nie da się zrobić całej kampanii na bogoojczyźnianych frazesach o polskiej dumie i wielkości. A nie zapominajmy, że nic nie jest jeszcze rozstrzygnięte, gdy idzie o ostateczny skład listy kandydatów. Może nas czekać sporo zaskoczeń.

Bierzcie, to wasze!



O niemieckich wpływach w Polsce po 1989 r. mogłoby powstać niejedno opracowanie składające się z kilku tomów podzielonych na okresy oraz dziedziny oddziaływania państwa niemieckiego na Polskę, jej politykę, tożsamość kulturową, gospodarkę etc. Niemcy najbardziej zainteresowani są polskimi ziemiami zachodnimi, nazywanymi po 1945 r. Ziemiami Odzyskanymi. Z kolei dla Niemców będą to ziemie „niemieckiego wschodu”. Określenie to możemy często usłyszeć przy okazji różnego rodzaju obchodów wkroczenia na obszar III Rzeszy Armii Czerwonej, wówczas będziemy mieli zdaniem Niemców do czynienia z „tragedią niemieckiego wschodu”. O tych terenach Niemcy, mówiąc delikatnie, nigdy nie zapomnieli i, swoją drogą, trudno mieć do nich o to pretensje.

Od wielu lat, a może i od początku III RP, trwa bierność państwa polskiego w każdym obszarze jego działania w stosunku do Niemiec. Dodajmy, że mamy



Andrzej Krzystyniak

Polska postawa bierności względem naszych zachodnich sąsiadów zaczyna przypominać gospodarza, który beztrząsco rozdaje swój dorobek przybyłym gościom, ciesząc się naiwnie, że ci o nim pamiętają. Trwonimy polski dorobek kulturowy na Ziemach Odzyskanych

czasem ze strony Polski do czynienia z działaniami w istocie swych pozornymi, nieprzynoszącymi prawie żadnych efektów, poza mizernymi wydziewkami propagandowymi. Polskie państwo pozwala na swoim terytorium działać organizacjom jawnie proniemieckim, jednocześnie separatystycznym w swych dążeniach, wrogim Polsce, niekrywającym nie tylko swej niechęci względem polskiego państwa, lecz także jawnie kwestionującym przynależność części terytorium do Polski. Nietrudno się domyślić, że chodzi o Śląsk.

Jedną z organizacji, której nazwy nie wymienię, utworzyła nawet wielojęzyczną stronę internetową o jakże regionalnej nazwie „Śląsk to nie Polska”. Strona nie jest dostępna w polskim Internecie, ale łatwo na nią wejść przez niemieckie wyszukiwarki. Organizacja nie kryje szerokich kontaktów z separatystami katalońskimi.

KTO NADAJE KIERUNEK ZMIAN?

Kilka tygodni temu opinię publiczną w Polsce oburzyło to, że



FOT. ADRIE STOCK

sko-niemiecka”, przez co należy rozumieć polską agresję. Jedną z proniemieckich pozycji, nad którą trwają niekończące się zachwyty historyków, stanowi dobitny przykład bierności polskich instytucji niepotrafiących wypracować jasnej rzetelnej wizji tego ważnego wydarzenia, którym były powstania śląskie.

Bierność może wynikać z tego, że instytucje polskie nie są zainteresowane osobami o propolskich zapętlaniach. Zdecydowanie bardziej opłacalne jest otwarcie kwestionować polskość Śląska czy Ziemi Odzyskanych, wówczas można liczyć na wiele profitów, jak to spotkało jednego z autorów, który w wydanej kilka lat temu książce dokonał niezwykłego odkrycia, że „Śląsk nie należy kulturowo do Polski”, a „Ślązacy częściej służyli w Wehrmachcie niż w Armii Krajowej”. Autor uhonorowany został również jedną z nagród przez Instytut Pileckiego, jeszcze za rządów PiS. A skoro państwo polskie, a nie tylko Niemcy, potrafi docenić takowe postawy, to czy warto im się sprzeciwiać?

Niewielu pewnie orientuje się w mnogości niemieckich fundacji, nagród, stypendiów przyznawanych za różnego typu działania mające na celu wspieranie działań niemieckiego rządu federalnego, co często nazywa się oficjalnie współpracą naukową z Niemcami czy też jak w przypadku Nagrody im. Georga Dehio, przyznawanej co roku przez Niemieckie Forum Kultury Europy Środkowej i Wschodniej (założone w 2000 r. w Poczdamie z inicjatywy pełnomocnika rządu federalnego) autorom za „przyczynianie się do popularyzacji niemieckiej kultury i historii w Europie Środkowej i Wschodniej”. Żeby takową nagrodę otrzymać, jak to miało miejsce w tym roku, wystarczy przygotować pracę o proniemieckim, a raczej proniemieckim dziedzictwie Ziemi Odzyskanych, gdzie rzekomo do dziś w niektórych domach wyposażenie stanowią „poniemieckie” sprzęty domowego użytku, takie jak: „kredensy i szafy, stoły i krzesła, maszyny i narzędzia, naczynia i akcesoria kuchenne, ubrania, obrazy na ścianach i weki w piwnicach”. Bądź też trzeba głosić, że „powstania śląskie” były „nieszczęściem, które doprowadziło do niesprawiedliwego podziału”.

Można wówczas liczyć na nagrodę ze strony państwa niemieckiego.

KAPITULANTWO

Z kolei polski samorząd wojewódzki na Śląsku może pochwalić się działaniami godnymi miana komediodramatu – w Katowicach jeden z instytutów nazwano mianem Myśli Polskiej, by za rok wymazać tę nazwę jako nieprzystającą do „wielokulturowego” Śląska.

Z początkiem listopada bieżącego roku mogliśmy dowiedzieć się, że w skład Rady Instytutu Zachodniego w Poznaniu weszła wicedyrektor Deutsches Polen-Institut w Darmstadt. Jak trafnie skomentował na platformie X prof. Stanisław Żerko, historyk oraz analityk Instytutu Zachodniego, sytuacja jest na wskroś nienormalna przede wszystkim ze względu na dostęp do często poufnych informacji, które w ten sposób uzyska wicedyrektor Deutsches Polen-Institut w Darmstadt.

To nic nowego w polskiej polityce względem państwa niemieckiego, jednak należy przyznać, że poziom bez troski czy też postawy kapitulanczkiej znacznie się powiększył. Polska postawa bierności względem naszych zachodnich sąsiadów zaczyna przypominać gospodarza, który rozdaje swój dorobek przybyłym gościom, ciesząc się naiwnie, że ci o nim pamiętają. „Bierzcie, to wasze!” – zdaje się mówić polskie państwo, rozdając, co jeszcze zostało. Zapominając, że polski dorobek kulturowy na Ziemiach Odzyskanych, który trwoni, może być bardzo trudny do odbudowania, trudniejszy od gospodarki, jeśli w ogóle kiedykolwiek nasze państwo obudzi się jeszcze z dziwnego letargu. Niemieckie państwo w dziedzinie polityki historycznej, kultywowania pamięci bije nas na głowę w każdej dziedzinie, nie jesteśmy w stanie, a może raczej nie chcemy podjąć działań na tym samym poziomie w żadnej z dziedzin.

Wzorem dla nas powinny być działania, które Niemcy podejmują, skrupulatnie zbierając rozsiane w Polsce szczątki swoich żołnierzy, ekshumując i chowając godnie na wyznaczonych umowami z polskim rządem cmentarzach. Nawet tutaj nie możemy mówić, że czynimy to równie dobrze.

dyrektorem Instytutu Pileckiego został prof. Krzysztof Ruchniewicz znany ze swej proniemieckości oraz – zdaniem publicystów – będący człowiekiem realizującym niemiecką wizję historii. Trudno zaakceptować spokojnie taki wybór szefa instytucji mającej dbać o polski interes w dziedzinie polityki historycznej i upamiętniania polskich ofiar. Jednak dla bystrych obserwatorów taki wybór nie jest niczym nowym.

Osoby o proniemieckich konotacjach i poglądach od dawna nadają kierunek zmianom kulturowym mającym na celu powolne wymazywanie polskości, a ich wpływ jest często tak silny, że nikt nie odważy się sprzeciwić, a nawet, jeśli tak się stanie, to zostanie, w najlepszym razie, przemilczany. Tak dzieje się w przypadku powstań śląskich – jednych z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii Śląska, a nawet Polski. Powstania te są od lat deprecjonowane jako „wojna domowa” czy też „wojna pol-

Powodzianie na lodzie



Radosław Wojtas

Odwiedziny najważniejszych polityków, ich przejęte twarze pełne współczucia, poklepywanie po plecach i zapewnienia, że pomoc zostanie uruchomiona natychmiast. Tak było we wrześniu, gdy powódź w Polsce stała się najważniejszym tematem w mediach. Minęły ponad dwa miesiące, obiektywy kamer skierowano w inne kierunki i życie zweryfikowało obietnice. Miało być dobrze jak nigdy, a jest fatalnie jak zawsze



Jeden z domów zniszczonych przez powódź w okolicach Łądku-Zdroju

FOT. RADOŚLAW WOJTAS

Wjeżdżających na tereny popowodziowe witają przydrożne bannery z podziękowaniami za pomoc. Ludzie dotknięci żywiołem doceniają porywy serca, których w pierwszych dniach i tygodniach powodzi było naprawdę dużo. Ale od tego czasu mija już trzeci miesiąc. Pomoc – siłą rzeczy – osłabła. Wolontariusze wrócili do swoich codziennych obowiązków, zapewne w przekonaniu, że teraz należycie zadziała państwo. Temat zniknął z mediów. Dwukrotnie. Raz, gdy od zejścia

wielkiej wody minęło kilka tygodni. Drugi raz po tym, gdy powodzianie znów na chwilę znaleźli się w prime timie, kiedy w Sejmie zwracali uwagę na niesprawnie działające instytucje państwowe.

Do Łądku-Zdroju wjeżdżałem mniej więcej w tym samym czasie, gdy w krakowskiej hali Sokoła rozpoczynała się konwencja, na której ogłoszono, że to Karol Nawrocki uzyskał poparcie PiS w wyborach prezydenckich. Dzień wcześniej zakończyły się prawyborzy Koalicji Obywatelskiej. Te tematy zdominowały

przekaz w tamten weekend, zdominują go w najbliższych miesiącach. Ale w Łądku-Zdroju i wielu innych miejscowościach, w których przeszła wielka woda, tematem numer jeden jest i jeszcze długo będzie powódź oraz likwidowanie jej skutków.

PREMIER WIE, CO MÓWI

W Łądku-Zdroju największa fala powodziowa przeszła przez samo serce miasta. Do dziś wygląda ono przygnębiająco. Drzwi budynków – jeśli się ostały, bo wiele kamienic po prostu ich nie ma – są oznaczone specjalnymi naklejkami. Czerwone ostrzegają, że budynki grożą zawaleniem. Żółte – że są uszkodzenia, ale niezagrożające życiu. W niedzielny wieczór w centrum miasteczka praktycznie nie ma życia. Czynnym jest tylko jeden lokal z kebabem, który jednak świeci pustkami. Na palcach obu rąk mógłbym policzyć liczbę osób, które spotkałem w ciągu trwającego kilkadziesiąt minut krążenia łądkowymi uliczkami. – Jak u was? Macie już gaz? – pyta starsza kobieta inną mieszkankę w podobnym do niej wieku. – Dzięki Bogu już tak. Ale wciąż osuszamy, chodzą dwie farelki... – pada odpowiedź. Dalsza wymiana zdań kręci się wokół bieżącej sytuacji po powodzi. Jak większość rozmów tutaj.

Na drzwiach kościoła pw. Narodzenia NMP wisi kartka w żółtym kolorze. – Było kilka ekspertyz. Najpierw nadzór budowlany stwierdził, że kościół trzeba zamknąć. To było dla nas trudne, bo w kościele nie tylko się modlimy, lecz także przekazujemy ludziom informacje i pomoc. Później przyjechała pani konserwator zabytków i inny nadzór budowlany i dostaliśmy żółtą nalepkę. Kościół chociaż w części można użytkować – mówi mi proboszcz parafii Narodzenia NMP, ks. Aleksander Trojan.

Plebania też została zalana. Jeszcze jej dobrze nie osuszono, czuć wilgoć. Mimo tego, gdy tylko było to możliwe, stała się miejscem, gdzie gromadzone i dystrybuowane są dary. Na początku była to głównie woda czy odzież. Teraz – różne sprzęty, meble, urządzenia AGD itd. Oprócz proboszcza w plebanii wita mnie ubrany w czerwoną bluzę Caritas Mariusz Kornak. To mieszkaniec kamienicy położonej nieopodal kościoła. Mieszkał z mamą na parterze w lokalu

komunalnym. Gdy woda uderzyła, oboje byli w domu. – Jak większość mieszkańców – mówi pan Mariusz. – W Łądku prąd i Internet skończyły się w momencie, gdy Donald Tusk ogłosił, że tama w Stroniu Śląskim wytrzyma. Byliśmy spokojni, przecież premier nie rzucałby takich słów na wiatr. Wierzyliśmy, że wie, co mówi. O tym, że tama jednak pękła, dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy na mojej ulicy były już prawie dwa metry wody. Siedziałem w kuchni, w której nie mam okna, usłyszałem szum. Podbiegłem do okna w pokoju i zobaczyłem, że wszystko jest już zalane – opowiada.

Uciekł z mamą na poddasze. Ocalili to, co najcenniejsze – życie. Ale stracili wszystko inne. Z rzeczy materialnych pan Mariusz zdążył uratować tylko dwa portfele – swój i mamy. W podobnej sytuacji są wszyscy jego sąsiedzi. – Żaden z mieszkańców parterowych lokali na rynku nie zabezpieczył majątku. Skoro nawet ze sklepów nie wywożono towarów, bo ufano, że tama wytrzyma, to co dopiero mówić o zwykłych mieszkańcach? – rozkłada ręce.

Na strychu pan Mariusz i jego mama spędzili kilka dni. – Ogarnąłem tam kącik i tam mieszkaliśmy. Pierwsze osoby, które pojawiły się w naszym budynku, by zorientować się, czy żyjemy czy nie, pojawiły się dopiero w czwartym dniu po powodzi. Pierwsi urzędnicy przyszli dopiero po tygodniu – mówi pan Mariusz. Ksiądz Aleksander Trojan dodaje, że chaos był na początku bardzo duży. – Gdy pękła tama, mieliśmy pełny kościół ludzi. Ledwie zdążyliśmy ich ewakuować. Ksiądz wikariusza porwała woda, rzuciła go na parapet plebanii. Nie mogliśmy mu pomóc, podaliśmy mu tylko splątane na szybko przedłużacze, by tak go trzymać. Spędził w lodowatej wodzie półtorej godziny. Dostał hipotermii – opowiada proboszcz parafii pw. Narodzenia NMP.

NAJGORSZA JEST NIEPEWNOŚĆ

Początkowy chaos można zrozumieć. Jednak ponad dwa miesiące od powodzi nie jest lepiej. Pan Mariusz, podobnie jak inni mieszkańcy Łądko-Zdroju, którzy musieli opuścić swoje mieszkania, trafił do jednego z ośrodków wypoczynko-

wych. Część uzdrowiskowa nie była zalana, po ewakuowaniu kuracjuszy miejsca noclegowe zajmowali na początku m.in. wolontariusze, dziś kwatrują tam poszkodowani mieszkańcy. – Z naszego obszaru wysiedlono 145 rodzin i przeniesiono do pokoi w pensjonatach. Nie mogą wrócić do swoich domów, nie mogą ich remontować. Nie mogą przyjąć pomocy w postaci wyposażenia, sprzętu AGD itp., bo nie mają gdzie go przechować. A pomoc finansowa świadczona przez państwo jest marna. Nie wszyscy dostali jeszcze pierwszą transzę 2 tys. i 8 tys. zł wsparcia, nie mówiąc już o obiecanych 100 czy 200 tys. zł – mówi ks. Aleksander Trojan. – Zima za pasem, a ludzie żyją w zawieszeniu, nie wiedzą, co dalej będzie.

Nie wie też pan Mariusz. Do lokalu komunalnego, w którym mieszkał, zagląda codziennie. Odbiera korespondencję ze skrzynki. – Nic się tam nie dzieje – mówi. Pytam, czy wie, kiedy będzie mógł wrócić. Czy budynek będzie nadawał się do zamieszkania. – Nie mam pojęcia. W pierwszej fazie budynek był przeznaczony do

REKLAMA

Zysujemy czy tracimy na Unii?
Gospodarcze podsumowanie
20 lat członkostwa Polski w UE

SABOTAŻ KLIMATYCZNY
JAK TRANSFORMACJA ENERGETYCZNA
RUJNUJE NASZE ŻYCIE

Ile nas kosztuje
i do czego prowadzi
realizowana rewolucja
energetyczna?

Do nabycia na www.tomaszcukiernik.pl

Dla Czytelników „Do Rzeczy” 20% taniej. Kod rabatowy: **DORZECZY**

rozbioru. Potem przyszła druga komisja, która stwierdziła, że się nadaje do mieszkania. Potem była trzecia komisja, która orzekła, że kamienicę trzeba rozebrać. Nawet były takie obwieszczenia wywieszone. Potem była czwarta ekspertyza, która stwierdziła, że tylko parter nie nadaje się do mieszkania, reszta się nadaje. Co ekspertyza, to inna opinia – mówi.

– To co teraz, co ze świętami? Gdzie się podzieją? – pytam.

– Nie mamy do czego wracać. Nic nie mamy. Nikt z nami o niczym nie rozmawia. Siedzimy w pensjonatach i nic nie wiemy. Co dwa dni wybucha plotka, że od jutra nas przerzucają do innego pensjonatu. Swoimi kanałami dowiedzieliśmy się, że ok. 15 grudnia będą nas wszystkich przenosić do jednego punktu. Ale to nie jest oficjalna informacja. Ta niepewność jest najgorsza – mówi.

Jedna z sąsiadek pana Mariusza wzięła niedawno kredyt i przeprowadziła remont mieszkania komunalnego, które zostało doszczętnie zniszczone. – Odszkodowanie dostanie miasto, bo to nie jest jej lokal. Przez najbliższe 10 lat będzie spłacać coś, czego już nie ma – opowiada pan Mariusz. – Powódź to mnóstwo drobnych dramatów. Może biedota z rynku w Łądku-Zdroju nie straciła majątku o wysokiej wartości. Ale to nie jest taki prosty rachunek. Trudno powiedzieć, czy więcej stracił ten, który miał dużo i stracił dużo, czy ten, który miał mało, ale to, co stracił, było dla niego wszystkim – dodaje.

Jeden z mieszkańców Radochowa, którego spotkałem, gdy porządkował swoją posesję, powiedział mi, że nie zna nikogo, kto dostałby większą pomoc od państwa niż kilka tysięcy złotych. – Na początku zainteresowanie mediów było bardzo duże, ogromna była też fala pomocy ludzi z całej Polski. Niektórzy brali urlopy, przyjeżdżali na tydzień, na dwa tygodnie i pomagali, w czym tylko mogli. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni. Dziś zostały z nami tylko wojsko i Caritas. Politycy obiecywali szybką pomoc. Na obietnicach się skończyło – mówi mi.

PRZESTAŃCIE NAMI GRAĆ

Jeszcze gorzej potraktowano przedsiębiorców. Właściciel zalanego niewielkiego hoteliku w zabytkowym pałacu na Dolnym Śląsku opowiadał mi, że kiedy zgłosił się po

Takie wydarzenia zostawiają ślad na zawsze. Niektórym trudno teraz myśleć o walce o pomoc materialną

pomoc, usłyszał od urzędnika, iż „wojsko nie jest od sprzątan pałaców”. Na dramatyczną sytuację przedsiębiorców zwrócili uwagę powodzianie, którzy w drugiej połowie listopada wzięli udział w posiedzeniu sejmowej komisji zajmującej się sprawą powodzi.

– Bardzo byśmy chcieli, abyście nie grali nami, bo nie chcemy być poligonem dla polityków. Doświadczaliśmy już tego na początku po powodzi, gdy udzielaliśmy wywiadów. W naszej naiwności i nieświadomości nie pytaliśmy nawet, komu udzielamy tych wywiadów, bo była masa dziennikarzy i te wywiady szły w różne stacje telewizyjne w zależności, gdzie im to pasowało. I to była taka manipulacja, w którą my zostaliśmy włączeni. Przyjmijcie nas jako poszkodowanych, którzy potrzebują waszego wsparcia, bo my i wy to jedno – obywatele jednego państwa, które powinno nam zapewnić porządek i bezpieczeństwo – mówiła Barbara Glińska z Kłodzka.

– Jesteśmy w trzecim miesiącu biedy popowodziowej. A wy, niestety, do tej pory omawialiście poprawki do poprawek. My potrzebujemy naprawdę szybkich rozwiązań, bo od dwóch miesięcy jesteśmy bez środków do życia, bez wypłaty, bez przedsiębiorstw, bardzo często również bez domu. My kujemy tynki, wozimy gruz, bo tutaj wojsko ma zakaz pomocy przedsiębiorcom. Jest to bardzo ważna sprawa do rozwiązania, bo wojsko pomaga osobom fizycznym, nie przedsiębiorcom. My w wolnym czasie wypełniamy druki, formularze, wnioski, które co chwila były zmieniane. Do tej pory pomocy państwa nie widzieliśmy, słyszeliśmy o niej z mediów. Była niestety niewystarczająca. A my nie mamy barw politycznych. Nas łączy wspólne nieszczęście klęski żywiołowej – dodawała.

Burmistrz Głucholaz Paweł Szymkowicz w rozmowie z Robertem Mazurkiem dla Kanału Zero 21 listopada mówił, że pomoc od państwa otrzymało 140 ro-

dzin przy 180 wydanych decyzjach. – Na 16 października mieliśmy oszacowanych ok. 1150 adresów. Te szacunki były potrzebne do wypłaty pieniędzy, ale wiem, że po tym czasie wpłynęło ok. 250 nowych wniosków – mówił. Zatem zaledwie ok. 10 proc. poszkodowanych w tej gminie otrzymało pomoc, czyli 90 proc. poszkodowanych jej nie pottrzymało. Ponad dwa miesiące po powodzi.

Odpowiedzią na te wszystkie problemy były m.in. dymisja wojewody dolnośląskiego Macieja Awżenka oraz nowelizacja ustawy powodziowej. Zmienione przepisy m.in. wprowadzają możliwość udzielania zaliczek pomocowych dla poszkodowanych, co ma przyspieszyć udzielanie wsparcia oraz umożliwienie wszystkim wskazanym w rozporządzeniu o stanie klęski żywiołowej poszkodowanym gminom i powiatom skorzystanie z dofinansowania do 100 proc. kosztów zadań własnych. Do tej pory wkład ten musiał wynosić 20 proc.

– Mieszkańcy rynku w Łądku-Zdroju, czyli najbiedniejsi mieszkańcy, to ludzie, którzy nie umieją się postarać o pomoc. Do nich trzeba wyciągnąć rękę, wszystko dokładnie wytłumaczyć, czarno na białym. Oni często nie przychodzą po dary, nie mają nawet jeszcze czerwononych kart [karty powodziowe uprawniające do otrzymywania pomocy, m.in. artykułów żywnościowych, wody, karmy dla zwierząt, ubrań, pościeli, osuszaczy, nagrzewnic, grzejników, sprzętu AGD, mebli etc. – przyp. red.], bo nie wiedzą, jak się do tego zabrać – mówi pan Mariusz. – Proszę nie zapominać, że wielu poszkodowanych wciąż jest w szoku. Na pierwszy rzut oka nie widać, by coś im się stało, ale pozostała w nich trauma. Oni wszyscy byli w domach podczas powodzi. Kiedy siedziałem z mamą na strychu, pod filary wpłynął samochód i uderzał w ścianę kamienicy. Na głowę sypał nam się tynk, nie wiedzieliśmy, czy budynek wytrzyma. Takie wydarzenia zostawiają ślad na zawsze. Niektórym trudno teraz myśleć o walce o pomoc materialną w takim chaosie i przy takiej opieszałości. Zwłaszcza że ludzie nie wiedzą, co z nimi będzie. Jak pan myśli, czy w tym pomoże jakakolwiek ustawa? Tu trzeba sprawnego działania instytucji – mówi pan Mariusz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



BOMBY POD NOGI ZABORCÓW!

Zamachy dla niepodległej Polski – Przyszła elita II RP przed pierwszą wojną światową organizowała ataki bombowe wymierzone w funkcjonariuszy carskiego reżimu

Najgroźniejsi agenci ochrony – Stworzona po zamachu na cara tajna policja dokonała wielu udanych prowokacji. Z jej doświadczeń czerpała potem bolszewicka bezpieka

Reagan, rakiety i dolary – Pieniądze od jednego wroga Stanów Zjednoczonych posłużyły do zwalczania drugiego. Tajna operacja CIA skończyła się olbrzymim skandalem

Aryjski wilk i żydowski szczur – W nazistowskich Niemczech „miłość” do zwierząt motywowana była pseudodarwinistyczną ideologią

Bolesław Ocalony – Niemiecki monarcha stanowczo wypierał się swojego udziału w zamachu na Bolesława Chrobrego, ale wszystkie tropy w tej sprawie prowadziły na jego dwór

Nowy Wspaniały Żyd – Zgodnie z założeniami syjonizmu naród żydowski miał przejść w Palestynie metamorfozę. Słabego Żyda z diaspory miał zastąpić potężny Żyd wojownik

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Powrót Zielonego Księcia

Park Mużakowski
w wyobrażeniach jego twórcy

FOT. WIESŁAW CHEŁMIŃIAK



Wiesław Chełmiński

Architektura krajobrazu to pojęcie trochę dwuznaczne, lecz w ekologicznym panteonie znalazło się miejsce dla arystokraty, który zapragnął stworzyć oazę w środku Europy

Pückler! Pückler? Po prostu niewiarogodne!". Z plakatu, reklamującego wystawę w Bad Muskau, patrzy bawidełek w niedbale zawiązanym turbanie i mundurze obwieszonym orderami. To kompilacja dwóch portretów, które nawet oglądane osobno sugerują: ten człowiek nie był wojskowym ani mężem stanu. I rzeczywiście, Hermann von Pückler-Muskau zasłynął jako podróżnik, literat, dandys, kobieciarz i... ogrodnik. W rodowych posiadłościach

nad Nysą Łużycką założył 700-hektarowy park w stylu angielskim. Jakimś cudem przetrwał on dziejowe zawieruchy i trafił na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Większa część „dzikiego ogrodu” znajduje się na prawym, polskim brzegu rzeki.

LISTY DO L.

Urodzony w niedzielę 30 października 1785 r. najstarszy z synów hrabiego Pücklera był krnąbrnym dzieciakiem. Płatał otoczeniu małpie figle, bo miał świadomość, że wszystko i tak zostanie mu wybaczone. Wiedzę zdobywał na czterech niemieckich uniwersytetach, ale żadnego nie ukończył. Armia pozbyła się Hermanna z powodu upodobania do hazardu i pojedynków. Smakosz i fircyk farbował włosy, przebierał się trzy, cztery razy dziennie i były to stroje zwracające uwagę.

Napoleon sprawił, że granice państw europejskich stały się płynne. Łużyce, należące od wieków do Saksonii, po jego klęsce dostały się Hohenzollernom. Od Prusaków, pragnących pozyskać miejscową elitę, Hermann dostał tytuł księcia. Do

końca życia pozostał jednak frankofilem, co nie mogło podobać się niemieckim patriotom. Z kolei konserwatystów irytował styl życia Pücklera. Pewien profesor literatury porównał go do butelki – błyszczącej, lecz pustej w środku.

Idolem młodego arystokraty był lord Byron. Jak przystało na romantyka, złożył też hołd Goethemu, by odkryć, że Książę Poetów zainicjował powstanie „naturalnego ogrodu” nad rzeką Ilm. Wizyta w Weimarze nie była wielkim wyczynem dla człowieka, który połowę swojego dorosłego życia spędził w podróży. Pücklera widziano w Szwajcarii, we Francji, Włoszech, w Hiszpanii, Algierii, Tunezji, na Malcie, w Grecji, Turcji, Egipcie, Palestynie, Libanie i Syrii. Trzykrotnie bawił w Wielkiej Brytanii.

W wieku, który nie znał jeszcze mediów społecznościowych, influencerem zostawało się dzięki korespondencji. Nasz bohater był na tym polu bardzo aktywny: lista jego adresatów opiewa na 4,5 tys. pozycji, od monarchów do stajennych. Listy miłosne sortował alfabetycznie. Co tu

kryć, kobiety uskrzydlały Hermanna. Emablował artystki, tancerki, intelektualistki, arystokratki, a nawet zwykłe mieszczyki.

Wysyłał im ananasy, które hodował w Mużakowie. Nazywał ich imionami ścieżki w parku.

Mając lat 31, Hermann poślubił Lucie, córkę kanclerza Prus, Karla Augusta von Hardenberga. Nazywał ją „Owieczką” i obsypywał komplementami, ale był to tzw. związek otwarty. Starsza o dziewięć lat rozwódka była dla niego jedynie „matczyną przyjaciółką” tudzież finansowym wsparciem. Gdy w szkatule ukazało się dno, poradziła księciu szukać nowej połowicy, której posag pozwoliłby dokonać inwestycje w Mużakowie. Pückler wyprawił się do Anglii, by rozejrzeć się za majątną panną, jednak ratunek przyszedł z nieoczekiwanej strony. Relacja z ojczysty Szekspira, wydana w czterech tomach pt. „Listy umarłego”, okazała się bestsellerem.

Książę, zachęcony powodzeniem, napisał jeszcze (pod pseudonimem) dziewięć książek podróżniczych, ale zainteresowanie czytelników słabło. Umacniała się za to reputacja skandalisty. Na targu niewolników w Chartumie (lub w Kairze) Pückler kupił kilka dziewcząt – jak to określił – do swojego „małego haremu”. Jedną z nich, 12-letnią Abisynkę, uczynił osobistą sekretarką. Widział w Machbubie dziecko natury, niezeepsute cywilizacją. Para budziła sensację w salonach Pesztu, Pragi i Wiednia, lecz dziewczyna zmarła wkrótce po przybyciu do Muskau na zapalenie płuc. Jej grób, znajdujący się na cmentarzu ewangelickim przy kościele św. Jakuba, jest dziś atrakcją turystyczną. Pośmiertną maskę Ajiamé Machbuby (co znaczy kochanka lub ulubienica) można zaś podziwiać na wystawie w Nowym Zamku.

JAK IMITOWAĆ NATURĘ

Zwiedzając Anglię, łużycki ekscentryk dostrzegł, że ogrodnictwo awansowało tam do rangi sztuki. Pejzaż idealny to pierwotna puszcza – odkrył już w 1712 r. Joseph Addison. Redaktor „Spectatora” potępił proste linie, przycinanie roślin i zielone labirynty, tworzone na francuską modłę. Alexander Pope, wpływowy poeta i satyryk, nie zwlekając, wcielił te postulaty w czyn w swej posiadłości w Chiswick. Ideę „dzikich ogrodów” podchwycili za-

przyjaźnieni arystokraci – zanim dobiegł końca wiek XVIII, kraj usiany był prywatnymi arkadami.

Słowem kluczem była malowniczość. Wielka Brytania, bogatsza w zieleń i bardziej wilgotna niż kraje śródziemnomorskie, stała się mekką architektów krajobrazu. Ogrody w nowym stylu – idealną scenerią sentymentalnych powieści. Jeziora o nieregularnych kształtach, łagodnie wzgórza, doliny, wodospady, kręte alejki, kompozycje złożone z grupy drzew zachwycały cudzoziemców. Granice parku miały być niedostrzegalne, wyznaczały je zagłębione mury oporowe i głębokie rowy. Nic nie mogło zakłócać widoku. Krajobraz uzupełniały antyczne i egzotyczne akcenty: ruiny grecko-rzymskich świątyń, obeliski, bramy, mostki, kolumny, grotty,



prawdziwe i fałszywe grobowce tudzież chińskie altany.

Ekspansji „naturalnych ogrodów” w Europie sprzyjała anglofilia, utożsamiana często z liberalizmem. Autokratyczna Francja, odwieczny wróg Albionu, celowała w ujarzmianie przyrody. Wersalskie ogrody były dodatkkiem do rezydencji, przedłużeniem pałacowej architektury. Wszystko zmieniło się dzięki sentymentalnej powieści. Markiz de Girardin, zainspirowany lekturą „Nowej Heloizy”, stworzył w Ermenonville wzorcową kompozycję krajobrazową. Sławę parku zwielokrotniło to, że pochowano w nim filozofa Jeana-Jacques’a Rousseau, autora

rzeczony powieści. Sarkofag z napisem: „Tu leży człowiek Natury i Prawdy”, umieszczony na sztucznej wyspie obsadzonej topolami, stał się obiektem ikoną powielanym wszędzie, gdzie elity mówiły (a czasem również myślały) po francusku.

Nowa moda szybko dotarła do Rzeczypospolitej. Jako pierwsza „dziki ogród” sprawiła sobie Aleksandra Ogińska w Siedlcach. Inne damy nie chciały być gorsze. Izabela Lubomirska (Mokotów), Urszula Mniszech (Dęblin), Anna Jabłonowska (Kock i Siemiatycze), Aleksandra Potocka (Morysin) ogrodników wyrwały sobie z rąk. Rywalizację wygrały panie najbardziej wytrwałe: Izabela Czartoryska i Helena Radziwiłłowa. Pierwsza stworzyła zielony raj w Powązkach, a potem w Puławach. Druga przeszła do historii jako fundatorka Arkadii koło Nieborowa, najlepiej zachowanego parku romantycznego w Polsce.

Czartoryska w książce „Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów” radziła, by park niepostrzeżenie zmieniał się w las, łąkę lub wiejskie pole. Opisując kwiaty, krzewy i drzewa, jako patriotka dawała zaś pierwszeństwo gatunkom rodzimym. Pomysł księżnej i jej rywalek wcielali jednak w życie zawodowcy, zwykle cudzoziemcy. Jan Chrystian Schuch i Szymon Bogumił Zug, obaj rodem z Saksonii, najlepiej radzili sobie z przeprojektowaniem istniejących barokowych ogrodów w nowym, sentymentalnym, duchu.

ZADŁUŻONY WIZJONER

Park Mużakowski nie jest więc „unikatem na skalę światową”, jak twierdzi zarządzająca nim fundacja. Pierwszy w Niemczech park angielski (Wörlitz) powstał już w 1764 r. Myśl Pope’a: „Ogrodnictwo jest bliżej Boga niż poezja” udatnie tłumaczyli na język konkretów Friedrich Ludwig Sckell (w Monachium i Nadrenii) i Peter Joseph Lenné, który zaprojektował 250 romantycznych ogrodów, na zawsze zmieniając pejzaż Poczdamu i Berlina. Gdy w 1815 r. Pückler proklamował zieloną rewolucję, małpowanie natury było już powszechnym procederem.

Wzorując się na Brytyjczykach, książę zaczął od zamówienia serii malowideł przedstawiających wizję przyszłego ogrodu. Największą przeszkodą był brak funduszy. Łużycanie z rezerwą przyjęli apel o przekazanie mu własności ziemi.

■ Żmudne negocjacje o działki studziły entuzjazm Pücklera. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną.

Chcąc ukończyć swoje dzieło chociaż na papierze, napisał książkę „Szkice o ogrodnictwie krajobrazowym”. Miała ona w przyszłości zainspirować twórców nowojorskiego Central Parku.

W Muskau pracowało 200 ludzi, kierowali nimi doświadczeni ogrodnicy: najpierw Jacob Heinrich Herder, potem Carl Eduard Petzold. Rozległy teren ukształtowany przez lodowiec dał im duże pole do popisu. Najbliżej zamku znajduje się ogród kwiatowy, któremu książę nadał angielską nazwę Pleasure Ground (rzekomo trudno mu było znaleźć dobry odpowiednik w języku niemieckim). Rezydencja Pücklerów w 1945 r. stała się efektowną ruiną. Można sądzić, że taka podobała się Hermannowi bardziej niż obecna – odbudowana w stylu neorenesansowym. On sam preferował klasycyzm. Zamówił nawet projekt u najlepszego berlińskiego architekta Karla Friedricha Schinkela, jednak nie doczekał się on realizacji.

Mużaków aspirował do miana kurortu, więc w górnej części parku otwarto łaźnię Hermannsbad. Nie przyniosła spodziewanych dochodów. Po trzech dekadach zadłużony po uszy książę sprzedał dobra nad Nysą, przenosząc się (razem z Lucie) do skromniejszej posiadłości w Branitz, na przedmieściach Chociebuża. Tamtejszy pałac, zbudowany przez dziadka naszego bohatera, miał więcej szczęścia, został splądrowany przez Armię Czerwoną i miejscowych szabrowników, ale przetrwał.

Rekonstrukcja, zakończona w 200. rocznicę urodzin Pücklera, daje dobre pojęcie o jego guście. Miał słabość do frywolnych rzeźb i obrazów. Ściany pokoju śniadaniowego kazał obić fioletowym jedwabiem, wystroju wnętrza dopełnia czarna boazeria z połączanymi ozdobami. Chlubą pałacu są trzy, świeżo odrestaurowane, pomieszczenia w stylu orientalnym. Główny lokator, jak zawsze ekscentryczny, zwykł przechadzać się po okolicy w tureckim stroju i czerwonym fezie na głowie. W stajniach trzymał konie arabskie, które nabył w Syrii.

Park w Branitz był większym wyzwaniem niż ten w Muskau. Książę jednak ani myślał kapitulować. Systematycznie

przekształcał płaski ugor w zieloną krainę jezior i pagórków. Za jego życia „dziki ogród” osiągnął powierzchnię 70 ha (obecnie ma ich 620). Nie zrezygnował też z pańskich gestów. Regularnie urządzał w pałacu wystawne bankiety. Nawiasem mówiąc: oferowane turystom „lody Pücklera” mają niewiele wspólnego z deserem wymyślonym przez książęcego kucharza.

PARKOMANIA PO ŁUŻYCKU

Gdy nocą z 4 na 5 lutego 1871 r. arystokrata ogrodnik konał w Pokoju Tureckim, jego ziomkowie żyli wojną z Francją, której stawką było zjednoczenie Niemiec. Gazety nie omieszczały jednak rozdmuchać skandalu związanego z pochówkiem. Pückler, który bardziej wierzył w naukę niż w Boga, zarządził, by jego zwłoki poddano „chemicznej kremacji”, a prochy złożono w kurhanie usypanym z ziemi na wyspie jednego z parkowych stawów. Kilkanaście lat później w tej osobiwej mogile spoczęły również szczątki Lucie. Niedaleko „piramidy na wodzie” na równinie stoi druga, ozdobiona niebieską koroną i napisem: „Groby są szczytami gór dalekiego nowego świata”.

Oprócz odnowionych wnętrz atrakcją pałacu w Branitz jest stała wystawa „Książę Pückler – Europejczyk w Branitz”. No cóż, człowiek, który doradzał paryżanom, jak urządzić Lasek Buloński, zasłużył na takie miano. Wśród eksponatów jest księga, w której skrupulatnie zapisywano menu bankietów i nazwiska gości, tudzież portret i odlew dłoni Machbuby. Pamiątkami książęcych wojaży są „włos z grzywy pewnego słońca”, fragment rzeźby z ateńskiego Akropolu, imponujący zbiór tureckich fajek oraz kolekcja białej broni. Ta ostatnia trochę zardzewiała, bo w 1945 r. została zatopiona w przypałacowym stawie. Wydobyto ją dopiero osiem lat później.

Z licznych pawilonów, które w czasach Pücklera zdobiły park, ostała się tylko altana z połączanym popiersiem diwy operowej Henrietty Sontag, z którą Hermann miał romans w Londynie. Branitz pięknieje z roku na rok. A Mużaków? Kolejni właściciele – brat króla Holandii i grafowie von Arnim – kontynuowali dzieło księcia. Powstały arboretum, mauzoleum, bażantarnia, szkołka leśna i sady owocowe. Wokół intensywnie rozwijał

się przemysł, ale rosła też zielona wyspa Pücklera.

Pod koniec drugiej wojny światowej dolina Nysy stała się sceną zaciętych walk. W gruzach obrócono dwie trzecie Bad Muskau, wszystkie mosty i rezydencje. Park, który też mocno ucierpiał, został znacjonalizowany. NRD chwaliła się nim, dbała o drzewa i trawniki, lecz nie inwestowała w infrastrukturę. Jeszcze gorzej sytuacja wyglądała w polskiej części, w której gospodarzyły Lasy Państwowe. Cześć rolniczą przejęły PGR-y. Dopiero w roku 1988 doszło do przełomu. Niemieccy i polscy konserwatorzy zabytków podpisali umowę w sprawie rewitalizacji parku Mużakowskiego jako „całościowego dzieła sztuki”. Obecnie zachodnią częścią zarządza fundacja, powołana przez władze landu Saksonia. Wschodnia podlega Narodowemu Instytutowi Dziedzictwa w Warszawie.

Turystyka jest główną nadzieją Górnych Łużyc, ponieważ po tutejszych kopalniach, hutach i fabrykach pozostało już tylko wspomnienie. Od 20 lat park figuruje na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Przez most Podwójny i most Angielski spacerowicze mogą przechodzić z jednego kraju do drugiego. Ze względu na rozmiary parku lepiej jednak wsiąść na rower. Po wschodniej stronie Nysy usunięcie samosiejek przywróciło historyczne kontury i punkty widokowe. Odrestaurowano XIX-wieczny wiadukt oraz Kamień Księcia, opatrzone jego podobizną. W planach jest rekonstrukcja Bramy Kobleńskiej, Domu Angielskiego i Mauzoleum. Po niemieckiej stronie wznowiono uprawę ananasów.

Dzieło życia Pücklera nie wydaje się dziś aż tak niezwykle. W tym samym stylu utrzymana jest większość parków publicznych w Europie. Twórcy wystawy w Nowym Zamku znaleźli na to radę. Nie wstając z fotela, można odbyć podróż po wymarzonej przez Zielonego Księcia raju, podziwiając powiększone wersje romantycznych pejzaży i słuchając głosu lektora, czytającego prawa zastrzeżenia „Szkiców o ogrodnictwie krajobrazowym”. Znajomość niemieckiego nie jest potrzebna. Ekspozycja jest dwujęzyczna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Pückler! Pückler? Einfach nicht zu fassen!” w Nowym Zamku w Bad Muskau była otwarta do 31 października.



Krzysztof Masłowski

Jak zdecydowana większość rodzimych bardów wyszedł Andrzej Sikorowski, lider grupy Pod Budą, kompozytor, ale przede wszystkim tekściarz – autor „Bardzo smutnej piosenki retro”, „Ciotki Matyldy” czy „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa”, a i utworów pisanych dla innych wykonawców, które stawiały się wielkimi przebojami, jak Maryli Rodowicz „Ale to już było” i „Rozmowa przez ocean” – z ruchu studenckiego. W latach, gdy ten facet z gitarą zaistniał w kulturze polskiej, w ruchu tym działało się co niemiara. „Kto wtedy zobaczył recital Grechuty z zespołem Anawa, kto usłyszał piosenki Jacka Kleyffa w ramach programu Salonu Niezależnych, kto brał udział w plastycznych happeningach Maxa Szoca, ten nosi w sobie na stałe pewien estetyczny kanon, pewien punkt odniesienia i nigdy, przenigdy nie pozwoli się nabrać na pseudoprzemyslenia, pseudopiosenki, niby-spektakle. Tam się kształtował mój gust, pogląd na rzeczywistość, któremu pozostałem wierny przez całe długie lata [...]” – tak to oceniał artysta.

W grudniu 1970 r. (!) na mającym już renomę Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich w Krakowie otrzymał pierwszą nagrodę, dzieląc ją – małą ciekawostka – z Katarzyną Lengren, córką znanego rysownika, później dziennikarką, scenografką, aktorką. Śpiewu jednak zaniechała, w przeciwieństwie do 21-letniego studenta polonistyki, który w nagrodzonym wtedy utworze „Nowy Rok” oddał nastrój tamtego czasu:



Jest nadzieja i więcej nic

FOT. MICHAŁ KLACZ/REPORTER

*Nowy Rok się przecież zbliża
nowe niesie kalendarze
przywitajmy go przed furtką
resztę czas pokaże
[...]*

*Ktoś się pewnie będzie głośno śmiał
to znów w kącie ktoś zapłaczę sam
i marzenia posybią aż do nieba
w tych marzeniach będzie jedna myśl
którą trzeba się podzielić dziś
żeby wreszcie w Polsce było tak jak
trzeba.*

Prawdziwą popularność zdobył jednak Sikorowski dopiero w końcu lat 70., gdy po wykonaniu wraz z grupą Pod Budą na festiwalu opolskim „Bardzo smutnej piosenki retro” cała Polska śpiewała: „Kap, kap, płyną łzy”. Ale w repertuarze grupy nie brakowało i utworów znacznie poważniejszych. Refleksyjnych, nostalgicznych, smutnych, bo choć początek następnej dekady przyniósł wprawdzie Polakom nadzieję, to tak naprawdę tej akurat nigdy nam nie brakowało. Cóż mieliśmy innego? Andrzej Sikorowski tak to ujmował:

*Bo w tym kraju nad rzeką jak Styks
jest nadzieja i więcej nic
każdy kieszeń dziurawą ma
wiatr kościelną piosenkę gna
jest nadzieja i więcej nic
Bo w tym kraju nad rzeką jak Styks
jest nadzieja i więcej nic
bo w tym kraju nad Wisłą
starczyć musi za wszystko
ta nadzieja i więcej nic.
Po 13 grudnia i o tę nadzieję było
trudno, nadeszły bowiem*

*ciężkie czasy dziwne czasy Panie nasz
diabli wiedzą co za lasem
czeka skąd powieje wiatr
i do tego strzec się muszę
myśli swych pod kapeluszem
ciężkie czasy dziwne czasy Panie nasz.*

Z cenzurą kłopot miał tylko raz, gdy musiał dokonać zmiany w piosence „O la ri ja”. „Niczego nie przewidując – opowiadał – sformułowałem zupełnie przypadkowo frazę: »A z latarni wrona zwisa głową w dół«. Kiedy powstawała druga płyta długogrająca Pod Budą »Postscriptum« i tę piosenkę postanowiliśmy na niej umieścić, nastał czas powołanej przez Wojciecha Jaruzelskiego Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, tak zwanej Wrony, której społeczeństwo ze zrozumiałych względów nie akceptowało, wieszanie jej zatem na latarni ująć płazem nie mogło w żadnym wypadku. Kazano mi tekst zmienić lub z nagrania utworu zrezygnować. Zmiana miała zatem charakter wybitnie ornitologiczny, zastąpiłem nieszczęsną wronę słowikiem, którego zwisanie głową w dół już nikogo nie drażniło”.

Zbigniew Wodecki niekiedy trafnie określił go jako „bardzo upoetycznionego publicystę”. Jego teksty rzeczywiście są poetyckie, niekiedy bywają czystą liryką, w publicystykę jednak nie popada, choć wskazuje na negatywne zjawiska i mówi o nich, nie owijając niczego w bawełnę. Tyle

że zazwyczaj dotyczą one sfery kultury – i tej wyższej, i masowej. Ma prawo mówić o nich jako twórca i jako odbiorca, zniesmaczony tym np., czym karmi naród media z telewizją na czele. Dlatego swego czasu tak podsumował te działania:

*Wow! Talk-show!
Ktoś przed kamerą spodnie zdjął
Powiedział ile razy może
I z kim od wczoraj dzieli łóżę
Europejczyk a nie jakiś kot
Wow! Talk-show!*

Najbardziej jednak ujmował słuchaczy kolekcjonujących jego płyty (ma ich w dorobku ok. 20 – solowych, a także nagranych z grupą Pod Budą i w duetach – przede wszystkim z swoją córką) i zapelniających sale widowiskowe podczas jego występów (nie koncertów, gdyż zdaniem tego barda koncertował Chopin, a nie estradowcy), osobistym charakterem swoich utworów i wręcz idealnym współlistnieniem w nich słowa i dźwięku. Bardziej wymagająca publiczność potrafiła docenić to, że – jak to ujął Jan Poprawa – „tam, gdzie inni pisali manifesty, on ograniczał się do prostych poetyckich słów”. A ta mniej (aby na pewno?) wymagająca publika? W książce „W moim znaku Waga. Śpiewanie o sobie” (2022) wspominał: „Kiedyś podpity mężczyzna podczas plenerowej imprezy wdarł się na estradę. Przeoczony przez ochroniarzy, jeśli w ogóle tacy byli, stał grzecznie i czekał, aż skończymy. Po ostatnich akordach podszedł do mnie i powiedział: »Panie Andrzeju, wie pan co? Ja tak samo myślę jak pan, tylko ja tego, kurde, nie umiem napisać«”.

Dużo dobrego zrobił Andrzej Sikorowski swoim śpiewaniem. Można tylko westchnąć, słuchając jego „Listu do świata”:

*Gdyby piosenek słuchał świat,
to pewnie by się zmienił.
A mędrcy mądrzy że aż strach
milczeli zawstyżeni. © ©*

Jak zabić bestseller



Piotr Gciek

W serialowej adaptacji „Dnia Szakala” oryginalne pomysły szybko ustępują miejsca niepotrzebnym dopiskom. Pojedynek zawodowców zamienia się w rutynowy serial akcji skrzyżowany z telenowelą

Do wszystkiego są dziś podręczniki i kursy – zajrzyjcie na YouTube, odkryjecie setki fachowców opowiadających, jak pisać scenariusze, jakich błędów unikać i jak odpowiednio budować postacie, dialogi i puenty. Być może właśnie dlatego tak wiele współczesnych produkcji robi wrażenie bliźniaczo do siebie podobnych – premiuje się formułę. Powtarzalność, a nie oryginalność.

Nie mogłem wyrzucić tej myśli z głowy podczas oglądania serialu „Dzień Szakala” – niby wszystko było na miejscu. Aż zrozumiałem – wszystko było za bardzo na miejscu. Co przez to rozumiem? Za chwilę opowiem, lecz najpierw musimy wybrać się w przeszłość. Do chwili, kiedy Frederick Forsyth otrzymał propozycję sprzedania praw do ekranizacji swojej pierwszej powieści.

DZIEŁO PERFEKCYJNE

„Oferta wynosiła 17 500 funtów plus niewielki procent od czystego zysku przez całe życie albo 20 tys. funtów raz na zawsze” – pisze Forsyth w swojej pasjonującej autobiografii „Outsider” (od niedawna dostępnej po polsku). „Większość ludzi jest dobra w jednych rzeczach, a beznadziejna w innych. Ja jestem żałosny, jeśli chodzi o pieniądze. Nigdy nie widziałem 20 tys. funtów, więc je przyjąłem. Nie mam pojęcia, ile milionów zarobił ten film przez lata”.

Wiemy, że wpływy z samej dystrybucji kinowej filmu Freda Zinnemanna w roku 1973 wyniosły 16 mln dol. Przeliczając na dzisiejszą wartość dolara – grubo ponad 100 mln. Forsythowi krzywdą się nie stała, zarobił krocie na innych

W serialu „Dzień Szakala” głównego bohatera gra Eddie Redmayne

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



REŻ. RONAN
BENNETT
„DZIEŃ
SZAKALA”
SKYSHOWTIME
2024

przedsięwzięciach, co nie zmienia tego, że wówczas popełnił błąd identyczny jak po latach Andrzej Sapkowski, który lekką ręką pozbył się praw do adaptacji opowieści o wiedźminie w formie gry wideo (a potem poszedł do sądu, by krociowe wpływy odzyskać).

Do historii przeszło jednak nie wynagrodzenie pisarza, ale jakoś filmu. A ten jest dziełem perfekcyjnym. British Film Institute uznał go za jeden ze 100 najlepszych filmów wszech czasów, recenzje były pełne zachwytu, a i dziś ogląda się „Dzień Szakala” z zapartym tchem. Thriller doskonały, w którym zagrało wszystko: paradokumentalny styl, tempo, obsada. Edward Fox jako Szakal zagrał jedną ze swych ikonicznych ról, wciąż pamiętamy Michaela Lonsdale’a jako tropiącego go inspektora Lebela i młodego Dereka Jacobiego w roli pomocnika inspektora. No i jeszcze zachwycająca Olga Georges-Picot jako Denise, wtyczka OSA i kochanka ministra. Kto nie oglądał, niech sprawdzi, film Zinnemanna dostępny jest w Amazon Prime.

W serwisie SkyShowtime pojawi się natomiast 6 grudnia serial „Dzień Szakala”, wersja uwspółcześniona i zakrojona na 10 odcinków. Pierwsze trzy polscy widzowie dostaną od razu, kolejne trafiać będą do serwisu w odstępach tygodniowych. Twórcą jest Ronan Bennett, irlandzki pisarz, scenarzysta i producent telewizyjny; Szakala gra Eddie Redmayne. Frederick Forsyth wspomniany jest na liście płac jako konsultant. No i oczywiście nikt nie ukrywa, że źródłem inspiracji jest jego najsłynniejsza powieść.

Czołówka stylizowana jest na telewizyjną produkcję z lat 70., a towarzysząca jej piosenka „This Is Who I Am” w wykonaniu Celeste mocno jest zadłużona u twórców hitów z filmu o Bondzie. Serial Bennetta porzuca zimny, niemal dokumentalny styl filmu Zinnemanna, na rzecz emocji i stylu typowych dla współczesnych seriali akcji czy też szpiegowskich. To nie zarzut, to stwierdzenie faktu, to pierwszy punkt na liście „zrobimy to tak, jak teraz robią wszyscy”.

Jednym ze źródeł sukcesu powieści Forsytha i filmu Zinnemanna było podkreślenie wyjątkowości Szakala: zabijać potrafi każdy, ale robić to bez śladu i wpadać na unikatowe pomysły potrafił tylko on. Czyniło to historię niesłychanie emocjonującą. Po pierwsze, im lepszy (w sensie groźniejszy) czarny charakter, tym bardziej pasjonująca opowieść. Po drugie, zakorzeniony w nas podziw dla ludzi o wyjątkowych zdolnościach sprawia, że niezwykłym jednostkom zaczynamy kibicować, nawet jeśli są po niewłaściwej stronie. Jednym z wielkich atutów książki Forsytha było to, że kibicowaliśmy obu stronom: Szakalowi próbującemu przechrzcić system i Lebelowi, który wykorzystując zasoby systemu, musiał wzniesć się ponad, by własnym talentem dedukcji rozgryźć zagadkę.

W oryginale Szakal najęty został do zamordowania prezydenta Francji gen. de Gaulle’a. W pierwszym odcinku serialu Bennetta widzimy, jak szykuje się do ukatrupienia wpływowego niemieckiego polityka, który bliski jest wygrania wyborów i sięgnięcia po stanowisko

kanclerza. Jest to wprowadzenie znakomite, w dodatku opowiedziane bez gadulstwa, lecz zapadającymi w pamięć obrazami. Kluczową rolę w powodzeniu planu Szakala ma oryginalna koncepcja przemycenia na miejsce zamachu odpowiednio przygotowanej broni – nie będę zdradzał, ale pomysł, który widzimy na ekranie, godny jest wyobraźni Forsytha.

Podobnie jak w literackim oryginale w sprawę szybko miesza się Brytyjczycy. U Forsytha inspektor Lebel nieoficjalnie prosił o pomoc szefów wywiadów kilku innych krajów, a na ślad Szakala udało się wpaść jedynie dzięki ciężkiej pracy Anglików, którzy sprawę potraktowali poważnie. W serialu Niemcom z pomocą śpieszy specjalista od broni i snajperów z MI6, niejaka Bianca Pullman (gra ją Lashana Lynch). Wyścig może się zacząć – Szakal będzie zacierał za sobą ślady i czekał na kolejne zlecenia, a agentka Pullman próbowała będzie ze strzępków informacji wywnioskować cokolwiek użytecznego. Wypada zapiąć pasy i kibicować, bo zapowiada się niezła jazda.

CKLIWE KAWAŁKI

Niestety, bardzo szybko intryga grzęźnie w niepotrzebnych dopiskach. Pojedynek intelektualny oraz wojna na pomysły szybko schodzą na drugi plan, gdyż dochodzimy do drugiego punktu na liście „zrobimy to tak, jak teraz robią wszyscy”: w scenariuszu pojawiają się wątki rodzinne, żeby bohaterów całej historii nam uczłowieczyć.

Zatem zamiast koncentrować się na talentach agentki Pullman, która zgłosiła się na ochotnika, by dokonać niemożliwego, dostajemy ckiwe kawałki na temat czekającego w domu męża i nastoletniej

REKLAMA

67 lat historii filmu

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

ODWIEDZ STRONĘ **filmopedia.org** I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Serial „Dzień Szakala” najlepszy jest tam, gdzie jest bliski duchowi oryginału

kę brytyjskich agentów na Białoruś – zdaje się, że twórcy serialu nie mają pojęcia, jak wygląda dziś przekraczanie granicy tego kraju. Kiedy w piątym odcinku zobaczyłem Szakala galopującego na koniu po lasach pod Budapesztem, poczułem się ostatecznie wystrychnięty na dudka, operacja wkroczenia agentów do siedziby zaprzyjaźnionego z Szakalem rusznikarza to najgorzej przeprowadzona akcja, jaką widziałem na ekranie. I tak dalej.

Do tego dostajemy do przemyślenia ładunek materiału, którego nikt przed wpisaniem do scenariusza nie przemyślał. Nowym celem Szakala jest multimilioner z branży IT, który chce podarować światu aplikację River, za pomocą której zapewni przejrzystość transakcji finansowych na całym świecie (Doprawdy? Niby jak?). Wynalazca Ulle Dag Charles jest sympatyczny, gdyż jest gejem i aktywistą działającym dla dobra publicznego (i Palestyńczykiem z pochodzenia). Ci, którzy chcą go zabić, to przedstawiciele wielkiego kapitału amerykańskiego, a jak wiadomo nie od dziś, wielki kapitał amerykański jest najgorszy.

Śałatka jarzynowa, którą dostajemy w formie serialu „Dzień Szakala”, jest – mimo wielkich wysiłków aktorskich Redmayne’a – mało strawna, a lenistwo scenarzystów niewybaczalne. Trochę to podróbka „Mission Impossible”, trochę naśladownictwo powieści Johna Le Carré, tu nieco dramy rodzinnej, tam przesłanie niczym z transparentów ruchu Occupy Wall Street. No i oczywiście, gdy chodzi o polityka niemieckiego zabitego w pierwszym odcinku, to kulkę w łeb dostaje słusznie, gdyż nie lubi migrantów, a młodzi, piękni postępowi Niemcy demonstrują przeciwko niemu pod hasłami obrony demokracji. Kto może, niech wraca do filmu Zinnemanna i do powieści Forsyth, serial nie jest wart waszej uwagi. A ja boję się tylko, żeby pod jego wpływem jacyś „obrońcy demokracji” nie wpadli na pomysł ustrzelenia Elona Muska, bo wtedy naprawdę będziemy mieli problem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

■ córki zaniedbywanych przez mamusię. Ani to ciekawe, ani oryginalne – Bennett skopiował właściwie to, co widzieliśmy z udziałem Zoe Saldanhy w pierwszym sezonie serialu „Lioness”. Mamusia ukrywa prawdę przed córką, tatuś jej pomaga, ale już powoli ma dosyć. Ma to nas przekonać, jak bardzo się pani Pullman poświęca, ale tak naprawdę jedynie nudzi.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja z Szakalem. On też dostał rodzinę, żyjącą nad oceanem nieopodal Sewilli. Mamusia przekonana jest, że tatuś podróżuje po świecie w interesach, i nie ma pojęcia o prawdziwej profesji snajpera do wynajęcia. Niemowlak jeszcze nie ma pretensji, ale jak zostanie nastolatkiem, to na pewno będzie miał. Za sprawą wątków rodzinnych nowa wersja „Dnia Szakala” zaczyna szybko przypominać telenowelę z elementami szpiegowskimi – jeśli taki był cel, to nie warto podpierać się autorytetem Forsyth, trzeba było sobie wymyślić i napisać coś własnego. Panuje dziś jednak przekonanie, że aby widz zainteresował się bohaterem, musi dostać w pakiecie cliwe opowiadki o trudnych relacjach z najbliższymi. Otóż nie musi, kiedy jest to bohater ciekawy. Szakal jest bohaterem wyjątkowo ciekawym. Z agentką Pullman jest problem, bo wypada bardzo jednowymiarowo.

Po co to wszystko? Ano po pierwsze, żeby dmuchnąć objętość i jakoś wypełnić

10 odcinków, choć wystarczyłoby sześć. Po drugie, żeby zbudować symetrię między łowcą i ściganym – że niby podobne mają problemy, więc wiele ich łączy, a my mamy powody, by przejmować się ich losem. Ale przecież i u Forsyth, i u Zinnemanna mieliśmy świetnie zbudowaną symetrię i bez tego – mieliśmy pojedynek dwóch arcyprofesjonalistów. Coś jak pojedynek Sherlocka Holmesa z Moriartym albo Jamesa Bonda z Blofeldem. Czy naprawdę dopisanie im wszystkim dzieciaków i żon jest do czegokolwiek potrzebne?

Serial „Dzień Szakala” najlepszy jest tam, gdzie bliski jest duchowi oryginału – gdy zastanawiamy się, kto kogo przechrzty, gdy widzimy odtworzoną słynną scenę treningu strzeleckiego z arbuzem, gdy podziwiamy zręczność Szakala, geniusza zbrodni, który jest mistrzem przebrania i myli tropy niezliczonymi paszportami. Doskonałym wyborem był Eddie Redmayne w roli głównej, żongluje osobowościami, jak chce, i w każdej wersji wypada wiarygodnie.

MAŁO STRAWNE DANIE

Cała reszta wypada blade, cała reszta nie dorasta do obietnicy, którą dostajemy w świetnym pierwszym odcinku. Opowieść zaczyna się dłużyć i staje coraz bardziej absurdalna. Poczekajcie na wyciecz-

Jesienne hity w sklepie Republiki!



Otwórz i zamknij parasol
jednym kliknięciem!

**PARASOL AUTOMATYCZNY
Z LOGIEM REPUBLIKI**



**KSIĄŻKA Z AUTOGRAFEM
RAFAŁ ZIEMKIEWICZ „CZAS BEZPRAWIA”**



Od S do 3XL

**KOSZULKA POLO
REPUBLIKA - BIAŁA**



**KUBEK BIAŁY MAT 380ML
Z NAPISEM REPUBLIKA**



Od S do 3XL

**KOSZULKA POLO
REPUBLIKA - GRANATOWA**



KUBEK REPUBLIKA RETRO - 280 ML

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl



**lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4**





FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁĄDANIE NA ŻĄDANIE

Ropa życia



★★★★★
SEZON 1
„LANDMAN:
NEGOCJATOR”
USA 2024

wyst. Billy Bob Thornton, Ali Larter, Jacob Lofland, SkyShowtime

Telewizyjne universum Taylora Sheridana powiększa się o Teksas. Nie tylko za sprawą nowego rancza Duttonów, które odgrywa ważną rolę w piątym sezonie „Yellowstone”, lecz także dzięki nowemu bohaterowi. Poznajcie Tommy’ego Norrisa (świetny Billy Bob Thornton). To alkoholik, rozwodnik, ojciec dwojga dorastających dzieci (córka właśnie odkrywa seks, syn chce – tak jak tato – robić karierę w przemyśle naftowym).

Norris pracuje dla bogacza Millera (Jon Hamm, czyli Don Draper z „Mad Men”) jako gość od zadań specjalnych: poprowadzi negocjacje z wrogim farmerem, zleci budowę nowej drogi, kiedy cysterny utkną w polu, zaryzykuje

życie, by ułożyć relacje koncernu z narkotykowym kartelem. Ale jak przyjdzie co do czego, to wie też, jak zabezpieczyć płonący szyb przed wybuchem. Ot, człowiek dobrej roboty.

„Landman” to niepoprawna politycznie opowieść o świecie, który amerykańska lewica najchętniej wymazałaby z rzeczywistości. Mamy tu olbrzymie pieniądze zarabiane na paliwach kopalnych, ludzi harujących, aby świat był w ruchu (bo ropa i gaz napędzają wszystko inne), tyrady przeciw ekologicznym szaleństwom, twardych facetów, piękne, emanujące seksapilem kobiety. Nawet imigranci Meksyku zachowują się jakoś tak prawicowo – zamiast stać w kolejce po zasiłek i lżyć Trumpa, ciężko pra-

cują, żeby spłacić dom i auto, bo prawdziwego mężczyznę poznaje się po tym, jak opiekuje się żoną oraz dziećmi.

Bohater grany przez Thorntona już stał się idolem amerykańskich widzów po tym, jak komentując modę na tzw. czystą energię, rzucił z przekąsem: „Alternatywną energię. Niczego czystego w tym nie ma”. Miał na myśli polityczne i biznesowe machinacje tych, którzy w nosie mają naturę, za to chętnie wyrzuciliby z biznesu magnatów naftowych, żeby samemu zarabiać na bateriach i wiatrakach.

Sheridan maluje obraz Teksasu jako ostatniego pogranicza, na którym – jak niegdyś na dzikim Zachodzie – fortuny wyrastają lub nękają w jednej chwili, a gorączka czarnego złota przyciąga zarówno marzycieli, jak i przegrywów.

Świetnie się to ogląda, choć – jak to bywa u Sheridana – scenariusz bywa przesadnie efekciarski. Ale ja to kupuję, tylko krytycy sarkają, że to wszystko zbyt męskie. No i co z tego? ©©

GRA TYGODNIA: „FARMING SIMULATOR 25”

W najnowszej odsłonie symulatora pozwalającego wcielić się w rolnika mamy do wyboru afrykańskie Riverbend Springs, azjatyckie Hutan Pantai oraz europejską Zielonkę. Nie tylko dbamy o uprawy, lecz także o finanse (co idzie w parze). Cała gama upraw

(jest wśród nich ryż, z ciekawym systemem nawadniania pól) oraz maszyn to coś, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Są i nowości, z deformacją gruntu na czele. Wśród zalet ładna grafika, poprawiona, choć wciąż niedoskonała fizyka, urozmaicone mapy i możliwość



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
wzniesienia własnego domu, owocu ciężkiej pracy naszych rąk. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** symulacja
- **Platforma:** PS5, XSX, PC
- **Producent, dystrybutor:** GIANTS Software; Cenega SA

Ponad prawem

Źle się dzieje w państwie austriackim. Po szaleństwach wiedeńskich akcjonistów, literackich szarżach Thomasa Bernharda i Elfriede Jelinek tudzież wynurzeniach Martina Pollacka film duetu Hoesl/Niemann jest kolejnym objawem zjawiska, którzy jedni nazywają jątrzeniem narodowych ran (by nie zarosły błoną podłości), drudzy karygodną ojkofobią. Fabuła zdaje się nawiązywać do klasyki kina moralnego niepokoju, konkretnie do włoskiego „Śledztwa w sprawie obywatela poza wszelkim podejrzeniem”. Główny bohater, inwestor Amon Maynard, też jest człowiekiem nietykalnym. Stróżów prawa lekceważy. Ministrów ma nawet nie na telefon, lecz na pstryknięcie palcami. Chce zbudować fabrykę baterii w rezerwacie przyrody? Kilka telefonów, trochę propagandowego bełkotu o „równoważonym rozwoju” i załatwione.

Nasz übermensch ma tych lizusów już po dziurki w nosie. Zdecydowanie bardziej ceni ludzi opornych niż potulnych lub skorumpowanych. Dlatego gderliwy gajowy i wścibski dziennikarz dostąpią zaszczytu,



★★★★★

REŻ. DANIEL HOESL, JULIA NIEMANN
„VENI VIDI VICI”
AUSTRIA 2024

wyst. Laurence Rupp, Ursina Lardi, Dominik Warta

o którym prosty polityk nie śmie nawet marzyć: zostaną zaproszeni do rezydencji inwestora.

Maynard na piedestale stawia rodzinę. Rad by ją stale powiększać, a dzieci (własne oraz przybrane) wychowuje na swój obraz i podobieństwo. Jeśli faulują, to są chwalone za kreatywność. Jeśli kradną, to słyszą: stać cię na więcej. Patologia, nawet otulona w jedwabie i aksamity, pozostaje jednak patologią. Mniemam, że zamiarem twórców „Veni Vidi Vici” było wywołanie u widzów uczucia dyskomfortu. Patrząc: rozwydrzona elita ma się za bezkarną, przekracza wszelkie granice wyznaczone przez Boga i ludzi. Trzeba z tym wreszcie skończyć! Niestety, alarmistyczna diagnoza zawisa w próżni, bo

Austriacy przeholowali. Gdy absurd wyziera z każdego kąta, zamiast złości rodzi się obojętność. Stanley Kubrick, cytując utwór „Nad pięknym modrym Dunajem” w kontekście podboju kosmosu, uzyskał efekt, o który mu chodziło. Zadowolili konserwatystów, postępców, a w dodatku błysnął poczuciem humoru. Puentowanie słynnym walcem sceny zbiorowego mordu jest natomiast średnio zabawne. Zwłaszcza w kraju, który wydał na świat Josefa Fritza, Johanna Unterwegera i Amona Götha. ©© **Wiesław Chelminiak**

KINO

KŁĄTWA MILIONERÓW

KINO

Jesteś splekany safandulą, naiwną brzydulą, terrorystą gotowym popełnić rozszerzone samobójstwo? Nie licz na cud: nawet jeśli los na loterii okaże się zwycięski, to przeznaczenie i tak cię dopadnie. Miło, że Francuzi próbują przełamać anglosaski monopol na produkcję komedii czarnych jak noc listopadowa. Szkoda, że brną w skrajną mizantropię. Cztery nowele składające się na „Milionerów” mają wspólne motto: „Pieniądze nie zmieniają ludzi, ujawniają tylko ich prawdziwe oblicze”. Czy homo sapiens jest z natury stworzeniem pazernym tudzież samolubnym? Chyba tak, skoro postać najbardziej pocziwa w finale okazuje się potworem. Iskierka nadziei niby się żarzy, lecz wiemy, jak to jest z iskrami – jeśli padną na proch, to nie będzie czego zbierać. ©©



★★★★★

REŻ. ROMAN CHOAY, MAXIME GOVARE
„MILIONERZY”
(„HEURES GAGNANTS”)
FRANCJA 2024

wyst. Fabrice Eboué, Audrey Lamy, Anouk Grinberg

DO ZOBACZENIA

Skarby starożytności



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? Muzeum Narodowe w Poznaniu
KIEDY? galeria: projekt wieloletni; wystawa: do 31 grudnia 2025 r.

Galeria Sztuki Starożytnej Muzeum Narodowego w Poznaniu działa od 2011 r., kiedy to została otwarta przez ówczesnego kuratora, Jana Szymkiewicza. Po 13 latach otwartą ją ponownie, ponieważ przeszła niedawno gruntowną renowację. Od 23 listopada działa jako Studyjna Galeria Sztuki Starożytnej. Podzielono ją na trzy sekcje. Jej centrum stanowi magazyn studyj-

ny z kompletem zabytków sztuki starożytnej z kolekcji muzeum. Obok znalazł się stylizowany gabinet, połączony z niewielkim laboratorium badawczym. Przez szklane drzwi podejrzeć można warsztat kuratora galerii. Ostatnia sekcja to przestrzeń dla wystaw czasowych i działań edukacyjnych.

Działalność Galerii zainaugurowano wystawą

„Tanagryjka. U progu kobiecości”. Poświęcona jest terakotowym figurkom z okresu hellenistycznego. Na wystawie zaprezentowano zbiór 30 kopii figurek tanagryjskich wykonanych w pracowni Fritza Gurlitta pod koniec XIX w.

Kolekcja ta znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Poznaniu od 1900 r. ©©



FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

KRZYSZTOF
MASEK

MOJA PÓŁKA

Premier gra na flecie

Jedna z dwóch niewykonywanych oficjalnie, a w konsekwencji nieznana większości rodaków zwrotka naszego hymnu narodowego brzmi tak:

**Niemiec, Moskal nie osiędzie,
gdy jęwszy pałasza,
hasłem wszystkich zgoda będzie
i ojczyzna nasza.**

Zapewne ta strofa pieśni Józefa Wybickiego skazana została na niepamięć w trosce o dobre samopoczucie sąsiadów, naszych odwiecznych wrogów zresztą. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, by zastąpiła ona zwrotkę o zapłakanej Basi czy też jej ojcu, ponieważ co do tego trwają spory. Tak czy inaczej silniej przemawiają do mnie „wygumkowane” z hymnu słowa, nieprzypadkowo przywołane przez prof. Andrzeja Nowaka już na samym początku jego najnowszej książki. Wyjaśniającego, że „nie o pałasz dziś chodzi, choć broń do obrony – jak sama nazwa wskazuje – jest konieczna. Chodzi o nadzieję, że poddawać się nie wolno, że walczyć warto i trzeba: dla ojczyzny naszej”.

A w imię czego? – spytać może któryś z tak licznych, jak się okazało, zwolenników Polski zeuropeizowanej, odwracającej się od historii swego kraju, ba, wstydzającej się jej. Słowem – Polski Tuskowej. I tu Andrzej Nowak przytacza słowa swojego (i mojego) ulubionego poety, Jarosława Marka Rymkiewicza, który 14 lat temu tak to ujął: „Najważniejsze z pytań jest takie: czy Polska może jeszcze być »wielka i straszna«, czy może uderzyć duchem »na wszystkie słowiańskie plemiona«, czy może to, co kona na naszych oczach – Europę – przymusić do zmartwychwstania, »w ludach żywot obudzić grzmotem«? No i co wy na to, Polacy? Jesteście gotowi »uderzyć duchem«? Macie tyle siły? Czy położycie się do

trumny i zdechniecie, razem z całą Europą? To już jak wolicie”.

W swoich szkicach tworzących „Naród niepokonany” opowiada prof. Nowak o wydarzeniach, które zaważyły na losach Polski, o chwilach przełomowych w ojczystej historii (także o tych najgorszych z możliwych) i o ludziach, którzy pracowali na rzecz niepodległości, wykazując się odwagą: czynu, walki, a także myślenia, bo „odważyli się być mądrymi”. Inni w tym czasie, niestety, szukali nowej koncepcji narodu. I – czytamy – „opiewali zgodę na status podległej prowincji słowami dziwnie dziś znajomymi”. Jak Kajetan Koźmian twierdzący, że „warunkiem bytu Polski jest roztropna uległość”. Jak Aleksander Bocheński czy Stanisław Stomma, którzy „wszelki odruch walki ze zniewoleniem wpisywali z miną mędrców do księgi »Dziejów głupoty polskiej«”. A w końcu – przy zachowaniu wszelkich proporcji – i taki Donald Tusk, dla którego „polskość to nienormalność”.

Andrzej Nowak mówi o najważniejszych polskich sprawach otwartym tekstem. I nie bez powodu cytuje historyka, Henryka Wereszkiego, który w końcu lat 70. zeszłego wieku, w czasach PRL, odpowiadając na głośnie wtedy, antyinspekcyjną książkę Tomasza Łubieńskiego „Bić się czy nie bić?”, podkreślał, że to „obrona słusznej sprawy dawała Polakom uzasadnione poczucie moralnej wyższości nad zaborcą, a to właśnie było źródłem dumy narodowej, czynnika tak bardzo istotnego dla przetrwania niewoli. Dlatego we wszystkich moich publikacjach starałem się pobudzać dumę z naszych walk o niepodległość. Sądzę bowiem, że i dziś ona jest potrzebna”.

W wolnej Polsce duma ta okazuje się równie niezbędna, czego

jednak nie pojmują ci wszyscy, którzy nie widzą czy raczej nie chcą widzieć zagrożenia naszej niepodległości. A ta nie jest nam dana raz na zawsze, gdyż – jak powiada prof. Nowak – „Niemcy nie znikną i Rosja też nie, podobnie jak ich niechęć, wrogość do istnienia państwa polskiego”.

Tymczasem to „dumny grymas niezgody na podległość, na podporządkowanie innym, jest [...] istotą polskości”. Rozumiał to doskonale rosyjski (!) noblista, poeta Josif Brodski, o czym przypominają Andrzej Nowak, jak żaden inny historyk świetnie poruszający się po świecie kultury. Może więc – pisze – „widać to lepiej z zewnątrz niż od środka polskiej literatury – gdzie jakby nie umie tego zauważyć nawet polska laureatka Literackiej Nagrody Nobla”.

A u władzy znaleźli się u nas ludzie, którzy Polską najzwyczajniej w świecie się brzydzą. Którzy prowadzą nie politykę, ale antypolitykę historyczną. Wypierając się naszego dziedzictwa historycznego i kulturowego. W imię czego? I znów można sięgnąć do literatury, a ściślej mówiąc, do Czesława Miłosza, który w jednym ze swoich ostatnich wierszy pisał:

**Flet szczurołapa wygrywa piękne melodie,
głównie z repertuaru „Naszej małej stabilizacji”.**

Obiecują oni globalne kino i błogie wieczory

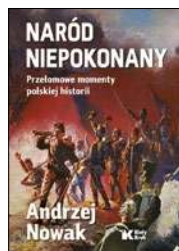
z puszką piwa przed telewizyjnym ekranem.

**Minie jedno, może dwa pokolenia,
i młodzi**

odkryją nieznane im ojcom uczucie wstydu.

Wtedy dla swego buntu będą szukać wzorów

w dawno zapomnianej antypodzie antyimperialnej rebelii. ©©



★★★★★
ANDRZEJ NOWAK
„NARÓD
NIEPOKONANY.
PRZEŁOMOWE
MOMENTY
POLSKIEJ
HISTORII”
BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czas hańby

Jedni po prostu dla pieniędzy. Inni przekonani, że przyczyniają się do szlachetnego dzieła budowy porozumienia między narodami. Jeszcze inni, bo wierzyli, że czasy wymagają takich właśnie działań. Książka „Moskiewski łącznik” brutalnie obnaża wszystkich. Sam podtytuł brzmi: „Sieć Schrödera i droga Niemiec ku zaleźności”. Cóż, bo taki był smutny koniec tej historii: uzależnienie niemieckiej gospodarki od rosyjskich surowców, nakarmienie reżimu Putina zasobami gotówki, których użył do rozbudowy armii i rozkręcenia kampanii wymierzonej w cały Zachód. Wstyd, wstyd na wieki. W Niemczech panuje dziś niepisana zgoda co do odcinania od władzy AfD kordonem sanitarnym. Kto przeczyta „Moskiewskiego łącznika”, nie będzie miał wątpliwości, że takim kordonem powinno się raczej odgradzić socjaldemokratów.

A teraz najlepsze: nie streszczam tu publikacji któregoś z polskich konserwatywnych tygodników, cytowane opinie nie zostały wyjęte z wiecowych mów polityków PiS czy Konfederacji. Autorami omawianej książki są Reinhard Bingener i Markus Wehner, dziennikarze „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. W Polsce została ona zaś opublikowana

nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu, zatem poważnej placówki naukowej, w serii „Speculum”, którą stworzono, by prezentować najciekawsze współczesne prace niemieckich badaczy dotyczące geopolityki, polityki i historii.

„Moskiewski łącznik” ukazał się już jakiś czas temu, ale wpadł w me ręce niedawno i zrobił na mnie takie wrażenie, że postanowiłem czym prędzej tę lekturę polecić. Nie czytałem lepszej książki o fatalnych wyborach niemieckich polityków od czasu publikacji Robina Alexandra „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu”. Warto zwrócić uwagę, że wśród zarzutów, które Bingener i Wehner stawiają twórcom prorosyjskiej polityki gospodarczej, jest głębokie lekceważenie interesów państw Europy Wschodniej. Są więc w swych ocenach polityki SPD dużo trzeźwiejsi niż ekipa znajdująca się obecnie w Polsce u władzy. Ale nie zapominają i o smutnej roli kanclerz Merkel. Politycy CDU krytykują dziś Schrödera i jego współników, zapominając, że „matka chrzestna Europy” ochoczo kontynuowała kurs na „cywilizowanie Rosji przez handel”. Dziś Rosja „cywilizuje” Ukrainę za pieniądze zarobione dzięki ślepotce Berlina. © ©



★★★★★
REINHARD BINGENER, MARKUS WEHNER
„MOSKIEWSKI ŁĄCZNIK”
INSTYTUT ZACHODNI 2023

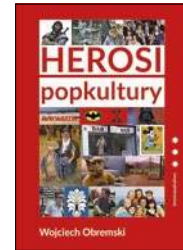
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Z pieniędzmi bywało kiepsko, ale mieli status urzędników państwowych. Poglądy miewali różne, czasem przesadzali z polityką, ale jednak pracowali dla Polski, a nie swych politycznych patronów. Intrygujący portret zbiorowy.



PIOTR GOŁDYN
„ŻYCIE CODZIENNE NAUCZYCIELI W II RZECZYPOSPOLITEJ”
PIW

Co łączy Jerzego Gruzę z „Rodziną Addamsów” czy Tolkiena z „Seksmisją”? Tylko to, że autor zwrócił na nich uwagę. Bogato ilustrowany lamus ciekawostek – wielu nie znałem, o innych kiedyś czytałem, ale zapomniałem.



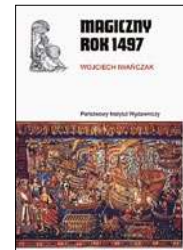
WOJCIECH OBREMSKI
„HEROSI POPKULTURY”
WYDAWNICTWO MARGRAFSEN

Omnibus zawierający oprócz powieści tytułowej także książki „Obarczeni złem”, „Kulawy los” i „Bajka o trójce” po raz pierwszy w pełnej wersji. Plus komentarze Borysa Strugackiego do wszystkich utworów.



ARKADIJ I BORYS STRUGACCY
„MIASTO SKAZANE”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Przełomowy moment dziejów w 11 obrazach: bohaterami opowieści są m.in. Michał Anioł, John Cabot czy Girolamo Savonarola. Znany mediewista poświęca też uwagę Polakom: Kopernikowi czy królowi Janowi Olbrachtowi.



WOJCIECH IWAŃCZAK
„MAGICZNY ROK 1497”
PIW

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: KLASYKA Z DYMKIEM

W przegapionej przez wielu fanów komiksu serii adaptacji teatralnej klasyki znajdziemy „Antygone” rysowaną przez Daniela Chmielewskiego czy „Romea i Julię” w wersji Juraja Martiška. Najciekawszą graficznie pracą jest jednak dramat Jarry’ego „Ubu Król, czyli Polacy” przełożony na język komiksu przez



ALFRED JARRY, DR HOROWITZ
„UBU KRÓL”
INSTYTUT TEATRALNY 2023

cenionego słoweńskiego artystę Cirila Horjaka (pseudonim Dr Horowitz).

Piotr Gociek

Zachodnie agencje informacyjne, a także „The New York Times” podały 17 listopada informację, że Joe Biden, ustępujący prezydent USA, wyraził zgodę na zastosowanie przez Ukrainę rakiet balistycznych ATACMS do niszczenia celów położonych w Rosji. Wkrótce taką samą decyzję w sprawie rakiet Storm Shadow podjął Keir Starmer, premier Wielkiej Brytanii. Dlaczego teraz na to się zdecydowano, skoro wojna trwa już prawie trzy lata? Co oznaczałoby użycie takich rakiet dla losów konfliktu na Ukrainie? Jakie jest stanowisko Donalda Trumpa, który 20 stycznia 2025 r. zostanie zaprzysiężony na 47. prezydenta USA? Jak się zachowa prezydent Władimir Putin, kiedy w jego kraj uderzą te rakiety? I wreszcie, czy byłby to największy konflikt od kryzysu kubańskiego w 1962 r.?

Z doniesień prasowych wynikało, że użycie rakiet miało być ograniczone do obwodu kurskiego, co motywowano tym, że tam właśnie uczestniczą w walkach po stronie rosyjskiej wojska północnokoreańskie. W tej chwili jednak wszelkie odwoływanie się do tej przesłanki, jako powodu decyzji prezydenta USA, jest już nieaktualne.

UŻYCIE RAKIET BALISTYCZNYCH

Zasięg rakiet ATACMS i Storm Shadow to maksymalnie 300 km, a więc potencjalnie nie można by nimi zaatakować Moskwy. Jeśli chodzi o bezzałogowe, to ich zasięg wynosi nawet do 1000 km. Użycie obu rodzajów rakiet z głowicami o wagomiarze ok. 250 kg nie będzie bardziej niszczycielskie od obserwowanego już teraz działania bezzałogowców. Tego typu urządzenia mogą bowiem przenosić ładunki bojowe o masie przekraczającej 500 kg. Przewaga rakiet balistycznych nad bezzałogowcami przejawiałaby się przede wszystkim w ich prędkości. Te drugie są stosunkowo powolne, osiągając prędkość ok. 100 km/h, w przypadku tych pierwszych ich prędkość wynosi ponad Mach 3 (3700 km/h), a więc odległość 300 km mogą pokonać w kilka minut. Zarówno bezzałogowce, jak i rakiety balistyczne mogą być niszczone przez rosyjskie środki obrony przeciwraкетowej.

Nie wiemy, jaką liczbą rakiet ATACMS może dysponować Kijów, ale trudno było-



FOT. ADRIAN STOCK

Coraz goręcej na gasnącej wojnie



Lech Mażewski

Zgoda na użycie rakiet balistycznych ATACMS i Storm Shadow oznacza, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania stały się zbrojnymi uczestnikami konfliktu nad Dnieprem. Niewątpliwie eskaluje to konflikt i przypomina kryzys kubański z poprzedniego wieku

by uzupełnić ich zasoby, skoro nie są one już produkowane w USA. Inaczej sytuacja wyglądałaby w przypadku Storm Shadow, które mogą być na bieżąco dostarczane.

Dotychczas rakiety ATACMS i Storm Shadow były używane do atakowania celów na terenach zajętych przez Moskwę, teraz będą służyły do ostrzeliwania przygranicznych obwodów Rosji.

19 listopada Ukraina użyła rakiet ATACMS do ataku na obiekt wojskowy położony w obwodzie briańskim, ok. 130 km od granicy z Rosją. Rosjanie twierdzą, że zniszczyli pięć z sześciu użytych rakiet, natomiast Ukraińcy podają, że były to dwie z ośmiu rakiet.

20 listopada rakiety Storm Shadow zaatakowały podziemne bunkry w obwodzie kurskim, w których mogli przebywać

m.in. północnokoreańscy oficerowie. Jedynie dwie z 12 rakiet zostały tam unieszkodliwione. Od początku pociski balistyczne są niszczone przez obronę przeciwraкетową Rosji, jak każdy inny środek napadu powietrznego.

Słowem, zgoda na użycie rakiet balistycznych ATACMS i Storm Shadow do atakowania celów na terytorium Rosji nie zmieni sytuacji na froncie ani znacząco nie osłabi jej potencjału. Nie jest to więc rodzaj wunderwaffe.

21 listopada Rosja przetestowała rakietę hipersoniczną średniego zasięgu Oresznik. Ekspert ze Strategy & Future upiera się, że chodziło o użycie międzykontynentalnej rakiety balistycznej, co miałoby miejsce pierwszy raz w historii. Celem były ukraińskie zakłady zbro-

jeniowie w Dniepropietrowsku. Tym razem najprawdopodobniej posłużono się ćwiczebną głowicą, ale w przyszłości może być to atomowa. Pocisk porusza się z prędkością Mach 10, czyli 2–3 km/s, a więc jest praktycznie nie do zniszczenia. Należy to traktować jako reakcję na atakowanie rakietami ATACMS i Storm Shadow obiektów na terytorium Rosji. Prezydent Władimir Putin w swoim krótkim wystąpieniu po użyciu rakiety Oresznik stwierdził: „Będzie odpowiedź”, jeśli nastąpią kolejne ataki. Adresatem tego ostrzeżenia są oczywiście Stany Zjednoczone, choć jego realizacja nastąpiłaby na terytorium Ukrainy.

ESKALACJA KONFLIKTU

W odpowiedzi na decyzję Bidena Putin podpisał zmianę doktryny nuklearnej. Teraz atak na Rosję przez państwo nieatomowe, wspierane przez państwo atomowe, będzie traktowany jako wspólny atak. Ponadto Dmitrij Pieskow, rzecznik prezydenta Rosji, ogłosił, że jednym z warunków użycia broni atomowej jest wystrzelenie rakiet balistycznych przeciwko Rosji. Zarówno rakiet ATACMS, jak i Storm Shadow nie da się używać bez udziału zachodnich żołnierzy, którzy są odpowiedzialni za rozpoznawanie celów i wprowadzanie danych wywiadowczych, uzyskanych od satelitów NATO lub USA, dzięki czemu mają one charakter pocisków kierowanych. Żołnierze ukraińscy nie posiadają takich zdolności.

W efekcie Stany Zjednoczone i Wielka Brytania stały się zbrojnymi uczestnikami konfliktu nad Dnieprem, a nie jedynie wspierającymi jedną ze stron walczących, jak to jest w przypadku Polski. Można by to jeszcze zrozumieć, gdyby decyzja prezydenta USA zapadła w 2022 r., kiedy Ukraina odnosiła sukcesy militarne. Wtedy chodziłoby o ostateczne pokonanie armii rosyjskiej, która być może ledwo trzymała się na nogach. Dziś jest inaczej, bo przewaga tych wojsk jest oczywista. Czy chodzi o zniwelowanie tej przewagi przed zbliżającymi się rozmowami pokojowymi?

Decyzja przywódców anglosaskich niewątpliwie eskaluje konflikt rosyjsko-ukraiński, i to w sytuacji, gdy dobiega on końca. Być może stawką nie jest żadne zwycięstwo Kijowa, a to, aby obecność USA na Ukrainie nie zakończyła się tak

samo, jak niedawno w Afganistanie. Jaką odpowiedź Moskwy zakładają autorzy tych decyzji? Czy nie przypomina to sytuacji z 1962 r., kiedy Kuba w konflikcie amerykańsko-sowieckim nie odgrywała żadnego znaczenia, była jedynie miejscem starcia obu supermocarstw atomowych?

ODPOWIEDŹ ROSJI

W 1962 r. na Kubie stacjonowały wojska sowieckie wyposażone w rakietę z głowicami atomowymi. USA odpowiedziały blokadą wyspy, zwaną kwarantanną, bo inaczej byłoby to niezgodne z Kartą ONZ, którą próbowały przełamać okręty podwodne wyposażone także w broń atomową. Nie doszło do jej użycia, a konflikt karaibski został rozwiązany na drodze amerykańsko-sowieckich negocjacji. Fidel Castro, ówczesny przywódca Kuby, dowiedział się o tym z komunikatu radiowego.

Dziś nad Dnieprem nie ma, co prawda, amerykańskich czy brytyjskich rakiet z głowicami atomowymi, ale obsługiwane przez żołnierzy USA i Wielkiej Brytanii konwencjonalne rakiet balistyczne już uderzają w cele położone na terytorium Rosji. Czy odpowiedź Moskwy może polegać jedynie na teście hipersonicznej rakiety Oresznik i ewentualnie jej kolejnym użyciu? Czy w grę wchodziłoby coś jeszcze niekoniecznie związane z naruszeniem art. 5 traktatu waszyngtońskiego o powstaniu NATO?

Zdaniem kmdr. por. rez. Wiesława Goździewicz jedynym sposobem, który, co prawda, miałby charakter eskalacyjny, ale nie naruszałby art. 5 traktatu waszyngtońskiego, byłoby użycie przez Rosję tzw. środków antysatelitarnych, zakłócających pracę satelitów rozpoznania obrazowego czy wręcz uszkadzających satelity przy pomocy impulsu laserowego. Skoro przestrzeń kosmiczna nie jest terytorium żadnego państwa, to nie może być mowy o ataku na terytorium państwa sojuszniczego, o czym mowa w art. 5.

Istnieje też dobra odpowiedź asymetryczna ze strony Moskwy, bez uciekania się do demonstracji posiadanych sił atomowych. Wystarczy chociażby uzbroid jemeńskich Houthis w dobrej klasy balistyczne rakiet średniego zasięgu, a nie byle jakie produkcji irańskiej, co umożliwiłoby rażenie okrętów amerykańskich,

strzegących wejścia do Morza Czerwonego.

Ważne są jedynie motywy decyzji prezydenta USA, bo brytyjski premier nie odgrywa tu nadmiernie samodzielnej roli. Być może chodzi o desperacką próbę utrzymania prymatu amerykańskiego, który uległby dalszemu zachwianiu w przypadku przegranej na Ukrainie.

Liczy się na to, że Rosja spróbuje ustalić miejsce, gdzie stacjonują wyrzutnie rakiet ATACMS, i zniszczyć je wraz ze znajdującymi się tam żołnierzami amerykańskimi. Powstałoby wtedy pytanie, czy nastąpiło naruszenie art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Biden uznałby zapewne, że tak, skoro doszło do „zbrojnej napaści” na sygnatariusza traktatu o powstaniu NATO. Taki pogląd mógłby budzić wątpliwości, skoro nie miało to miejsca na terytorium USA, a państwa niebędącego członkiem paktu północnoatlantyckiego, i atak rosyjski był tylko odpowiedzią na wcześniejsze działania żołnierzy amerykańskich.

Z pewnością jednak uporanie się z tym pozostawiłby swojemu następcy w Białym Domu. Nie tylko utrudniłoby to Trumpowi rozpoczęcie prezydentury, lecz także znalazłby się on w sytuacji proszającego, aby Rosjanie nie dali się sprowokować, a nie kogoś, kto chciałby narzucić im swoją wolę, ustanawiając na Ukrainie pokój przez siłę, aczkolwiek na odmiennych zasadach, niż pragnęliby tego demokraci.

Paradoks sytuacji polega na tym, że w tej swoistej powtórcie kryzysu kubańskiego z 1962 r. to prezydent Rosji rozstrzygnie, czy uczyni następne kroki na drabinie eskalacyjnej, aż do groźby wybuchu kinetycznego konfliktu amerykańsko-rosyjskiego, choć zapewne nie o charakterze atomowym, a może poczekając z odpowiedzią na działania Bidena do momentu zaprzysiężenia Trumpa. Wtedy byłaby dobra okazja, żeby rozmawiać nie tylko o deeskalacji konfliktu na Ukrainie, lecz także o jego trwałym zakończeniu. Jedynie zawieszenie broni nad Dnieprem to prowizorka, która ma małe szanse, aby stać się czymś tak trwałym, jak w przypadku Korei. Podejmując decyzje w tej sprawie, nie powinniśmy mieć na uwadze utrzymania prymatu przez USA, tym bardziej że od pewnego czasu już go nie ma.

Znaczenie amerykańskich wyborów może być większe, niż ktokolwiek może się spodziewać, o ile tylko Donald Trump zdoła utrzymać swoją uwagę na pomysły, do którego realizacji przeznaczył Elona Muska i Viveka Ramaswamy'ego. Chodzi o utworzenie agendy, która zajmie się zmniejszeniem państwowej biurokracji i odebraniem jej ogromnej władzy, którą ma obecnie.

Koncentracja na jednym elemencie rzeczywistości nie jest mocną stroną prezydenta elekta, który bywa chimeryczny, ale w tym przypadku wolno sądzić, że ten projekt będzie mocno wspierany przez otaczającą go ekipę 40- i 50-latków, którzy mają nadzieję, iż obejmą władzę za cztery lata – tym razem samodzielnie, bez swojego charyzmatycznego, ale wiekowego patrona – i utrzymają ją na dłużej. Pomysł ten łączy bowiem elementy atrakcyjne dla elektoratu: oszczędności budżetowe, ograniczenie biurokracji i – to, co na końcu nie jest wcale najmniej ważne, a wręcz przeciwnie – zatrzymanie lewicowo-liberalnej „postępowej” ideologii, której nadmiaru dość mają nawet niektórzy demokraci. W sam raz na zwycięską kampanię wyborczą. Oczywiście pod warunkiem, że rzecz się uda.

ODWRACANIE LEWICOWEGO MARSZU

Pod technokratycznie brzmiącą nazwą „Departament Efektywności Rządzenia” (DOGE – Department of Government Efficiency), którym mają kierować Musk i Ramaswamy, kryje się bowiem zamiar odwrócenia lewicowego marszu przez instytucje.

To, co wymyślił 100 lat temu włoski komunista Antonio Gramsci, a nazwał pół wieku po nim niemiecki lewicowiec Rudi Dutschke, polegało na opanowaniu języka i wprowadzeniu ludzi myślących na sposób lewicowo-liberalny najpierw do systemu oświaty, poczynając od wyższych uczelni, a potem do wszystkich instytucji państwa i w ten sposób przemienieniu funkcjonowania państwa niejako od środka. Może nie powinienem używać słowa „wprowadzenie”, bo to sugeruje zakulisowe i tajne działanie jakichś sił, które decydowały o mianowaniu i zatrudnianiu profesorów i urzędników. Chodziło raczej o powolną ewolucję

Jaśniejące miasto na wzgórzu



Robert Bogdański

Jeśli Elon Musk i Vivek Ramaswamy zwalczą potężne grupy żyjące z grantów i głoszenia lewicowych ideologii, to Ameryka znów może stać się wielka



U prezydenta Donalda Trumpa Elon Musk będzie współkierował Departamentem Efektywności Rządzenia FOT. BRANDON BELL/GETTY IMAGES

od czasu do czasu przyspieszaną przez polityków, która doprowadziła do tego, że – jak w świecie opisanym przez Orwella – pewne rzeczy w sensie dosłownym stawały się „nie do pomyślenia”. Bo słowa, których używano do ich opisu, traciły tradycyjne znaczenie.

W administracji opanowanej przez ludzi myślących na sposób lewicowo-liberalny ktoś stający na czele jakiegoś departamentu tylko teoretycznie sprawował w nim władzę. W praktyce jego polecenia były tłumaczone przez urzędników w taki sposób, że gdy już osiągały status rozporządzeń, traciły założony sens. To trochę tak, jakby system nagłośnienia zmieniał znaczenie słów wypowiedzianych przez mówcę. W dodatku system ten dużą ilość środków budżetowych – wbrew Kongresowi albo poza jego kontrolą – przeznaczał na samoreplikację. Działo się to przez promowanie tylko takiego wydawania publicznych pieniędzy, które zapewniało realizację podstawowych dla systemu pojęć: triady Diversity-Equality-Inclusion (DEI), czyli „Różnorodność-Równość-Inkluzywność”, „sprawiedliwości środowiskowej”, „zmiany klimatycznej” czy „sprawiedliwości rasowej”. W ten sposób różne instytucje otrzymywały środki na projekty w rodzaju „Inkluzywna wielokulturowa chemia” czy „Zwalczanie rasizmu wobec czarnych w dziedzinie inżynierii”. A skoro otrzymały środki, to musiały się wykazać realizacją i w ten sposób wpajano odbiorcom, że tylko dostosowanie się tego specyficznego do języka i aparatu pojęciowego zapewnia przetrwanie.

Podobny sygnał szedł za granicę, gdy potężna agencja pomocowa USAID przeznaczała astronomiczną, biorąc pod uwagę biedę odbiorcy, kwotę 45 mln dol. dla Myanmy na stypendia poświęcone nauczaniu „różnorodności i inkluzywności”.

Regulacje, które były wypuszczane przez administrację Bidena, miały charakter powszechnie obowiązujący dla wszystkich agend rządowych. Na przykład Dekret prezydencki nr 13985 zobowiązywał całą administrację do przygotowania i wdrożenia tzw. Równościowych Planów Działania. Do podobnych działań byli zmuszani także przedsiębiorcy chcący uzyskać rządowe kontrakty w wielu departamentach: jednym z warunków przetargowych było wdrożenie takich właśnie planów przy realizacji inwestycji.

Musk i Ramaswamy zapowiedzieli zmniejszenie liczby wydawanych nowych przepisów

Innym pomysłem było wprowadzenie obowiązku korzystania z tzw. wiedzy tubylczej. W ten sposób Departamentowi Spraw Wewnętrznych udało się w roku 2023 utracić siedem projektów związanych z wydobywaniem ropy i gazu na Alasce. Wiedza tubylcza tych projektów po prostu nie przewidywała.

Jedna z fundacji dostała grant w wysokości 120 mln dol. na utworzenie centrum promującego powiązanie wiedzy tubylczej z nauką. Inny grant przewidywał „budowanie mostów między nauką a innymi rodzajami wiedzy”. Nie chcę mnożyć przykładów, ale jeden szczególnie przypadł mi do gustu: skromny, niespełna 300-tysięczny grant na promowanie różnorodności w towarzystwach ornitologicznych...

MANIFEST MUSKA I RAMASWAMY'EGO

Wszystko to toczyło się niczym walec i wydawało się nieuniknione oraz niemożliwe do zatrzymania m.in. dlatego, że te granty stworzyły i utrzymywały potężne grupy klientelistyczne, które doskonale żyły z promowania różnorodności wśród ornitologów, wielokulturowości wśród chemików i tropienia rasizmu wśród inżynierów, a teraz może się skończyć, jeżeli panowie Musk i Ramaswamy staną na wysokości zadania. A jeżeli skończy się w najpotężniejszej demokracji zachodniej, to kto wie, co może wydarzyć się gdzie indziej... Wtedy Ameryka na powrót stanie się „jaśniejszym miastem na wzgórzu”, jak chciał Ronald Reagan.

Niedawno Elon Musk i Vivek Ramaswamy zamieścili w prasie tekst, który można z pewną przesadą określić mianem manifestu. Zaczęli od konstatacji, że choć Stany zostały ufundowane na zasadzie, że rządzą nimi ludzie wybrani przez naród, to jednak kraj nie funkcjonuje obecnie w ten sposób: „Większość przepisów to nie są prawa ustanawiane przez Kongres, tylko »zasady i regulacje« wytwarza-

ne przez biurokratów, których nikt nie wybrał, produkowane tysiącami każdego roku”. Określili to jako niedemokratyczne, sprzeczne z ideami ojców założycieli, a także marnotrawcze. Odwołali się przy tym do dwóch wydanych ostatnio orzeczeń Sądu Najwyższego, które zabraniają agencjom rządowym tworzenia regulacji w ważnych gospodarczych i politycznych kwestiach bez jasnego zezwolenia Kongresu, sądom zaś podporządkowywania się interpretacjom przepisów wydawanym przez agendy, które je wprowadziły.

Zapowiedzieli zmniejszenie liczby urzędników i ograniczenie zakresu działania wielu agend, ale przede wszystkim likwidację istniejących oraz zmniejszenie liczby wydawanych nowych przepisów. Tu uwaga na marginesie, że objętość przepisów nie jest wprost proporcjonalna do liczby zatrudnionych, a bywają departamenty, w których stosunkowo niewielka liczba zatrudnionych jest w stanie wydać z siebie imponującą liczbę przepisów. Na przykład Departament Edukacji liczy jedynie 4,1 tys. urzędników (co stanowi dwa promile ogółu zatrudnionych przez państwo), ale jego udział w wolumenie wszystkich amerykańskich przepisów jest 10-krotnie większy. Na szczęście idzie on do likwidacji, jego kompetencje zaś zostaną przekazane stanom, więc ten akurat producent przepisów przestanie być groźny.

Zatrzymanie i odwrócenie „marszu przez instytucje” stanowiło centralną ideę stworzonego przed dwoma laty przez kilkadziesiąt konserwatywnych instytucji, pod egidą Heritage Foundation, tzw. Projektu 2025. W chwili ogłoszenia wzbudził on popłoch w szeregach biurokratów i liberałów, bo od samego początku jasno komunikował, że jego celem jest wyposażenie prezydenta w odpowiednią wiedzę i ludzi, którzy mogliby od pierwszego dnia sprawowania urzędu zastąpić ekipę spod znaku DEI. To zaś oznaczało, że w przypadku wygranej Trumpa będzie on miał do dyspozycji nie tylko swoją niezrównaną retorykę i legendarną bezczelność, lecz także realne narzędzia do przeprowadzenia zmian i w związku z tym nie będą one powierzchowne ani nie ugrzęzną na urzędniczych biurkach.

Wydano dokument programowy i zaczęto prowadzić szkolenia, aby nowi ludzie zyskali kompetencje urzędnicze.

■ Dokument otrzymał tytuł „Mandat dla przywództwa” („Mandate for Leadership”) i był bezpośrednim nawiązaniem do identycznie nazwanego opracowania, które zostało opublikowane na początku roku 1981 z myślą o wsparciu prezydentury Ronalda Reagana. Ponad połowa zawartych tam rekomendacji została wtedy wcielona w życie. Między innymi dzięki temu Ameryka lat 80. stała się po dekadzie kryzysu i stagnacji Ameryką zwycięską, która potrafiła zmobilizować tkwiące w niej siły vitalne i wygrać rywalizację z sowieckim komunizmem.

stępcą Boba Woodwarda zabierze się do opowiadania, jak było. W każdym razie Trump uznał, że ma zbyt wiele pootwieranych frontów, aby pozwolić sobie na jeszcze jeden. Kamala Harris usiłowała przykleić ten projekt do niego, ale – by ująć rzecz delikatnie – nie była to jedyna rzecz, która jej się nie udała.

Trump nie chciał oficjalnie brać na pokład tego projektu m.in. z powodu sprawy aborcji. W Projekcie 2025 zostało napisane wyraźnie i jasno, że „aborcja i eutanazja to nie jest ochrona zdrowia”. Biorąc pod uwagę nastroje społeczne generalnie prze-

idzie w parze ze zmianą podejścia nowej administracji na pro-life. Projekt 2025 przestał być politycznym obciążeniem przeszkadzającym w osiągnięciu zasadniczego celu, czyli wygrania prezydentury. Ludzie związani z jego przygotowaniem znaleźli się wśród przewidywanych do nominacji w nowej administracji. Ma się w niej znaleźć autor jednego z rozdziałów „Mandatu dla przywództwa”, Russell Vought, jeden z kontrybutorów dokumentu zaś, Tom Homan, ma być odpowiedzialny za rozwiązanie kryzysu na granicy z Meksykiem. Nie są to jedyni ludzie związani z Projektem 2025, którzy mają wejść do administracji Trumpa.

Nic dziwnego, że demokraci są przerażeni i sięgają do sprawdzonego repertuaru zarzutów: autorytaryzm, dyktatura, makkartyzm, zamach na prawa pracownicze (urzędników), gwałcenie swobód obywatelskich (urzędników), wszystko to można w różnych konfiguracjach usłyszeć i przeczytać, a wolno przypuszczać, że kampania się nasili przed inauguracją Trumpa. Lewiatan tanio skóry nie sprzedaje. Musk i Ramaswamy będą mieli naprawdę trudne zadanie. Gdyby podobna sytuacja miała miejsce w Europie, w ciemno stawiałbym na wygraną biurokracji. Na szczęście Ameryka jest inna.

Chociaż... Jak wspomniałem na początku, lewicowy „marsz przez instytucje” rozpoczął się na uniwersytetach i tam najsilniej ta ideologia zapuściła korzenie. Niedawno przeprowadzono badanie nad tym, jaki jest profil ideologiczny wydziałów na amerykańskich uczelniach zajmujących się sprawami publicznymi. Wśród 443 uczelni proporcja wydziałów realizujących agendę liberalną do konserwatywnej wynosiła 7:1. Liczba liberalnych naukowców w podobnej lub większej proporcji przewyższała liczbę badaczy o nastawieniu konserwatywnym. W Berkeley na 19 liberałów przypada zero konserwatystów, w Princeton proporcja wynosi 31:4, w Harvardzie 56:4. Na uczelni Musk z Ramaswamym wstępu nie mają, i bardzo dobrze. Kłopot w tym, że kadry do rządzenia kształcone są właśnie tam i stamtąd Lewiatan czerpie siły. Jak go pokonać, nie gwałcąc wolności uczelni? Oto pytanie, które wykracza poza prezydenturę Trumpa i obecne starcie z biurokracją. Oby wygrane.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

W swoim tekście programowym Musk i Ramaswamy umieścili na liście wydatków, które należy wstrzymać, 300-milionową roczną dotację dla proaborcyjnego molocha Planned Parenthood

Ekipa, którą zgromadziła Heritage, zgodziła się, żeby program opierał się na czterech zasadniczych filarach: postawieniu w centrum rodziny i ochronie dzieci przed demoralizacją, rozbiciu „państwa administracyjnego” i powrocie do samorządu, obronie suwerenności, granic i bogactwa kraju, a wreszcie – indywidualnej wolności. W dokumencie czuło się wyraźnie tęsknotę za prostotą Reagana. Szef Heritage, Kevin D. Roberts, cytował we wstępie jego słynne zdanie o sposobie prowadzenia zimnej wojny: „My wygrywamy, oni przegrywają”. Czytając tę księgę, miało się wrażenie, że jej autorzy mieli poczucie, że wiatr wieje im w żagle. Co więcej, że ich projekt nie musi być związany z obecnym kandydatem, bo jest pomysłem dla nadchodzącego radykalnego pokolenia republikańskich polityków, dla których ewentualna przegrana w wyborach prezydenckich może być jedynie wypadkiem przy pracy.

W trakcie kampanii wyborczej przeżyli zresztą trudne chwile, bo Donald Trump oficjalnie zdystansował się od Projektu 2025. Wielokrotnie mówił, że dokumentu nie zna, nie czytał i nikt jego powstania z nim nie uzgadniał. Że nie czytał, to można uwierzyć, bo tekst ma ponad 900 stron... W to, czy nie wiedział, o co w nim chodzi, wolno wątpić, ale tego dowiemy się za kilka lat, gdy jakiś na-

ciwne odwróceniu w roku 2022 słynnego wyroku Sądu Najwyższego Roe vs. Wade, który pół wieku wcześniej zalegalizował aborcję na terenie całych Stanów, demokraci chcieli z tej kwestii zrobić pierwszoplanowy temat kampanii prezydenckiej. Chcieli wygrać dzięki młodości (relatywnej) Kamali Harris, jej „pozytywnej energii” i postawieniu na młode kobiety, które w kwestii aborcji były równie radykalne, a może i bardziej niż polskie „piorunki”. Co prawda, odwrócenie wyroku Roe vs. Wade dokonało się już za prezydentury Bidena, ale zrobili to sędziowie mianowani przez Trumpa, więc plan demokratów wydawał się znakomity. Trump jednak zszedł z linii strzału, konsekwentnie opowiadając się za pozostawieniem tej sprawy na poziomie stanów, a ponieważ na ostatniej prostej kampanii aborcja straciła dla wyborców atrakcyjność, a zyskały ją nielegalna imigracja i stan gospodarki, więc plan się nie powiódł. Sam uśmiech Kamali Harris nie wystarczył.

POPŁOCH U DEMOKRATÓW

Tymczasem w swoim tekście programowym, który cytowałem wyżej, Musk i Ramaswamy umieścili 300-milionową roczną dotację dla proaborcyjnego molocha Planned Parenthood na liście wydatków, które należy wstrzymać. Jest jasne, że w tym przypadku oszczędność budżetowa

Ministerstwo Edukacji Narodowej w listopadzie przedstawiło do konsultacji społecznych dwa projekty nowelizacji rozporządzeń. Zaplanowane w nich zmiany od 1 września 2025 r. wprowadzą w szkołach obowiązkowy przedmiot nazwany „edukacja zdrowotna”. Minister edukacji Barbara Nowacka wskazywała, że na tym przedmiocie dzieciom będzie przekazywana szeroko pojęta profilaktyka zdrowotna, obejmująca zdrowie zarówno psychiczne, fizyczne, jak i seksualne. Według organizacji pozarządowych taki przedmiot będzie furtką do wprowadzenia w szkołach przymusowej edukacji seksualnej. Wskazywały one, że przy podstawach programowych z tego zakresu pracowały osoby związane m.in. z fundacją Sexedpl. Na stronie fundacja jako misję wpisuje np. „wspieranie społeczności LGBT+”. W jednym z artykułów na tej stronie można znaleźć takie stwierdzenia, jak „Masturbacja jest wspaniałą sprawą!”. MEN nie zamierza słuchać protestów. „Będzie to przedmiot obowiązkowy bez względu na to, co jedna czy druga organizacja będą uważały” – zapowiedziała minister Nowacka.

Westerplatte rodziców



Magdalena Czarnik

wiceprezes Stowarzyszenia Rodzice Chronią Dzieci

Trwa likwidacja polskiego systemu oświaty, a rząd podżega kadry oświaty do łamania praw rodziców, czyli do edukacji seksualnej w szkołach

Znajdujemy się niewątpliwie w przełomowym, a wręcz historycznym momencie dla naszego, polskiego systemu oświaty.

Huragan doświadczanej destrukcji jest niewyobrażalny. Polscy uczniowie nie będą się już więcej uczyć o Traugucie, Westerplatte, Starzyńskim, o bitwie o Monte Cassino ani o kopalni Wujek, Solidarności Walczącej; nawet mity greckie uznano za zbyt obciążające.

To miało być odchudzenie podstawy programowej, ale okazuje się, że będzie więcej nauczania o zdrowiu i prawach obywatelskich (sic!). Kto chce w to wierzyć, niech wierzy. Naiwność niektórych znanych w Polsce postaci, jak pana Tomasza Terlikowskiego, poraża, a wręcz daje do myślenia, czy za taką percepcją rzeczywistości nie stoją pewne nadrzędne interesy. Trzeba ten stan rzeczy nazwać po imieniu – znajdujemy się

w trakcie likwidacji polskiego systemu oświaty, a ponadto rząd podżega do łamania praw rodziców.

„Ale co pani wygaduje? Bez przesady. Kilka fatalnych reform to jeszcze nie jest koniec świata. Szkoła zawsze była i jest, i będzie. Po co te ostre słowa? Nikt pani i tak w to nie uwierzy” – usłyszałam od poważnych ludzi, po jednej z konferencji prasowych naszej Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły (KROPS), w której

FOT. ADRIAS STOCK

Wzięłam udział jako przedstawiciel jednego z koalicjantów. A nasze referaty w zwięzłych słowach zobrazowały – i, jak mi się wydaje, nawet dość jaskrawo – do czego zmierzają rozporządzenia obecnej minister likwidacji edukacji, Barbary Nowackiej.

LIKWIDACJA POLSKIEJ SZKOŁY W TOKU

Szkoła jako placówka edukacyjna i wychowawcza, w jej dotychczasowym kształcie, który znamy, z jej rolą przekazywania wiedzy, ponadto rolą instytucji kulturotwórczej, przekazującej tożsamość narodową i państwową, poddawana jest stopniowemu, aczkolwiek skutecznemu demontażowi. Docelowo – wkrótce po wchłonięciu Polski do Europejskiego Obszaru Edukacji – ma przestać istnieć. Budynki, owszem, stać będą nadal te same, ale w ich murach odbywać się będą (a już po części się odbywają w klasach realizujących model edukacji włączającej) tylko zajęcia opiekuńczo-terapeutyczne utrzymujące zebrane tam dzieci w unijnym, wręcz huxleyowskim jak po połknięciu somy, dobrostanie, a proces nauczania ma zostać zdegradowany do infantylnego poziomu iluzji, tak aby nie stresować zarówno słabszych uczniów i tych niepełnosprawnych intelektualnie, a także tych niedostosowanych społecznie, jak i tych nieznających języka polskiego, a także – nie zapominajmy – tych o płynnej płci. Nauczanie przede wszystkim nie będzie zaburzać u wszystkich uczniów, traktowanych równo, jakże ważnej rzeczy, czyli dobrego samopoczucia.

W nowym wspaniałym świecie Huxleya „ze zgrozą mówi się o owych barbarzyńskich czasach, kiedy opieka nad dziećmi i ich wychowanie leżały w rękach ich rodziców, a nie organów państwowych”. Tam udało się doprowadzić ludzi do stanu, w którym pragną tego, co im władza nakazuje, a swoje zniewolenie uważają za wolność. W komentarzu własnym autora czytamy ponadto: „Im bardziej redukuje się wolność polityczną i gospodarczą, tym bardziej wolność seksualną, na zasadzie rekompensaty, usiłuje się zwiększyć”.

Jako matka zaangażowana już od ponad 12 lat w ochronę dzieci przed indoktrynacją seksualną i działająca na

rzecz egzekwowania praw rodziców i reprezentując świadomych rodziców chroniących swoje dzieci przed indoktrynacją płynącą z wielu źródeł (wcale nie tylko organizacje LGBT, popkultura, pseudosztuka, także teatralna, Big Tech) muszą dzisiaj w tym przełomowym momencie uderzyć na alarm. (Nie) rząd podejmuje próbę dokonania rabunku praw przynależnych rodzicom, a są to ich prawa wynikające z porządku naturalnego, są święte! Rządowi agresorzy chcą wyrzucić rodziców z procesu wychowawczego i wzorem zachodnich trendów zakazać im dosłownie wstępu na teren budynków szkolnych, co jakże wyraziście podkreśla, że dzieci stają się własnością państwa. Nie będzie na to w Polsce zgody.

Od kilku dobrych lat członkowie mojego stowarzyszenia, tak jak wiele innych osób z naszego KROPS, w ciągu ostatnich miesięcy rozbudowują w całym kraju sieć świadomych rodziców i nauczycieli, którzy już są przygotowani i nie dadzą się nabrać na rządowe manipulacje i przedstawianie nam rządu jako hegemona, którego rozporządzenia są niepodważalne i należy je wcielać w życie.

CHRONIĆ DZIECI PRZED RZĄDEM

Nie zgadzamy się na wdrażanie haniebnych, niemających podstaw prawnych ani jakiegokolwiek choćby cienia konsensusu społecznego rządowych rozporządzeń, gdyż świadomi rodzice wiedzą, że narzucanie im narracji o obowiązkowej edukacji seksualnej dla ich dzieci jest nadużyciem i podleganiem kadr oświatowych do łamania ich praw.

Kierowanie do nas przekazu z gremiów rządowych, że my, rodzice, musimy czy mamy wręcz obowiązek wydać nasze dzieci na pastwę rządowej seksualizacji, jest po prostu kłamstwem.

Obowiązkiem każdego rodzica jest chronić swoje dzieci przed zagrożeniami, a dzisiaj przed szaleńczą wręcz samowolą rządu. Obecnie docieramy do punktu, kiedy musimy chronić nasze dzieci przed rządem kraju, w którym żyjemy, pracujemy, mieszkamy, który jest przecież naszą ojczyzną.

Podporządkowanie się tej tzw. edukacji zdrowotnej sprowadzi na nasze dzieci liczne krzywdy, a wręcz choroby psychiczne i fizyczne. O skutkach seksu-

Edukacja seksualna dzieci nie jest i nie stanie się obowiązkiem, i nie może być narzucana nauczycielom

alizacji ostrzegamy głośno od dawna, są przebadane, znane, ujęte w statystyki, nie czas i nie miejsce, żeby je tutaj znowu powtarzać; przede wszystkim pamiętajmy, że wczesne zajmowanie dzieci seksem stanowi narzędzie ogłupiania i debilizacji społeczeństwa.

Zgodnie z zasadami państwa prawa rządowi nie wolno podżegać do łamania praw własnych obywateli, w tym przypadku nas, rodziców. A to właśnie się dzieje na naszych oczach.

Edukacja seksualna dzieci nie jest i nie stanie się żadnym obowiązkiem dyrektora szkoły, i nie może być narzucana nauczycielom, bez względu na to, jak wysoce zaawansowanymi metodami manipulacji będzie to czynione.

Rozpoznajemy te uzurpacje, manipulacje, jesteśmy na nie odporni i przypominamy – to dyrektor szkoły ma ustawowy obowiązek uzgodnić z rodzicami program profilaktyczno-wychowawczy i ma obowiązek wspierać rodziców w wypełnianiu ich zadań rodzicielskich, dostosowując się do ich potrzeb i przekonań. Mówi o tym zasada subsydiarności obowiązująca w państwie prawa.

EUROPEJSKI OBSZAR KRYMINALIZACJI RODZICÓW

Czy żyjemy jeszcze w państwie prawa czy coraz bardziej jawnego bezprawia zmierzającego po równi pochyłej w stronę nowej odsłony totalitaryzmu?

Przypomnijmy, co słyszeliśmy na Marszu Niepodległości: gdy prawo staje się bezprawiem – sprzeciw staje się obowiązkiem!

Polscy rodzice wracający z Zachodu, zmęczeni szykanami, których tam doświadczali, chcący znowu osiedlić się w swojej ojczyźnie, opowiadają, do czego doszło na Zachodzie – tam rodzice utracili już swoje prawa, ba, już się z tym pogodzili. Tam decyduje za nich urządniczy, bezwzględny aparat państwowy, tam nie mają nic do powiedzenia – Niemcy,

Szwecja, Francja, Norwegia... Jaskrawy tego przypadek potwornej tragedii rodaków ze Szwajcarii, z Genewy, opisaliśmy ostatnio na naszej stronie Stop-seksualizacji.pl. Tragedia tej rodziny pokazuje boleśnie, jaką cenę trzeba zapłacić za brak sprzeciwu w odpowiednim czasie.

Podczas pandemicznych lockdownów ich nastoletnia córka zaczęła się psychicznie gorzej czuć i podejrzewać, że być może jej ciało nie odpowiada jej właściwej płci. Kochający rodzice z troską poszukali dobrego psychologa, który zaczął współpracę z córką. Jednak wspomniała ona o tym w szkole i gorliwi pedagodzy, wyszkoleni najwyraźniej skutecznie przez misjonarzy tęczywej awangardy, zaczęli odnosić się do dziewczynki w szkole formami męskimi. Poruszeni do żywego rodzice nie chcieli tej ingerencji szkolnych decydentów zaakceptować, a to już wystarczyło, żeby uznać ich za opresorów działających na szkodę wolności ekspresji seksualnej własnej córki, w związku z czym córka pewnego pięknego dnia ze szkoły już do domu nie wróciła. Zwrócili się o pomoc do adwokatów z Alliance Defending Freedom International, którzy jak polskie Ordo Iuris stoją na straży praw tonącej cywilizacji zachodniej. Sprawa dotyczy tego, czy córka będzie mogła dokonać tranżycji bez zgody rodziców i czy oni zostaną oskarżeni o blokowanie córce przeprowadzenia tranżycji, czyli de facto o to, że nie zgadzają się na obcięcie córce piersi.

W lutym sąd zażądał od rodziców przekazania dokumentów umożliwiających zarejestrowanie córki w dokumentach pod nową męską tożsamością. Zrozpaczeni rodzice odmówili pod groźbą zarzutu o popełnienie przestępstwa. Z pomocą adwokata z ADF International złożyli apelację od tej decyzji sądu w Genewie. Sprawa jest w toku.

Sledzimy też równie koszmarny przypadek polskich rodziców ze Szwecji, państwa Kłaman i ich czworga wydartych brutalnie z ciepła rodzinnego domu córek przy udziale polskich urzędników, którzy na wezwanie szwedzkiego Jugendamtu wydali szwedzkim władzom polskie dzieci. Czyżby już działał europejski obszar kryminalizacji rodziców?

Planowany zamach na prawa rodziców to tylko początek zmasowanego

ataku na cały bastion wolności obywatelskich, do których przywykliśmy w chrześcijańskiej kulturze prawnej.

Pierwszy cel ma być zdobyty przez rządzących nami, a mówiąc prawdę – na polecenie ich mocodawców, gdyż nasz rząd to tylko marionetki w rękach większych graczy, tych z gremiów unijno-oenzetowskich i wyższych, po to, aby pozbawić nas wkrótce krok po kroku kolejnych wolności obywatelskich, takich jak: wolność sumienia, wyznania, swobody wyrażania opinii, wolności prowadzenia badań naukowych, wyboru metody leczenia, a również wykonywania wybranego zawodu. Jak dobrze widzimy, już mocno naruszona jest niezawisłość wymiaru sprawiedliwości.

A czy czasem nie obserwujemy już pierwszych ataków na te właśnie wolności obywatelskie? Przykładów z mojej ojczyzny mogłabym tu przytoczyć multum.

Dyrektor szkoły ma ustawowy obowiązek uzgodnić z rodzicami program profilaktyczno-wychowawczy

Podsumujmy. Na Zachodzie sprzeciw rodziców był zdecydowanie za słaby. Tam rodzice, omamieni hasłami rewolucji seksualnej rozpoczętej w końcu lat 60., nie rozpoznali na czas stosowanych na nich manipulacji i dali sobie wmówić, że dzieci w szkołach stają się własnością państwa.

Tam kryminalizuje się rodziców walczących z aparatem państwa o swoje dzieci. Nadszedł czas, aby zacząć te tragedie głośno komentować i przed nimi ostrzegać.

Już Sołżenicyn zauważył: „Marksistowski system władzy rozpoznaje się po tym, że kryminalizuje normalnych obywateli, którzy stali się niewygodni, natomiast prawdziwych przestępców bierze pod ochronę”.

Na Zachodzie to już jest normalne – odpowiedzialni rodzice trafiają za kratki, a seksedukatorzy, porównywani słusznie do pedofilów, na szkolny piedestał. Czy chcą państwo tego w Polsce?

Zróbmy wszystko, żeby nie dopuścić do takiego cierpienia polskich dzieci i rodziców. Patrząc na upadek Zachodu – będziemy mądrzejsi.

MASOWY RUCH SPRZECIWU

Aby odeprzeć ten atak pod pozorem wprowadzenia edukacji seksualnej, nieodzowny jest masowy i potężny ruch sprzeciwu rodziców, a my go właśnie tworzymy – obnażając prawdę, podsycając, motywujemy i jest nas coraz więcej, i będziemy skuteczni. Siły dodają nam rodzice, którzy wrócili z Zachodu i opowiadają tragiczne historie, zwracając uwagę na żenująco niski poziom nauczania w tamtejszych szkołach i niewiarygodny wręcz upadek autorytetu nauczyciela. To wszystko mobilizuje nas do słusznego sprzeciwu.

Zwróćmy uwagę na przyczynę problemów – przegrane przez rodziców procesy sądowe. Orzecznictwo w oparciu o fałszywe przesłanki prawne. Tak, apelacji było zbyt mało. Ponadto zadziały powiązania władzy z organizacjami forsującymi globalną rewolucję seksualną deregulującą całkowicie wszelkie normy w dziedzinie seksualności. Skorumpowana władza w tęczyowych sojuszach dopuszczała pranie mózgu kadr oświatowych. Te patologiczne powiązania doprowadziły do tego, że nauczyciele zaczęli – bez żadnego umocowania w przepisach prawa, a tylko na podstawie pogadanek z tęczyowymi aktywistami – wynosić się ponad legitymizowaną wolę rodziców.

Drodzy rodzice, jeśli kadry oświatowe uzurpują sobie dominowanie nad wami, to robią to bezprawnie! Powiedźcie: non possumus! To wy jesteście suwerenami w szkołach.

Do września mamy jeszcze czas, wykorzystamy możliwe narzędzia prawne i zaskarżymy to rozporządzenie o edukacji zdrowotnej i obywatelskiej do odpowiednich organów Trybunału Konstytucyjnego.

Wojna o dzieci trwa. Może trzeba będzie wyjść na barykady i odmówić posyłania dzieci do szkół, bo to wojna o rację zachowania tożsamości naszego narodu, o przetrwanie naszego państwa, o nasze być lub nie.

To jest dzisiaj, nas rodziców, Westerplatte.



Paweł Chmielewski

Nie ma dziś w Kościele katolickim w Polsce bardziej wpływowego biskupa niż metropolita Łodzi, kard. Grzegorz Ryś. Sześćdziesięcioletni hierarcha uosabia styl papieża Franciszka i jest twarzą tego katolicyzmu, który Jorge Mario Bergoglio chciałby w Polsce zaprowadzić na szeroką skalę

Grzegorz Ryś to jedyny posługujący w kraju Polak, który otrzymał z rąk obecnego następcy św. Piotra biret kardynalski. Decyzja z 2023 r. nie była wprawdzie dla nikogo zaskoczeniem ze względu na poglądy nominata, ale od strony formalnej mogła dziwić. Łódź jeszcze nigdy w swojej krótkiej historii nie miała kardynała. Wielu spodziewa się, że niedługo będzie cieszyć się purpurą, bo Grzegorz Ryś, urodzony w Krakowie, gdzie posługiwał też przez kilka lat jako biskup pomocniczy, może jeszcze trafić do jakiejś bardziej prominentnej archidiecezji niż łódzka, może nawet do samego Krakowa, gdzie zastąpiłby abp. Marka Jędraszewskiego.

Niezależnie od tego, gdzie spędzi kolejne lata, to właśnie on będzie w znacznej mierze kształtować oblicze polskiego Kościoła. W 2020 r. Franciszek mianował abp. Rysia członkiem Kongregacji do spraw Biskupów (dziś: Dykasterii). To właśnie ten urząd Kurii Rzymskiej odgrywa kluczową rolę w obsadzie wakuujących stolic biskupich. Grzegorz Ryś otrzymał tym samym ogromny wpływ na wybór polskich hierarchów; nawet jeżeli nie podejmuje każdej decyzji osobiście i nie zawsze jest w stanie przeferować swojego kandydata, to mówi się nie bez racji, że bez jego wpływu nikt już nie zostaje w Polsce biskupem – i dopóki na tronie św. Piotra zasiada Franciszek, to się już nie zmieni. Kardynał odgrywa też znaczącą rolę w innych kluczowych sprawach: od ubiegłego roku jest też członkiem Dykasterii do spraw Kultu Bożego, która zajmuje się liturgią, a z oso-



Synodalny „kingmaker” kardynał Ryś

bistej nominacji papieża Franciszka brał udział w obu rzymskich sesjach Synodu o synodalności.

KONTROWERSYJNE POGŁĄDY

Poglądy kard. Rysia na sprawy wewnętrzkościelne są tymczasem bardzo kontrowersyjne. Metropolita Łodzi świadomie zerwał ze schematem działania, który wprowadził do Kościoła w Polsce jeszcze kard. Stefan Wyszyński. W modelu prymasa biskupi nad Wisłą pomimo wszystkich dzielących ich różnic powinni na zewnątrz manifestować zdecydowaną jedność. Kardynał Ryś nie bardzo się tym przejmując i w wielu sprawach idzie własną drogą. Dotyczy to choćby tak wrażliwego obszaru jak liturgia.

W 2021 r. łódzki metropolita wywołał bezprecedensowy skandal podczas spotkania Arena Młodych na stadionie w Łodzi. Hierarcha znienacka oświad-

czył tłumnie zgromadzonym, że chociaż o tym nie wiedzieli, to uczestniczą właśnie... w ofierze Mszy Świętej. Na abp. spadła fala krytyki; zainterweniowała nawet Konferencja Episkopatu Polski. Specjalne oświadczenie wydał ówczesny przewodniczący Komisji do spraw Kultu Bożego przy KEP, bp Piotr Greger. Arcybiskup Ryś odniósł się do zarzutów, zdobywając się na przeprosiny wobec „wszystkich, którzy poculi się zgorszeni” i przyznając, że „nie dochował wszystkich norm i kanonów” związanych z celebracją Mszy Świętej. Przekonywał, że chciał dobrze, a przepisy liturgiczne złamał po wcześniejszym „rozeznaniu” i „długiej modlitwie”.

W tym tkwi właśnie fundamentalny problem: w źródłach, na które powołuje się kard. Ryś, podejmując różne działania i głosząc swoje poglądy. Kilka tygodni temu rozmawiałem z nim w Rzymie przy

okazji konferencji prasowej wieńczącej Synod o synodalności. Pytałem, jak zapatruje się na kwestię ewentualnych zmian w liturgii, które zostały zapowiedziane w dokumencie finalnym zgromadzenia. Chodzi tu o nadanie liturgii „synodalnego oblicza”. W odpowiedzi metropolita Łodzi stwierdził, że „reforma liturgiczna jeszcze się nie wydarzyła”, a dziś liturgia – miał chyba na myśli samą Mszę Świętą – to „teatr jednego aktora”.

Co to znaczy? Kościół katolicki dysponuje jasnymi wskazaniem ojców Soboru Watykańskiego II odnośnie do kształtu połączonych przez nich zmian w liturgii. Jest nim dokument o bardzo wysokiej randze, konstytucja dogmatyczna „Sacrosanctum concilium” ogłoszona przez św. Pawła VI w grudniu 1963 r. Reforma liturgiczna, którą ten sam papież przeprowadził kilka lat później, mocno wykroczyła poza literę tego tekstu, ale została dokonana. Jej owocem są konkretne księgi liturgiczne obowiązujące w Polsce od pół wieku.

Kiedy kard. Ryś mówi, że reforma się jednak nie dokonała, to odwołuje się siłą rzeczy nie do woli Kościoła – tak jak została wyrażona na soborze i przez papieża – ale do jakichś bliżej nieokreślonych wyobrażeń. Opuszczamy w tym momencie świat faktów, wkraczając w przestrzeń czystej wyobraźni. „Rozpoznanie” indywidualne nie jest i nie może być podstawą do gruntownej przebudowy Kościoła, nawet jeżeli dokonuje go jakiś kościelny „przywódca”...

POMIESZANIE PORZĄDKÓW

W przypadku kard. Rysia problem odwoływania się do nieweryfikowalnych „podstaw” decyzji wydaje się bardzo poważny. Znajduje to odzwierciedlenie m.in. w aktywnościach charyzmatycznych, które purpurat promuje w archidiecezji łódzkiej. W lutym 2022 r. archidiecezja ta we współpracy z Watykanem i kilkoma grupami charyzmatycznymi zorganizowała wielkie spotkanie ekumeniczne „Już czas”. Przedstawiono je jako „spotkanie liderów Kościoła”. „Liderami” określono zarówno katolickich biskupów, jak i duchownych protestanckich oraz świeckich przedstawicieli wspólnot charyzmatycznych... Na płaszczyźnie idącego do mediów przekazu rzecz zamazywała dwie katolickie prawdy:

hierarchiczną naturę Kościoła (zrównano biskupów z niebiskupami) oraz wyjątkowość Kościoła katolickiego (sugerując, że równe są mu wspólnoty protestanckie). Wszystko w duchu rzekomego posłuszeństwa Duchowi Świętemu, którego nieustannie przywoływano w zapowiedziach spotkania „Już czas”.

Kardynał Ryś lubi zresztą przywoływać Ducha Świętego w bynajmniej nieoczywistych kontekstach. Zrobił to niedawno w homilii, którą kanał youtube’owy jego archidiecezji opublikował 19 października. Hierarcha mówił tam o bluźnierstwach przeciwko trzeciej Osobie Trójcy Świętej. Zacytuje ten passus in extenso. Powiedział: „Bluźnimy przeciw Duchowi Świętemu, kiedy mówimy np. o tym, że nic gorszego nie mogło spotkać Kościoła jak Sobór Watykański II. Bluźnimy przeciw Duchowi Świętemu, kiedy mówimy, że nic nie rozumiemy z tego synodu, który dzieje się w Rzymie, o synodalności... Bluźnimy przeciw Duchowi Świętemu, niestety, kiedy opatrujemy wielkim znakiem podejrzania osobę i działanie Ojca Świętego. Ile jest w naszym życiu publicznym takiej otwartej krytyki papieża Franciszka?”.

Bluźnierstwo przeciwko Duchowi Świętemu, przypominę, jest grzechem, który według Ewangelii św. Mateusza nie może zostać odpuszczony; kardynał mówił zatem o najpoważniejszej sprawie. Tyle że katolicka nauka nigdy nie definiowała tego grzechu w ten sposób... Wydaje się, że słowa kardynała można ocenić jako arbitralną i wyjątkowo brutalną próbę zamknięcia jakichkolwiek dyskusji na temat celowości zmian soborowych, prawdziwej natury i zamierzeń procesu synodalnego czy wreszcie rewolucyjnych dokonań Franciszka. Dyskusja na ten temat nie jest jednak w Kościele zabroniona.

Próba jej zakazania przez przywołanie najwyższych możliwych sankcji jest przejawem niesamowitego pomieszania porządków. O ile oficjalnym i uroczystym wypowiedziom papieża – np. kiedy ogłasza dogmat – przysługuje charyzmat nieomyślności i w związku z tym odrzucanie ich byłoby faktycznie grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, to nie dotyczy to bynajmniej sytuacji, w której tenże papież publikuje niejasną adhortację posynodalną pełną kontrowersyjnych

przypisów albo też ogłasza Synod Biskupów, w którym, wbrew nazwie i tradycji, udział biorą też niebiskupi... Zaryzykuję tezę, że słowa kard. Rysia są wyrazem jego przyłgnięcia do radykalnej interpretacji Soboru Watykańskiego II, zgodnie z którą historię Kościoła dzieli się na dwie epoki: wsteczną i pełną wypaczeń przedsoborową i oświeconą, otwartą na „działanie Ducha” epokę naszych czasów. To wygodne. Jednak czy w jakikolwiek sposób prawdziwe?

LISTA JEST DŁUŻSZA

Powyższy opis nie wyczerpuje bynajmniej o wiele dłuższej listy kontrowersji, które dość regularnie wywołuje kard. Grzegorz Ryś. Należy tu przynajmniej zaznaczyć jeszcze dwa istotne wątki. W 2002 r., wówczas jeszcze z pozycji księdza i historyka, Grzegorz Ryś ogłosił książkę pt. „Celibat”, wznowioną w roku 2019 na fali dyskusji wywołanych przez Synod o Amazonii. Stał tam zasadniczo w obronie celibatu kapłańskiego, zwracając jednak uwagę na jego historyczność, tak by ostatecznie podkreślić fakultatywność obowiązkowej beżenności, sugerując jej otwartość na ewentualne zniesienie w przyszłości. To teza, która jest obecna w dyskusji, ale stoi w zdecydowanej sprzeczności z optyką, którą reprezentował np. Benedykt XVI, w swoim głośnym eseju sprzed kilku lat niezwykle silnie wiążąc celibat z samą istotą kapłaństwa.

Druga kwestia dotyczy stosunku do judaizmu. Kardynał Ryś, autor wydanej rok temu książki „Chrześcijanizm wobec Żydów”, jest reprezentantem środowiska postulującego konieczność dokonania w Kościele głębokiego przełomu; mówił niedawno, że w każdej polskiej parafii należy obchodzić „Dzień Judaizmu w Kościele”, bo brak pamięci o Żydach miałby być „obojętnością”, która potwierdza „dzieło Zagłady”; o tym dość napisał ostatnio Paweł Lisicki w książce „Mit starszych braci w wierze”.

Jeżeli katolicyzm w Polsce, zgodnie z wyraźną wolą papieża, rzeczywiście będzie mieć w coraz większej mierze oblicze kard. Rysia, to musimy nastawić się na wiele poważnych zmian. Czy na lepsze, pozostawiam ocenie każdego z czytelników.



Z Lidią Sadkowską-Mokkas, autorką książki „Słowa w ogniu. Literaci w Warszawie 1939–1945” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Zapisani w okupacji

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Istniały jakieś stałe adresy, pod którymi koncentrowało się życie literackie w Warszawie zajętej przez Niemców?

LIDIA SADKOWSKA-MOKKAS: Można wymienić ich wiele. Myślę, że najważniejszym jest Goetlówka – kuchnia literacka Rady Głównej Opiekuńczej, mieszcząca się początkowo przy Nowym Świecie 35, a od stycznia 1940 r. w przedwojennej siedzibie PEN Clubu i Związku Zawodowego Literatów Polskich przy Piernackiego 16A (obecnie Foksal). Bywali tam niemal wszyscy – na obiadach, okolicznościowych imprezach, świątecznych uroczystościach. Ale byli i tacy, jak Jarosław Iwaszkiewicz, którzy unikali tego miejsca. Często odwiedzana była kawiarnia Lardellego, gdzie można było napić się kawy, zjeść ciastko, posłuchać muzyki. Integrującą rolę odgrywały „salony” literackie oraz cykliczne wydarzenia, by wspomnieć słynne „wtorki” u Nałkowskiej, spotkania u Rity Rey czy „środy” u Stefana Rygla. Ważnym punktem na mapie literackiej było podstołeczne Stawisko.

W obliczu niewoli dawne spory środowiskowe poszły w niepamięć?

Wprost przeciwnie, bo natura ludzka jest niezmienna. Sympatie i animozje sprzed wojny nie tylko się nie zmieniały, lecz także zaostrzały, a nawet utrwały. Ferdynand Goetel nadal nie znosił Iwaszkiewicza (i vice versa). Nie potrafił zrozumieć, dlaczego dla Czesława Wycecha i Stanisława Lorentza „wesoły efeb okupacji”, „fordanser appeasementu w stosunku do okupacji bolszewików”, stał się autorytetem moralnym i powierzono mu przewodniczenie zespołowi literackiemu. Irzykowski odczuwał żal do Zofii Nałkowskiej, „Womeli w spódnicy”, z powodu wzgardzonego uczucia. Po 30 latach domagał się zwrotów listów miłosnych, które pisał do autorki „Granicy” w okresie krakowskim. Obawiał się, że pisarka opublikuje korespondencję bez jego zgody, co przyprawi mu środowiskową „gębę”. Aurelia Wyleżyńska napisała z przekąsem, używając frazeologii rodem z Żeromskiego, o porzuconej przez męża Jadwidze Goetlowej, nazywając ją „wierną rzeką”, która musiała ustąpić „urodzie życia” (Halinie Winowskiej). I pomimo że regularnie otrzymywała paczki z wiktulami z Wielgolasu, nie potrafiła pogo-

Jarosław Iwaszkiewicz (u góry) i Stanisław Dygat, 1942 r.

FOT. ARCHIWUM MUZEUM W STAWISKU/FOTONOVA

dzić się z niesprawiedliwością w rozdzielnictwie żywności w Goetłwce. Środowisko literackie z rezerwą odnosiło się do sekretarza Nałkowskiej, Bogusława Kuczyńskiego, widząc w nim wiejskiego chłopaka z pisarskimi ambicjami, karierowicza z wybujałym ego. Miłosz nie przepadał za Nałkowską – „egerią wyższego towarzystwa Warszawy”, a także Nałkowską – pisarką. Zdanie zmienił po lekturze dzienników, które docenił za prawdę przekazu oraz „ton rozdzierający”. Podobne przykłady można mnożyć.

Jedną z pierwszych ofiar niemieckiego okupanta, pochodzących z kręgu literackiego, była Elżbieta Zahorska?

Pretekstem do aresztowania utalentowanej córki Anny Zahorskiej, „Savitri”, stało się zerwanie propagandowego plakatu, na którym ranny polski żołnierz pokazuje premierowi Wielkiej Brytanii, Chamberlainowi, dymiące zgliszczka, mówiąc: „Anglio! To Twoje dzieło”. „Litka” działała w Warszawskiej Służbie Kobiet, obsługiwała karabin maszynowy na gmachu poczty i telegrafu przy Nowogrodz-

kiej 45. Przedzierała się przez most Kierbedzia na Pragę, aby z określonych punktów zabrać, a potem dowieźć do oddziału amunicję. Nieustraszona, nie bała się śmierci. We wspomnieniach jawi się niczym polska Nike. W Forcie Bema, zanim dosięgnęła ją kula, krzyknęła w kierunku Niemców: „Noch ist Polen nicht verloren”.

Stefana Napierskiego zamordowano z racji – operując terminologią III Rzeszy – „niearyjskiego” pochodzenia?

Miłosz sugeruje, że uznano go za szpiega ekonomicznego w Nadrenii. Dla Niemców Napierski był potomkiem żydowskich kapitalistów, tłumaczem zakazanej książki „Na Zachodzie bez zmian” Ericha Marii Remarque’a. Przed 1939 r. jeździł do Niemiec, widział, w jakim niebezpiecznym kierunku podąża ojczyzna Goethego i Schillera. Słaby fizycznie i psychicznie sprawiał wrażenie „ptaka przed odlotem”. Paweł Hertz zwrócił



LIDIA SADOWSKA-MOKKAS
„SŁOWA W OGNIU. LITERACI W WARSZAWIE 1939-1945”
SKARPA WARSZAWSKA 2024

uwagę na paradoks losu. Na to, że zamęczyli go ludzie władający językiem, z którego tak pięknie tłumaczył. A w ostatecznym momencie nie przemówił do artystycznych dusz Niemców.

Relacjonuje pani perypetie związane ze zgonem i z pogrzebem tłumacza dzieł Josepha Conrada.

Tak, bo była to śmierć niezdeterminowana wojną. Aniela Zagórska zmarła na skutek wylewu, w kamienicy przy schodkach (Górnoślaska 16). W trakcie pracy nad tłumaczeniem „Złotej strzały” Josepha Conrada, krewnego ojca. W przededniu pogrzebu przyjaciele czuwali

przy trumnie. Karawan nie przyjeżdżał, bo dzielnica została obstawiona przez Niemców. Zbliżała się godzina policyjna, więc musieli się rozejść. To nie koniec, bo pochówek okazał się ceremonią „z przeszkodami”. W czasie mszy żandarmi przeszukiwali torby żałobników, a nawet, co w majestacie funeralnych okoliczności

REKLAMA



24 godziny w starożytnym Rzymie

Reportaż „na żywo” z antycznego miasta





www.wydawnictwolira.pl

zakrawało na groteskę, zaglądali do trumny. Na miejsce wiecznego spoczynku tłumaczkę odprowadziła kuzynka. Pozostali żałobnicy musieli się rozejść. Po mieście nieustannie krążyły patrole.

Książka odkurza zapomniane figury, dajmy na to Alfreda Rogalskiego, Ritę Rey, Alicję Iwańską...

Książka jest panoramą życia literackiego. Bohaterowie (pierwszoplanowi i drugoplanowi) pozostają w relacjach, funkcjonują w tej samej czasoprzestrzeni. Młodzieńcy, „bacznie obserwujący świat” Alfred Rogalski, autor jednej książki „Daleka północ”, stanowi osobowościowe odkrycie Zofii Nałkowskiej, u której bywał na „wtorkach” i która przeciera mu pisarskie ścieżki. Rita (baronowa Zofia Schenk), pisarka i dziennikarka, organizowała spotkania literackie w kamienicy przy Marszałkowskiej 56. W eleganckim salonie pojawiali się pisarze starszej generacji, a także młodszy. Alicja Iwańska, poetka i socjolożka, nieco starsza od „dwudziestoletnich poetów Warszawy”, była żoną poety i filozofa, Jana Gralewskiego, który zginął w katastrofie gibraltarskiej. Pięknym dokumentem czasu są nasycone subtelnym liryzmem listy-eseje, które do siebie pisali w okresie od 1940 do 1943 r.

Awersja, eufemistycznie mówiąc, Czesława Miłosza do pisarzy ze „Sztuki i Narodu” miała wyłącznie podłoże światopoglądowe?

Miłosz nie przepadał za Andrzejem Trzebińskim – człowiekiem, lecz po latach docenił w nim diarystę. Przyczyną była rezerwa, którą żywił do „dziarskich chłopaków” z kręgu „SiN”, ale również Anna Woroncow, z którą autor „Trzech zim” nawiązał intymną relację przed wojną. Myślę, że to ludzkie, bo chociaż uczucia wygasły, to nie lubimy dzielić się miłosnymi trofeami.

Nasz literacki noblista z roku 1980 za postawę okupacyjną doczekał się – wraz ze Stanisławem Dygatem – złośliwej oceny Janusza Minkiewicza („Satyra na Czesia i Stasia”). Zaskoczenie?

Na żartobliwą frazkę obaj nieco „zaślezyli”. Dygat urodził się w Warszawie jako obywatel francuski i formalnie, do 33. roku życia, posługiwał się dokumentami kraju nad Sekwaną. To dzięki nim znalazł się w obozie dla internowanych cudzoziemców w Konstancji. Miłosz po-

Zofia Nałkowska prowadziła z siostrą papierosową trafikę. Maria Dąbrowska otrzymała fikcyjne zatrudnienie w Społem

siadał litewskie dokumenty ze zdjęciem, ale jako pracownik Biblioteki UW musiał mieć, jak sądzę, legalne „papiery” Generalnego Gubernatorstwa.

Generację pisarskich debiutantów z lat wojny cementował sport?

Do integrujących wydarzeń piłkarskich należał pamiętny mecz pomiędzy „Dźwigarami” a „SiN” w lipcu 1944 r. we wsi Zgorzała. Zwyciężył pierwszy zespół, ale bezkonkurencyjnym zawodnikiem okazał się „SiN-owiec” Wojciech Mencil, sylwetką przypominający greckiego dyskobola.

Co stanowiło źródło utrzymania ludzi pióra w wojennej Warszawie?

Na początku okupacji źródłem dochodu stał się handel książkami. Interes mało intratny, dlatego co zaradniejsi przerzucali się na inne „dobra”. Nałkowska razem z siostrą Hanną prowadziły przy ul. Podchorążych papierosową trafikę, która zapewniała egzystencję im obu oraz matce. Maria Dąbrowska otrzymała fikcyjne zatrudnienie w Społem. Miłosz po powrocie do Warszawy pracował (razem z Dygatem) przy wydobywaniu książek francuskich pod auspicjami biblioteki UW, kierowanej przez Niemca. Iwaskiewicz formalnie był członkiem Związku Ogrodniczego Generalnej Guberni Działu Warzywnictwa Okręgu Warszawskiego. Stanisław Rembek, niemal codziennie kursujący na trasie Grodzisk – Warszawa, handlował wódką i udzielał korepetycji. Młodszy szklili okna, jeździli rikszami, pracowali na kolei. Andrzej Trzebiński był traczem. Mencil ze szwagrem, Maciejem Kononowiczem, nocami pilnowali składu węglowego.

Gdzie wydawano i jak rozprowadzono ich publikacje?

W podziemnych oficynach, np. Bibliotece „Sztuki i Narodu”. Pierwsza okupa-

cyna książka, zbiorek „Wiersze” Czesława Miłosza, została wydana własnym sumptem. Ukazała się w sierpniu 1940 r. pod pseudonimem Jan Syruć i ze sfałszowaną adnotacją „Biblioteka rękopisów, wydawnictwa Brzask, Lwów 1939”.

Zmiana zapatrywań pisarzy w kontekście sytuacji frontowej rzucała się w oczy?

Wydarzenia na froncie rodziły obawy, a także nadzieje. A atmosferę, radości lub smutku, natychmiast podchwytowała warszawska ulica oraz tramwaj – społeczeństwo w miniaturze, symbolicznie „miasto w mieście”.

Jak literaci odnaleźli się w mieście ruin, nad którym powiewały czerwone chorągwie z sierpem i młotem?

Nie miały gdzie powiewać w mieście ruin, przypominającym Herkulanum i Pompeje. Wielu bohaterów nie przeżyło hekatombi. Nie poznało smaku „wolności”. Ci ocaleni z wojennej pożogi, pełni obaw spodziewali się, że kraj utonie w morzu sowieckości, a najbardziej sceptyczni przewidywali, że Polska stanie się republiką Związku Sowieckiego. Z jednej strony radość z faktu przeżycia. Z drugiej niepokój, jak potoczy się egzystencja w zmienionych realiach geopolitycznych. A nade wszystko dojmujące poczucie straty: osób bliskich, dorobku pisarskiego, majątku. Dla większości (poza Dąbrowską, która powróci do mieszkania przy Polnej 40) – poczucie bezdomności. Świadomość, że trzeba wyruszyć budować życie gdzie indziej. Migrować, a niekiedy, jak w przypadku Goetla, ukrywać się i posługując się fałszywymi dokumentami, ratować ucieczką za granicę. To złożone procesy, dramatyczne wybory. Podróż niejednokrotnie wyłącznie w jedną stronę. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Lidia Sadkowska-Mokkas

– absolwentka filologii polskiej UŚ i dziennikarstwa UW, przewodniczka po Warszawie. Autorka książek „Przystanek Warszawa. Subiektywny przewodnik literacki”, „Warszawa skamandrytów”, „Konwicki. Cudzoziemiec tranzytowy”, „Dygat Pan” i najnowszej – „Słowa w ogniu. Literaci w Warszawie 1939–1945”.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Wyrokowiec”

Zyciorys co najmniej filmowy, choć bohater prawie nieznany. Franciszek Cieślak „Franek”, „Wilczur” zasługuje na uwagę szczególną. Urodzony w 1920 r. działał m.in. w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży. Jego starsi bracia byli zawodowymi podoficerami WP. On zaś w 1939 r. zapisał się na kontrowersyjną listę „żywych torped”.

W wojnie obronnej był ochotnikiem, walczył m.in. w obronie Modlina, skąd trafił do niemieckiej niewoli. Po ucieczce w 1942 r. ukrywał się w swych stronach rodzinnych. Szybko trafił do konspiracji AK, a jako doskonały strzelec otrzymał przydział do sekcji likwidacyjnej.

Po 1945 r. pozostał w konspiracji, służąc w strukturach Ruchu Oporu Armii Krajowej, w oddziale legendarnego por. Wacława Grabowskiego „Puszczyka”. Stamtąd zaś, z chęci dalszej walei z komunistami, trafił do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Jego oddział został rozbity przez UB w listopadzie 1946 r. Był ciężko ranny, został znaleziony na polu walki.

Wyrokiem sądu wojskowego został skazany na karę śmierci i „utrata praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze”, z zamianą na 15 lat więzienia. Pod koniec 1956 r. został zwolniony warunkowo. Ostatni żołnierz z jego oddziału poległ 5 lipca 1953 r. w miejscowości Niedziałki. „Wilczur” powrócił do konspiracji, wyszukując nie-

ujawnionych żołnierzy NZW. Utworzył oddział zbrojny w okolicach wsi Głuźek koło Mławy. W czerwcu 1957 r. po akcji na posterunek MO, w wyniku gadulstwa jednego z żołnierzy, grupa została rozbita, a Franciszek Cieślak został aresztowany i skazany na karę pięciu lat więzienia – wyrok odsiedział w całości. Latem 1962 r. został przymusowo zesłany do Gdańska. Tam w sąsiadującej z hotelem robotniczym jednostce KBW zorganizował konspirację w systemie trójkowym w celu dalszej walki z komunistami.

We wrześniu 1965 r. został aresztowany po raz trzeci i skazany przez sąd wojewódzki w Gdańsku na karę 12 lat więzienia. Został oskarżony (wraz z podległymi mu konspiratorami) o „założenie nielegalnego związku, mającego na celu działalność antypaństwową, polegającą na planowaniu gwałtownych zamachów na działaczy partyjnych, wysłaniu do nich listów z pogróżkami oraz werbowaniu do tego związku innych osób”. Na skutek długotrwałych zabiegów mec. Władysława Siły-Nowickiego i interwencji ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego, z powodu utraty zdrowia, w kolejnych śledztwach jako całkowity inwalida został zwolniony w maju 1972 r.

Łącznie przesiedział w więzieniach Polski Ludowej za walkę o suwerenność i niepodległość Polski 21 lat i sześć miesięcy! ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Książę Henryk z Brodą

Na początku XIII w. Śląsk był najbardziej zniszczoną dzielnicą Polski. Od czasów Bolesława Krzywoustego pustoszyły go wyprawy niemieckie, regularnie niszczyły Śląsk najazdy Czechów. Dzieła zniszczenia dokonały wojny pomiędzy Piastami. Kraina wyludniła się, na miejscu wielu dawnych osiedli ponownie pojawiła się puszcz.

8 grudnia 1201 r. władzę w księstwie wrocławskim objął Henryk zwany Brodatym. Szybko zrozumiał, że do skutecznych rządów potrzebne są pieniądze, a jeżeli skarbu władcy nie mogły napędzić zwycięskie wojny, to należało dbać o rozwój gospodarczy kraju.

Książę musiał zasiedlić puszcze i nieużytki, ale na nowych zasadach. Potrzebował sprawnie funkcjonujących osad rolniczych i rzemieślniczych, których mieszkańcy mogliby płacić podatki w pieniądzu. W Polsce nie było jednak wystarczającej liczby osadników, mieszkańcy naszego kraju nie posiadali również odpowiedniej wiedzy o nowych metodach gospodarowania. W tej sytuacji osadników należało poszukać za zachodnią granicą.

Akcja Henryka trafiła na dobre czasy. Średniowieczne metody uprawy roli spowodowały, że Europę zamieszkiwała zbyt duża liczba ludności, co groziło klęskami głodu. W tej sytuacji rodzinne strony opuszczali ludzie młodzi i energiczni, dla których zapro-

szenie wrocławskiego księcia było okazją do znalezienia lepszych warunków życia.

Za zachodnią granicą naszego kraju szybko rozeszły się informacje o władcy, który nadawał ziemię i zapewniał długi okres zwolnienia z płacenia podatków. W kierunku Śląska ciągnęły gromady osadników pragnących osiedlić się w księstwie Henryka Brodatego. Na miejscu urzędnicy władcy kierowali ich na odpowiednie tereny.

Nowo założona wieś czy osada nie stanowiła samodzielnej organizacji, ale była wtopiona w plan zagospodarowania terenu. Na wstępie wyznaczano miejsce na targowisko, które miało zostać centralnym punktem okolicy. Handel odbywał się w wyznaczony dzień i najczęściej osada targowa otrzymywała nazwę pochodzącą od dnia tygodnia. Stąd też wzięły się w naszym kraju (nie tylko na Śląsku) miejscowości o nazwach: Środa, Wtorek czy Czwartek.

Mieszkańcy nowych osad najczęściej używali języka niemieckiego, w tym języku również prowadzono księgi sądowe i wygłaszano kazania w nowo budowanych kościołach. Osadnicy zachowywali swój język i kulturę, ale znali również mowę miejscowej ludności. Na Śląsku osiedlali się nie tylko Niemcy, wśród osadników byli Walo-nowie z (terenów obecnej Belgii) i Flamandowie (Holandia). Nie brakowało również Czechów i przybyszów z innych stron Europy. ©©

Czy świat katedr istnieje?



Katedra Notre Dame w Paryżu została w znaczący sposób zniszczona 15 kwietnia 2019 r. w wyniku pożaru, który zaczął się w godzinach wieczornych i trwał przez całą noc, niszcząc ogromną część dachu oraz charakterystyczną iglicę. Zgodnie z ustaleniami śledztwa główną przyczyną pożaru były prawdopodobnie „prace remontowe i konserwacyjne, które miały miejsce w katedrze”. Do pożaru mogło dojść na skutek zwarcia elektrycznego lub przypadkowo zapalonego papierosa, choć oficjalnie nie potwierdzono jednej, ostatecznej przyczyny. Ten wypadek, jeśli rzeczywiście nim był, stał się jednak niezwykle emblematiczny – płonąca katedrą, jeden z najśłynniejszych budynków Europy, w setkach kanałów informacyjnych na żywo oglądali widzowie na całym świecie. Dla chrześcijan dzień ten pełen był symboli: oto bowiem



Krystian Kratiuk

W jednym z polskich przekładów piosenki otwierającej musical „Notre Dame de Paris” jako refren używa się następujących słów: „Strzelistych katedr świat istnieje dalej / Od wieków co dnia, człowiek gwiazd dosięgnąć chce / Przesłanie o potędze swej i chwale / Zapisać chce dziś znów w kamieniu oraz szkłe...”. Oddają one na wiele sposobów – dosłownie i metaforycznie – reakcje świata na pożar i odbudowę katedry Notre Dame

rozpoczął się właśnie Wielki Tydzień, w którym wspomina się mękę i śmierć Chrystusa, a Notre Dame była przecież nie pierwszą, nie drugą i nie dziesiątą katolicką świątynią, która spłonęła we Francji w ostatnich latach. A jak się potem okazało – również nie ostatnią.

Tego dnia odsłoniło się przed nami dość zaskakujące oblicze Francji, znów na pewien czas zjednoczonej wokół katedry. Nad możliwą utratą zabytku załamywali ręce politycy wszystkich ugrupowań, prezydent Macron natychmiast zapowiedział szybką odbudowę świątyni, architekci zacierali



Dopóki katedra Najświętszej Maryi Panny w Paryżu nie zostanie otwarta 8 grudnia (w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny), dopóty nie możemy być pewni, w jakim dokładnie kształcie ją odbudowano FOT. ADOBE STOCK

– pięć lat po pożarze badacze dokonali spektakularnych odkryć: odnaleziono kilka pozostałości po budynkach, które stały tam jeszcze przed budową katedry, m.in. podłogi starożytnej rezydencji pochodzącej już z I w., ślady średniowiecznej zabudowy i budowli z czasów karolińskich z IX w., lektorium – rzeźbioną ścianę – z XIII w. Naukowcy chwalą się też bardzo prawdopodobnym odnalezieniem szczątków poety Joachima du Bellaya, który zmarł w 1560 r. i został pochowany w katedrze. Wiemy też, że dotychczas grubość sklepień katedry Notre Dame była znana jedynie w przybliżeniu. Ostatnie pomiary ujawniły jednak, że ich czasze, rozpięte na szerokości 12–13 m, mają zaledwie 15 cm grubości i są najcieńsze spośród wszystkich znanych gotyckich sklepień katedr we Francji.

Ale ten sam uniemożliwiający kolejne badania upór Macrona mógł sprawić, że – przynajmniej według zapowiedzi – świątynię odbudowano zgodnie z w miarę tradycyjnym planem. A przecież pomysły były różne – od absurdalnej idei uczynienia z katedry centrum dialogu religijnego do przeszklenia jej dachu w stylu współczesnych drapaczy chmur. Wielu czytelnikom może wydać się to kuriozalne, ale trzeba przypomnieć, że właścicielem katedry, tak jak większości pozostałych kościołów we Francji, nie jest Kościół, ale państwo. Które mimo swego skrajnie antychrześcijańskiego charakteru nadal chce jako jeden ze swych najważniejszych symboli traktować katolicką świątynię, zgodnie ze słowami przytoczonej na wstępie piosenki o potęgach i chwale zapisanych w kamieniu i szkłe.

SYMBOL PARYŻA I EUROPY

Katedra Notre Dame nie powstała jednak – wbrew temu samemu utworowi – ku chwale ludzi, którzy ją budowali, choć ci niewątpliwie zapisali się w historii sztuki i religii. Budynek powstawał w czasach, gdy mieszkańcy najważniejszych miast teocentrycznej Europy pragnęli ukazać potęgę Boga, oddając chwałę i cześć własnemu Jemu. Notre Dame jest arcydziełem gotyckiej architektury, które inspirowało i nadal inspirowało architektów i artystów na całym świecie. Jej budowa rozpoczęła się w 1163 r. i trwała niemal dwa stulecia. Dzięki temu stała się miejscem spotkania stylów i technik architektonicznych, które w różnych okresach zdominowały średniowieczną sztukę. Wzniesione ku niebu

Katedra Notre Dame nie powstała ku chwale ludzi, którzy ją budowali, choć ci niewątpliwie zapisali się w historii sztuki i religii.

Budynek powstawał w czasach, gdy mieszkańcy najważniejszych miast teocentrycznej Europy pragnęli ukazać potęgę Boga

smukłe wieże, imponujące łuki przyporowe, potężne rozety i misternie zdobione portale wnoszą w przestrzeń miasta niepowtarzalny, nieziemski wręcz majestat.

Najbardziej charakterystyczne elementy katedry – witraże, gargulce i rozbudowany system łuków przyporowych – stały się symbolami gotyku, a sama Notre Dame wzorcem dla innych budowli sakralnych w Europie. Rozety katedry, zwłaszcza ta na fasadzie zachodniej, są jednym z najwybitniejszych przykładów średniowiecznej sztuki witrażowej, a w dobie globalizacji rozpoznawane są pod każdą szerokością geograficzną.

W czasach katedr, jak pięknie mówi się o średniowieczu, Notre Dame odgrywała kluczową rolę w najważniejszych wydarzeniach w historii Francji. Po rewolucji antyfrancuskiej katedra, jak wiele innych symboli katolickich, została zbezczeszczone i ograbiona, ale mimo tego to właśnie tam w 1804 r. zechciał się koronować – i uczynił to własnoręcznie – cesarz Napoleon Bonaparte.

OŻYWCZE TCHNIENIE HUGO

Po antychrześcijańskiej jakobińskiej rewolucji katedra popadła w ruinę aż do czasu, gdy popularność powieści „Katedra Marii Panny w Paryżu” Victora Hugo wzbudziła w społeczeństwie francuskim potrzebę ochrony tego narodowego skarbu. Dzięki tej inspiracji oraz wysiłkom architekta Viollet-le-Duca świątynia została odrestaurowana. A powieść Hugo, popierającego jednak idee rewolucyjne, ale zakochanego w katolickiej sztuce architektonicznej, stała się jedną z najpopularniejszych książek w historii kraju i Europy

ręce, licząc na to, że będą mogli wnieść swój „nowoczesny” wkład w to niesamowite dzieło sztuki, a francuscy katolicy (okazało się wówczas, że jest ich tam jeszcze trochę), obserwując dym nad Sekwaną, modlili się na różańcach, co zostało uwiecznione na przejmujących fotografiach.

Wydawać by się mogło, że we Francji całość dziedzictwa chrześcijańskiego została już zapomniana, a nawet że jest programowo, systematycznie niszczone. Z katedrą Notre Dame było jednak inaczej. Macron uparł się, że odbuduje ją w pięć lat, by przejść do historii jako ten, który dokonał tego wiekopomnego dzieła – początkowo wydawało się bowiem, że odbudowa może potrwać nawet ponad dekadę. Dziś, gdy Paryż szykuje się do nowego otwarcia katedry, wiadomo już, że przez ten upór prezydenta nie można było w pełni skorzystać z epokowej szansy na precyzyjne przebadanie świątyni. A było czego szukać

– wielokrotnie przenoszona na deski teatru, ekrany kinowe, sceny musicalowe. Disney opowiedział na jej podstawie słynną rysunkową historię „Dzwonnika z Notre Dame”.

Victor Hugo dostrzegał i jak mało kto doceniał potęgę katedr. O tej paryskiej pisał m.in., że pozostaje „ogromną księgą kamienną, wspaniałą i uroczystą. Każda ściana, każde wejście, każdy filar to kartka, każde zamknięcie arkady i kapitel to słowo”. Gdzie indziej znów czytamy jego opinię, że „ona jest latarnią Paryża... Wznosi się tam, ogromna i samotna, gdy zapada zmrok jeszcze bardziej majestatyczna i tajemnicza”. Pisał, że „Notre Dame ma sobie coś przejmującego, potężnego, co kazało duszy unosić się”.

Mimo że pisząc te słowa, nie uważał się już za katolika, doskonale zdawał sobie sprawę z wkładu krytykowanego przezeń Kościoła katolickiego w budowę cywilizacji, która na jego oczach zaczynała upadać. Jak większość wykształconych ludzi zdawał sobie zatem sprawę, czym w rzeczywistości były (a gdzieś tam gdzie w jakimś stopniu nadal są) katedry.

ZAPOMNIANE GIGANTY

Wyobraźmy sobie bowiem człowieka podróżującego po Europie przed epoką gwałtownej industrializacji. Za każdym razem, gdy zbliżał się do miasta, pierwsze, co rzucało mu się w oczy, już z daleka, to monumentalna wieża gigantycznej katedry. Dziś, gdy centra miast otoczone są już wieżowcami i innymi wysokimi budynkami, powidoki tamtego stanu rzeczy dostrzegamy jeszcze, jeżdżąc drogami regionalnymi, zbliżając się do mniejszych miejscowości.

W średniowieczu katedry były sercem życia religijnego i kulturowego. Wyznaczały centralny punkt każdego większego miasta, symbolizując potęgę Boga oraz siłę Kościoła, który nie tylko kształtował duchowość społeczeństw, lecz także wywierał wpływ na każdą sferę ich życia. Choć powstawały w celach stricte religijnych, to pełniły funkcję również w innych wymiarach – w ówczesnych społeczeństwach przecież nierozdzielanych tak jak dziś, w odziedziczonej po skąpanej we krwi Francji dobie „laickiego państwa”.

Wymiar polityczny istnienia katedr to rzecz jasna organizacja w nich i wokół nich ważnych wydarzeń społecznych, koronacji,

ślubów królewskich oraz pogrzebów. Katedry stanowiły symbole potęgi i stabilności kraju i chrześcijańskiej Europy, będąc wyraźną manifestacją siły wiary katolickiej oraz jedności kontynentu. Pamiętajmy – Europa była jednak rozdrobniona na mniejsze państwa i księstwa, a katedry pozostawały wspólnym mianownikiem tożsamości chrześcijańskiej i przypominały o wspólnych wartościach.

Wymiar kulturowy i społeczny katedr zawierał się m.in. w organizowanych przy nich ośrodkach nauki i sztuki. Przy wielu z nich funkcjonowały szkoły katedralne, które uważane są za protoplastów dzisiejszych uniwersytetów. Były też miejscem, gdzie rozwijały się liczne formy artystycznego wyrazu, takie jak rzeźba, malarstwo, muzyka chóralna czy architektura. Katedry przyciągały artystów, rzemieślników i budowniczych z całego kontynentu, przez co stawały się także miejscem wymiany wiedzy i tradycji między różnymi regionami.

BIBLIA PAUPERUM

Najbardziej oczywisty pozostaje naturalnie wymiar religijny tych budowli. Katedry pełniły funkcję najważniejszych świątyń diecezji (tak formalnie jest do dziś), w których rezydowali biskupi, duchowi przywódcy danej społeczności. Każdy aspekt architektury katedry – od strzelistych wież po majestatyczne sklepienia i kolorowe witraże – miał na celu wzbudzenie w wiernych poczucia pokory wobec wielkości Boga. Gdy ogromna większość społeczeństwa była analfabeta, katedry spełniały także funkcję „Biblii dla ubogich”. Freski, rzeźby i witraże przedstawiały sceny biblijne i postacie świętych, co pozwalało ludowi lepiej poznawać historię zbawienia.

Profesor Jacek Kowalski nazywa katedry „encyklopediami chrześcijaństwa” – zawierają wszak symboliczne przedstawienia istot, postaci i scen, które nawiązywały do znanych dzieł chrześcijańskich uczonych. Figury zwierząt, ludzi, roślin oraz alegoryczne sceny ukazywały chrześcijańskie wyobrażenia wszechświata, a ich rozplanowanie odpowiadało ówczesnym naukowym i moralnym hierarchiom. Były to nie tylko ozdoby, lecz także symbole cnót, wad, elementów natury oraz ludzkich zajęć i zmiennych pór roku, które stanowiły fundament dla duchowego i codziennego życia. Tematy na fasadach katedr były

uporządkowane według kalendarza liturgicznego, a szczególne miejsce zajmowały wizerunki Chrystusa, Maryi i świętych.

ZABYTEK CZY DOM BOGA?

Gotycka architektura połączyła piękno z prawdą, zachwycając do dziś precyzją i głębią symboli, które wciąż inspirują kolejne pokolenia. Dlatego właśnie pięć lat temu tak wielu ludzi – również ateistów i obojętnych religijnie – płakało nad płonąącą Notre Dame, zawodząc szczególnie głośno, gdy w dół runęła potężna iglica. Podobno gdyby uderzyła o metr dalej, trafiłaby w zebro jarzmo, ściany boczne zawałyłyby się w tym miejscu, a w konsekwencji cała katedra złożyłaby się jak domek z kart. Ktoś powiedziałby, że to szczęśliwy traf, kto inny zaś powie, że działanie Boga. Jakby chciał powiadzieć Francji i Europie, że wbrew pozorom jeszcze nie wszystko stracone.

Katolicy ze zgrozą obserwowali pożar świątyni, ale mogli odczuć działanie Bożej opatrności również wtedy, gdy zobaczyli pierwsze zdjęcia z wnętrza zrujnowanej katedry. Oto z ciemności i zgłiszcz przebiegał obraz wielkiego złotego krzyża, nienaruszonego, stojącego wciąż w tym samym miejscu co przed pożarem i zawaleniem się dachu. „Stat crux!” – zakrzyknęli wówczas co niektórzy, przypominając łacińską dewizę zakonu kartuzów: „Krzyż stoi, podczas gdy świat się obraca” („Stat crux dum volvitur orbis”).

Stać zatem będzie nadal i katedra Najświętszej Maryi Panny w Paryżu, choć dopóki nie zostanie otwarta 8 grudnia (w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny), dopóty nie możemy być pewni, w jakim dokładnie kształcie ją odbudowano.

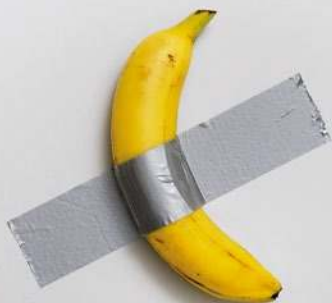
Bo czy świat gotyckich katedr w XXI w. rzeczywiście może istnieć dalej?

Czy jest może zupełnie inaczej? Tak jak chcieli twórcy musicalu opartego na historii opisaną przez Hugo, gdy refren cytowanej tu już piosenki zmienili w ostatniej strofie na brzmiały niepokojąco współcześnie: „Lecz katedr świat nie może istnieć dalej / bo pod mury miast barbarzyńców tłum się zbiegł / Nie sposób trzymać bram zamkniętych stale / Epoki tej zmierzch nastał nim się skończył wiek / ... nim dwudziesty minął wiek”.

Czas pokaże.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



BANAN ZA MILIONY

Współczesna sztuka zjada już własny ogon. Po ponad 100 latach od dnia, gdy Marcel Duchamp zaprezentował pisuar jako dzieło „Fontanna” na wystawie Społeczeństwa Zjednoczonych Artystów, włoski artysta pokazał jako dzieło banana przyklejonego taśmą do ściany. Uznano to za „buntownicze dzieło czystego geniuszu”. Okazało się, że sprawa „dzieła” ma ciąg dalszy. W domu Sotheby’s w Nowym Jorku wystawiono banana na aukcję. Cena wywoławcza (800 tys. dol.) została przebita wielokrotnie. Chiński kolekcjoner sztuki kupił banana za 6,24 mln dol. i zapowiedział, że zamierza go zjeść.

FOT. SOTHEBY'S.COM

KONIEC SPORU O CHOINKĘ

Jak informowaliśmy w poprzednim numerze „Do Rzeczy”, ekolodzy protestowali przeciw tradycyjnemu ustawieniu choinki świątecznej w Watykanie. Zbierali podpisy, by ocalić 200-letnią jodłę. Gubernator Państwa Watykańskiego odpowiedział w oświadczeniu, że drzewo, które stanie na placu św. Piotra, pochodzi z terenów przeznaczonych pod wycinkę. Ponadto uzasadnił, że wycięcie jest „odpowiedzialne z ekologicznego punktu widzenia”, ponieważ zapewni to „naturalną wymianę drzewostanu na następne dekady”.

WOJNA KŁAMSTW

Zdymisjonowano rosyjskiego generała Giennadija Anaszkin. Oficjalnie za „wprowadzenie w błąd dowództwa i dezinformację”. Dwóch rosyjskich blogerów wojennych podało jednak, że poszło o kłamstwa w sprawie rzekomo zajętych miejscowości na froncie. Wyższe dowództwo zapragnęło odwiedzić m.in. wyzwoloną już Białohoriwkę i wówczas okazało się, że niedokładnie jest tak, jak przedstawiał miał to gen. Anaszkin.

SKAZANY ZA OBŻARSTWO

W Korei Południowej sąd skazał 26-latką na rok więzienia w zawieszeniu za „celowe przybieranie na wadze”. Mężczyzna miał się objadać, by przekraczając wagę uniknąć obowiązkowej służby wojskowej. Wyrok wobec 26-latka orzeczony został w zawieszeniu (mógł dostać do 3 lat bezwzględnej więzienia), bo obiecał, że schudnie i uczciwie odbędzie służbę wojskową.

POLICJA KONTRA MATEMATYKA

W Wisconsin 10-latek zadzwonił na policyjny numer, bo nie mógł poradzić sobie z zadaniem z matematyki i nikt w rodzinie nie potrafił mu pomóc. Na infolinię poinformowano go, że w takiej sprawie nie powinien dzwonić, ale operatorka spróbowała mu pomóc. Ponieważ zadania z ułamkami okazały się także dla niej za trudne, a wieczór był spokojny, wysłała do domu malucha zastępcę szeryfa. Jemu udało się zadania rozwiązać. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Święty „Boży influencer”

Błogławiony Carlo Acutis, włoski nastolatek o polskich korzeniach (jego babcia była Polką), okrzyknięty przez media „Bożym influencerem” i „patronem Internetu”, trwale zapisze się na kartach historii jako pierwszy millennials przyjęty w poczet świętych.

Chłopak, który żarliwie głosił Chrystusa w mediach społecznościowych, promując m.in. informacje o cudach eucharystycznych, w 2015 r. zmarł na białaczkę, w wieku zaledwie 15 lat. Jego beatyfikacja miała miejsce zaledwie pięć lat później, 10 października

2020 r., w bazylice św. Franciszka w Asyżu.

W roku obecnym papież Franciszek zatwierdził cudowne uzdrowienie 21-letniej dziewczyny z Kostaryki o imieniu Valeria Valverde, przypisywane wstawieniu Carla Acutisa. Pod koniec listopada Watykan ogłosił już także dokładną datę mszy kanonizacyjnej – 27 kwietnia 2025 r., gdy w Rzymie odbywać się będzie Jubileusz Nastolatków (25–27 kwietnia).

Podczas Jubileuszowego Spotkania Młodzieży (przełom lipca i sierpnia) na ołtarze wyniesiony zostanie bł. Pier Giorgio Frassa-

ti. Zanim umarł w wieku 24 lat, dał się poznać jako społecznik, który od dziecka pomagał biednym i chorym.

Dobrze, że w czasach TikToka, Snapchata czy Instagrama Watykan daje przykłady młodych świętych. Zwłaszcza przesłanie „Bożego influencera” wydaje się nie tylko aktualne, lecz także atrakcyjne dla młodych chrześcijan. Postawa Acutisa to jasny dowód na to, że chrześcijaństwo nawet w XXI w. może prężnie się rozwijać. Media społecznościowe to zaś kolejna droga do zbawienia zarówno millennialsów, jak i nawet zetek...



Wojciech Golonka

Aktywistka, która atakowała chrześcijaństwo we Francji, przeprosiła za swoje wcześniejsze wybryki. Czas pokaże, czy doczekamy się podobnego głośnego przebudzenia w Polsce, wśród np. aktywistek spod znaku czerwonej błyskawicy

Katastrofy i zawieruchy dziejowe, a nawet, niestety, profanacje kończyły się dotychczas dla katedry Notre Dame, na szczęście, przewyciężeniem trudności i złą, poniekąd happy endem. Jest rzeczą zatem wielce symboliczną, że kilka tygodni przed uroczystym ponownym otwarciem tej świątyni, nad której pożarem płakał cały świat, była aktywistka Femen, skrajnej organizacji feministycznej, która sprofanowała katedrę w 2013 r., przeprosiła katolików za swój czyn oraz za napędzanie atmosfery nienawiści do nich w ogóle.

Jej drogą do otrzeźwienia z lewackich urojeń i do konserwatyzmu było starcie z machiną genderyzmu w obronie kobiet – tych rzeczywistych, biologicznych. Opuszczona wówczas przez dotychczasowych przyjaciół i uznana za reakcjonistkę feministyczna aktywistka pochyliła się nad skarbem swej francuskiej tożsamości, by pojąć, że jest ona nierozdzielnie związana z katolicyzmem. Choć pozostała ateistką, to chrystianizm stał się obecnie jej sojusznikiem.

BLUŹNIERSTWO

Jest poranek 12 lutego 2013 r. Cały świat żyje informacją z poprzedniego dnia o abdykacji Benedykta XVI, z kolei parlament w Paryżu ma w tym dniu przyjąć ustawę wprowadzającą we Francji „małżeństwa” gejowskie. Skrajna organizacja Femen, znana z ekshibicjonizmu swych feministycznych działaczek, zamierza uczcić te dwa wydarzenia, zaburzając właściwy katedrze Notre Dame duchowy spokój. Dziewięć działa-

Femen – przebudzenie



Refleksja nad człowiekiem i ciężącymi nad nim zagrożeniami doprowadziła Marguerite Stern do konserwatyzmu FOT. COUST LAURENT/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

czek rozbiera się w katedrze do pasa, na piersiach mają wymalowane obraźliwe i bluźniercze hasła, obliczone na światowy rozgłos, które zaczynają skandować w świętym miejscu. Biegają półnagie jak opętane, za nic mają działania strażników, którym się wyrwywają i z którymi się przepychają. Wydalone w końcu ze świątyni kontynuują przez chwilę swój obłąkany happening na tle jej gotyckiej fasady, przed mikrofonami i kamerami przybyłych tu „przypadkowo” dziennikarzy.

Pospolicci Francuzi czy zagraniczni turyści są zdegustowani tą formą agresji, jednak postępowy świat przychodzi aktywistkom z pomocą, rozgrzeszając każdy gwałt na religii katolickiej, byle był dokonany w imię błogosławieństw kolejnej rewolucji. Francuska sprawiedliwość okaże się zresztą w 100 proc. ślepa – ukarani grzywnami zostaną sami strażnicy katedry, za szamotanie się z gwałtownymi ekshibicjonistkami, które ponoć przy tej okazji miały doznać uszczerbku.

Jedną z uczestniczek tego bezbożnego cyrku jest wówczas 22-letnia Marguerite Stern (nie znalazłem potwierdzeń, czy wystąpiła wówczas naga). Nie była to jej pierwsza akcja antykatolicka – w listopadzie 2012 r., wraz z innymi aktywistkami, parodiując nagie zakonnice z welonami na głowie, blokowała sporą manifestację

organizowaną w stolicy przez Instytut Civitas przeciw zapowiadanej wprowadzeniu „małżeństw” gejowskich we Francji.

Z kolei w maju 2013 r., nazajutrz po samobójczej śmierci w Notre Dame francuskiego historyka Dominique’a Venera, związanego z nową (neopogańską) pravicą, Stern dokonała samodzielnej akcji w Notre Dame, występując półnaga przed ołtarzem, z atrapą pistoletu w buzi, z napisem na piersiach: „Niech faszyci spoczywają w piekle”. Kilka dni później trafiła na miesiąc do więzienia, ale nie we Francji, lecz w Tunezji, za obrazę obyczajowości w tamtejszym kraju.

W 2014 r. współuczestniczyła w ataku na szopkę bożonarodzeniową w Watykanie, w trakcie której jej znów półnaga koleżanka próbowała zabrać figurkę Dzieciątka Jezus z szopki, z wymalowanym hasłem: „Bóg jest kobietą”.

W 2015 r., tym razem w Maroku, z napisem „Wierzę w homoseksualizm” na piersiach całowała się publicznie półnaga z inną aktywistką, za co została wydaloną z kraju.

Nie miejsce tu wypisywać całej historii ruchu Femen, założonego na Ukrainie jako odpowiedź na przemoc seksualną wobec tamtejszych kobiet, którego założycielki następnie eksportowały ruch do Francji i sprzęgły go z praktykami francuskich anarchistów i lewicowego

feminizmu (jedna ze współzałożycielek, Oksana Szaczko, popełniła w 2018 r. samobójstwo). Sama Stern zakończyła swoją „przygodę” z Femen po trzech latach zaangażowania, w 2015 r., by po kilku latach wrócić do feministycznego aktywizmu ulicznymi kolażami nagłaśniającymi zabójstwa kobiet we Francji przez ich partnerów.

EKSKOMUNIKA Z FEMINIZMU

Największy rozdzźwięk zyskała jednak swoim zaangażowaniem na rzecz biologicznych kobiet wobec aberracji genderyzmu, poczynając od kwestii rywalizacji mężczyzn z kobietami w sporcie pod pretekstem transpłciowości. Ten prosty temat spowodował jej ekskomunikę z feminizmu głównego nurtu, okazując jednocześnie pewną ideowość i niezłomność Stern. Opuszczona przez dotychczasowych przyjaciół, obrona stopniowo na celownik przyklaskujących jej kiedyś mediów i organizacji, Stern podjęła się kilkuletniej walki z transpłciowym szaleństwem. Jej napisana wspólnie z Dorą Moutot książka „Transmania”, wydana w 2024 r., okazała się bestsellerem, a jednocześnie ściągnęła na autorki nawet pogroźki dotyczące śmierci. Spotkania z autorkami były i są nadal zakłócone przez anarchistyczne bojówki – Stern z pewnością doświadczyła na własnej skórze, co oznaczają presja i krzyki jedynie słusznym sił postępu, tym razem sił genderyzmu.

Refleksja nad człowiekiem i ciężkich nad nim zagrożeń doprowadziła, paradoksalnie, tę była anarchistkę do konserwatyizmu i choć pozostaje ateistką, to widzi w katolicyzmie zbieżność poglądów z jej przemysleniami. Pod koniec października, na łamach czasopisma „Famille Chrétienne” i na YouTube, opublikowała swe przeprosiny do katolików za współudział w sianiu wobec nich atmosfery nienawiści.

Pochylenie się nad genderyzmem było zatem dla niej prawdziwym przebudzeniem. Bardzo głębokim zresztą. Od niebagatelnych zagrożeń dla kobiet i dzieci związanych z tą ideologią (w swej książce porusza ona kwestię eksperymentacji transpłciowej na dzieciach) Stern stwierdziła, że genderyzm jest zagrożeniem iście cywilizacyjnym, rujnującym różnicę między kobietą a mężczyzną, to, co nam wrodzone, i pochodną temu kulturę,

będącą naszym spoiwem społecznym. Uderza tym samym w samą naszą tożsamość, a wywodzi się z impulsów śmierci i nienawiści do samego siebie.

Co więcej, genderyzm jest częścią transhumanizmu, w którym człowiek zachowuje się jak własny stwórca, niszczy to tajemnicę życia, w której winniśmy pozostać stworzeniem. Nie wierząc w Boga, doszła zatem do wspólnych z katolikami konkluzji – człowiek nie jest i nie może być Bogiem.

Tę nienawiść do samej siebie i logikę autodestrukcji dostrzegła również w swych przeszłych działaniach. Była pochodzenia katolickiego, a zwłaszcza – jak stwierdziła – żyje w kraju, gdzie wszystko – od historii, przez architekturę, do obyczajów – było współkształtowane przez Kościół. „Odrzucić to, wkroczyć, wrzeszcząc do Notre Dame, było niszczeniem części Francji, a zatem części mnie”. Wspomniała, że mając wówczas 22 lata, była tego wszystkiego nieświadoma, zresztą kochała tę katedrę, „ale zdarza się, że się coś źle kocha” – pokorne, trzeba przyznać, wyznanie byłej płomiennej anarchistki.

Obecnie Stern określa się jako „patriotka”, gdyż odkryła i umiłowala tożsamość swej ojczyzny. Tu, znowu, przyszły jej z pomocą szaleństwa współczesności: globalizm rozpuszczający to, co narodowe, który ochoczo wykorzystuje genderyzm jako swe narzędzie, oraz masowa imigracja z krajów obcych Francji kulturowo – w jednej z niedawnych wypowiedzi Stern podkreślała, że przecież jest oczywiste, że położenie kobiety w krajach historycznie chrześcijańskich jest lepsze niż w krajach islamu, a rolą Francji nie jest wychowywać ludzi o gruntownie odmiennej obyczajowości, tylko ochrona własnego społeczeństwa. „Stałam się konserwatystką. Zrozumiałam, że trzeba bezwzględnie uratować to, co jeszcze nam pozostało. Że nie można wszystkiego stwarzać ciągle od nowa i odrzucać przeszłość pod pretekstem jej niedoskonałości. Francja jest krajem katolickim i powinna takim pozostać, a żeby tak było, muszą żyć jej obrzędy” – stwierdziła. Doprawdy dojrzała i zaskakująca w jej ostatnim wątku refleksja (na antypodach pogaństwa zachowawczego skądinąd Vennera), choć nie tak bardzo zaskakująca, jeśli wyobrazimy sobie, jaką

pustkę mogą odczuwać osoby tychże obrzędów na co dzień pozbawione.

„COŚ, CO NAS PRZERASTA”

Pod tym względem wielkim przeżyciem był dla niej udział we Mszy pogrzebowej za Philippine, młodą Francuzkę niedawno brutalnie zabłądzoną przez wypuszczonego na wolność gwałciiciela, który miał być wydany z Francji, ale w którego obronie stanęła ta sama ślepa na rzeczywistość sprawiedliwość, co ongiś w przypadku nagich aktywistek bezczeszczących pierwszą świątynię Francji. Ona, feministka, udała się zatem na pogrzeb ofiary – kobiety, której zabójstwo wstrząsnęło Francją, a tam została ujęta pięknem wersalskiej katedry, śpiewów, ceremonii i w tej atmosferze odczuła, że przynależy do wielkiej cywilizacji, obrzędy mają zaś wymiar tożsamościowy, ukorzeniając jednostkę. A ponieważ wiele z tych rytów opartych jest na katolicyzmie, nawet niewierzący powinni walczyć o ich zachowanie: „Jest coś, co nas przerasta... Górzące nami dzwonnice, wspaniałość budynków, zachwyt towarzyszący wejściu do kościoła oraz wiara wierzących. Przykro mi, że to wszystko deptałam”.

Swe przeprosiny zakończyła w nucie skruszonej na swój sposób ateistki, twierdząc, że bluźnierstwo i wyśmiewanie wierzeń powinny nadal cieszyć się we Francji ochroną prawną, ale nie czyni to jednak moralnymi jej przeszłych czynów. „Czyśm modnym jest obśmiewanie i oczernianie katolików, odmawiając im w ostateczności ludzkiego statusu z racji ich rzekomego zafocowania. W przeszłości wykorzystywałam ten klimat, aby działać w sposób niemoralny, i w dodatku ten klimat wzmacniałam. I za to szczerze przepraszam” – zakończyła swe wystąpienie.

Czas pokaże, czy doczekamy się podobnego głośnego przebudzenia w Polsce, wśród np. aktywistek spod znaku czerwonej błyskawicy, natomiast dobrze by było, aby już teraz do rodzimych sił postępu dotarło, że dla kolejnych ongiś bezbożnych lewackich działaczy we Francji katolicyzm okazuje się koniecznym do ocalenia sprzymierzeńcem. Jak mawia w tej sprawie inny zadeklarowany ateista, Michel Onfray: w czasie wojny nie strzela się do ambulansu...



Maciej Pieczyński

Paradoksalnie wojna tylko umocniła pozycję Łukaszenki w tradycyjnie pacyfistycznym społeczeństwie białoruskim

W styczniu 2025 r. na Białorusi odbędą się wybory prezydenckie. Eksperci zwracają uwagę na to, że termin wybrano bodaj najwcześniejszy z możliwych. Łukaszenka spieszy się do wyborczego zwycięstwa. Wybory odbędą się tuż po inauguracji prezydentury Donalda Trumpa. Czy Zachodu zwrócone będą więc na Waszyngton, nie na Mińsk. Biden już się Białorusią nie będzie interesować, a Trump jeszcze nie zacznie. Wciąż w wielu kręgach na Zachodzie za prawowitego prezydenta Białorusi uważana jest Swiatłana Cichanouska. Przekonujące zwycięstwo w wyborach mogłoby oznaczać ostateczną legitymizację władzy Łukaszenki. Również w oczach społeczności międzynarodowej. Szczególnie że w obecnych warunkach ma, a po objęciu rządów przez Trumpa być może będzie miał jeszcze poważniejsze problemy niż demokracja na Białorusi, na której zresztą potencjał rewolucyjny wydaje się dzisiaj znikomy.

A po co ta legitymizacja akurat na początku 2025 r., skoro nic jego władzy od wewnątrz nie zagraża? Być może po to, aby „Baćka” mógł wziąć udział w nieuchronnie zbliżających się rozmowach pokojowych. I ponownie odegrać tę samą rolę, co w puczu Prigożyna czy wcześniej, w kontekście porozumień mińskich – rolę gołąbka pokoju i mediatora zarazem.

Niedawno w Internecie pojawiło się rzekome nagranie rozmowy dyktatora z przywódcą wagnerowców. Do rozmowy miało dojść w momencie, gdy puczyści szli już na Moskwę. Z nagrania wynika, że Łukaszenka naprawdę skutecznie mediowała między Prigożynem a Kremlem. Możliwe również, że Łukaszenka chce po prostu, aby wybory odbyły się zimą, a nie, jak w 2020 r., latem. Chce w ten sposób – dosłownie i w przenośni – ochłodzić gorące głowy potencjalnych demonstrantów.

Nawet gdyby na Białorusi odbywały się prawdziwie wolne wybory, Alaksandr Łukaszenka mógłby je wygrać

FOT. PREZIDENT.GOV.BY



„Baćka” trzyma

Cztery lata temu Łukaszenka brutalnie spacyfikował najpoważniejsze w dziejach Białorusi protesty opozycji. Zachód, popierając jego przeciwników, popchnął go w ramiona Putina. Ale też sam Łukaszenka prosił się o taki bieg wypadków. Po pierwsze, sfałszował wybory w sposób ostateczny, przypisując sobie tak wysoką liczbę głosów, że mało kto w to uwierzył, czym tylko dolał oliwy do ognia protestów.

Po drugie, mógł przewidzieć, że krwa-wo tłumiąc pokojowe przeciw protesty, zamknie sobie drogę do prowadzenia wielowektorowej polityki zagranicznej, skazując się na pełne uzależnienie od Moskwy.

Sztucznie wykreowany kryzys migracyjny, zamiast wywołać podziały w UE i NATO, tylko umocnił antyŁukaszenkowski front zachodni. A potem nie było wyjścia – musiał udostępnić terytorium dla inwazji Rosji na Ukrainę. W samej inwazji Białoruś udziału jak dotąd nie wzięła. Być może dlatego, że Łukaszen-

ka asertywnie odmawiał Putinowi bądź po swojemu kluczył i opóźniał wejście do wojny, jak tylko mógł. Bardziej jednak prawdopodobne, że Putinowi to do niczego nie było potrzebne. Białoruś jako sojusznik, udający państwo neutralne, może się Rosji bardziej przydać niż jako rezerwuarniejszy wartościowego mięsa armatniego.

KONTRKANDYDACI TO „SŁUPY”

O przyszłorocznych wyborach już w sierpniu debatowała białoruska opozycyjna emigracja, podczas konferencji w Wilnie. Spójnej strategii nie wypracowała. Jeden z liderów, Frank Wiaczor-ka, przytoczył badania niezależnego ośrodka „Narodowy sondaż” („Narodnyj opros”) na temat stosunku zwolenników opozycji do wyborów. 27 proc. opowiedziało się za bojkotem, 17 proc. – za głosowaniem przeciwko wszystkim, 11,5 proc. – za zakłóceniem wyborów, a 15,7 proc. twierdzi, że nie trzeba nic robić. Jedno jest pewne – o prezydenturę



się mocno

nie powalczy żaden realny przeciwnik Łukaszenki. Potencjalni kandydaci muszą zebrać po minimum 100 tys. podpisów do 6 grudnia. Taką chęć, oprócz urzędującego prezydenta, zgłosiło jeszcze sześć osób: wyrzucona z opozycyjnej Zjednoczonej Partii Obywatelskiej była parlamentarzystka Hanna Kanapacka; pierwszy sekretarz Białoruskiej Partii Komunistycznej Siarhiej Syrankou; prezes zarządu Republikańskiej Partii Pracy i Sprawiedliwości Alaksandr Chizniak; lider Liberalno-Demokratycznej Partii Białorusi Aleh Hajdukiewicz; gen. rez. Siarhiej Babrykau, były rektor Akademii Wojskowej oraz płk. rez. milicji Wolha Czamadana, reprezentująca Białoruski Związek Kobiet. Dwoje ostatnich niedawno zrezygnowało ze startu, oficjalnie przekazując swoje poparcie Łukaszence. Pozostali również są przedstawicielami systemu władzy, „słupami” czy też, by użyć terminologii rosyjskiej, „kandydatami technicznymi”. Ich udział w wyborach ma być „dowodem”, że na Białorusi

panują wolność i demokracja. Nic nie wskazuje na to, by Łukaszenka wymyślił sobie już potencjalnego następcę, który zastąpiłby go na stanowisku prezydenta, gwarantując osobiste bezpieczeństwo. Rezultat wyborów jest już właściwie znany. Niewiadomą pozostaje ich dokładny wynik.

Według sondażu przeprowadzonego w październiku przez państwowe centrum analityczne EcooM 80,4 proc. Białorusinów ufa Łukaszence. Oczywiście naiwnością byłoby poważne traktowanie tego wyniku. Jednak tylko odrobinę mniej oderwane od rzeczywistości byłoby twierdzenie, jakoby „Bačka” był powszechnie znienawidzony przez

swoich poddanych. Brutalnie tłumiąc protesty w 2020 r., dyktator oddalił się co prawda od Europy i zbliżył do Rosji, ale na wewnętrznym rynku politycznym osiągnął sukces. Jego przeciwnicy albo siedzą w więzieniach, jak Babaryka czy Kalesnikawa, albo, jak Cichanouska czy Łatuszka, na emigracji, skąd mają praktycznie zerowy wpływ na sytuację w kraju. Media opozycyjne zostały też spacyfikowane – albo całkowicie zamknięte czy zablokowane, albo fizycznie wypędzone za granicę, bez możliwości rzetelnego relacjonowania tego, co dzieje się na Białorusi.

W ten siłowy sposób przestrzeń informacyjna została ostatecznie przejęta i zdominowana przez propagandowy przekaz państwowych gazet, telewizji i stacji radiowych. Przeciężni Białorusini mają mocno ograniczony dostęp do treści opozycyjnych.

Milicyjną pałką Łukaszenka skutecznie wybił z głowy opozycyjne poglądy (a przynajmniej chęć do ich otwartego wyrażania) większości spośród tych, którzy w 2020 r. wyszli przeciwko niemu na ulice. Społeczna apatia i pesymizm co do możliwości zmiany władzy tylko umocniły się po wybuchu wojny. Jednocześnie wielu działaczy opozycji zrozumiało, że z Łukaszenką wygrać można jedynie przy użyciu siły. O ile w 2020 r. 75 proc. niechętnych dyktatorowi Białorusinów opowiadało się za protestami, o tyle dwa lata później aż 88 proc. poparło zbrojne przejęcie władzy. Tak przynajmniej wynika z badań niezależnego socjologa Filipa Bikanowa. Znane są przypadki ataków dywersyjnych na rosyjską infrastrukturę wojskową na Białorusi, przeprowadzonych przez powiązanych z opozycją partyzantów. Były też pomysły, aby stworzyć w Polsce armię emigracyjną na wzór armii Andersa. Tyle że tego typu inicjatywy nie mają na razie żadnych perspektyw powodzenia.

BEZ CHĘCI DO REWOLUCJI

Na Białorusi od dawna, a już na pewno od momentu wybuchu wojny, nie widać potencjału rewolucyjnego. Twierdzą tak nie tylko łukaszenkowscy propagandyści, lecz także niezależni czy opozycyjni eksperci. Trzeba pamiętać, że Białoruś jest sowieckim skansenem

Milicyjną pałką Łukaszenka wybił z głowy opozycyjne poglądy większości z tych, którzy protestowali w 2020 r.

z monstrualną sferą budżetową. Ci, którzy pracują dla państwa, popierać będą urzędującego prezydenta niezależnie od okoliczności. Łukaszenka jest dla nich gwarantem stabilności, a w pewnym sensie również dobrobytu.

W grudniu 2023 r. socjolog Giennadij Korszunow ocenił ten żelazny elektorat Łukaszenki na 20–25 proc. Poza pracownikami budżetówki jest jeszcze cała masa ludzi, którzy popierają socjalną politykę państwa. Według Korszunowa może to być ok. 30–35 proc. potencjalnych wyborców. Dodatkowe punkty poparcia Łukaszenka zdobył swoją... antywojenną postawą. Rządowa propaganda bardzo skutecznie przekonuje swoich odbiorców, że Białoruś w obecnym konflikcie zajmuje pozycję neutralną, sympatyzując przy tym z Rosją. 24 lutego 2022 r. trudno było optymistycznie patrzeć w przyszłość. Białorusini szykowali się na eskalację wojny i kryzys gospodarczy. Tymczasem ani jedno, ani drugie się nie wydarzyło. Łukaszenka setki, a może i tysiące razy powtarzał, że nie wyśle żołnierzy na ukraiński front. I słowa, jak dotąd, dotrzymuje.

Jeśli coś łączy Białorusinów ponad politycznymi podziałami na zwolenników „Bački” i sympatyków opozycji, to jest to nastawienie co do zasady antywojenne. Propaganda Mińska powtarza antyzachodnie i antyukraińskie frazesy kremlowskiej propagandy, ale nie zagraża swoich widzów, słuchaczy i czytelników do czynnej walki. Jak wiadomo, Rosjanie twierdzą powszechnie, że nigdy na nikogo nie napadali, a jeśli toczyli wojny, to jedynie w obronie własnej i zazwyczaj były to chirurgiczne, wyzwoleńcze „operacje specjalne”, podczas których włos cywilom z głów nie spadał. Tę narrację odziedziczyli po miłującym pokój Związku Sowieckim. Nic dziwnego, że ta propagandowa spuścizna przyjęła się również na Białorusi. W końcu sam Łukaszenka czuje się człowiekiem sowieckim i buduje państwo na wzór ZSRŚ.

Jednak o ile w ustach Putina „antywojenna” retoryka jest oczywistym fałszem bez pokrycia w rzeczywistości, o tyle białoruski pacyfizm jest szczerzy i głęboko zakorzeniony w mentalności narodowej, ukształtowanej doświadczeniem historycznym. Przyznają to zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy Łukaszenki. Wszyst-

kie wielkie wojny między Rosją a tymi czy innymi państwami Zachodu toczyły się w dużej mierze na ziemiach białoruskich, których mieszkańcy cierpieli najwięcej, ginęli najczęściej. A przy tym za każdym razem mogli z czystym sumieniem powiedzieć: „To nie nasza wojna! Giniemy nie we własnym interesie, tylko dlatego, że znaleźliśmy się w strefie zgniotu między skonfliktowanymi potęgami!”.

Stąd też trudno się dziwić, że nawet w 2020 r. liderzy protestów podkreślali, iż ich celem nie jest konfrontacja z Rosją, tylko obalenie dyktatury. I poprawne stosunki zarówno z Moskwą, jak i z Zachodem. Obywatele niewielkiego państwa, położonego między tradycyjnie zwaśnionymi obozami, nie mają ambicji współkształtowania wielkiej geopolityki. Najważniejsze jest to, żeby wojny nie było.

Wojna umocniła „Baćkę”. Białorusini zrozumieli, że mogło być gorzej – mogli zostać wysłani na front

Nawet wspieranie Putina, dokonujące inwazji na Ukrainę, nie zmieniło tego pacyfistycznego podejścia. Po 24 lutego 2022 r. niezależne pracownice badawcze kilkakrotnie pytały Białorusinów o stosunek do wojny. Za każdym razem wyniki były podobne. Mowa głównie o brytyjskim ośrodku Chatham House oraz białoruskiej pracowni Andrieja Wardamackiego. Absolutna większość (80–90 proc.) opowiada się przeciwko wysłaniu wojsk na Ukrainę. Działania Rosji nie są już tak jednoznaczne. Odsetek krytyków i entuzjastów inwazji jest podobny, ze wskazaniem na krytyków. Ponadto zarówno wśród zwolenników, jak i wśród przeciwników Łukaszenki narasta przekonanie, że obecną wojnę przegra Ukraina. Świadomość takiego ryzyka raczej nie motywuje tradycyjnie miłujących pokój Białorusinów do walki z własną władzą, w pełni przecież zależną od Moskwy.

Co kwartał opozycyjni białoruscy eksperci publikują „Białoruski Abstrakt Przemian”, czyli raport dotyczący aktualnych wydarzeń i trendów politycz-

no-społecznych. Czerwcowe wydanie dokumentu nie napawa optymizmem przeciwników Łukaszenki. „W porównaniu z sierpniem 2023 r. wzrosło zadowolenie z sytuacji w kraju” – komentuje współautor raportu, Filipp Bakanow, cytowany przez niezależne media. Realne zaufanie do władzy rośnie. Maleje natomiast zainteresowanie działaniami opozycji. Symptomatyczny przykład – według badań mniej niż jedna trzecia prodemokratycznie nastawionych Białorusinów wiedziała, że odbywały się jakieś wybory do opozycyjnej Rady Koordynacyjnej. Ponadto, według sondażu przeprowadzonego latem przez Chatham House, 34 proc. Białorusinów opowiada się za zbliżeniem z Rosją, a tylko 13 proc. – z UE. Aż 35 proc. respondentów nie potrafiło na pytanie o geopolityczne sympatie odpowiedzieć. Wyraźnie jednak widać, że w starciu o rząd białoruskich dusz Rosja kontra Zachód jest remis, ale z wyraźnym wskazaniem na Rosję.

Można zaryzykować stwierdzenie, że nawet gdyby na Białorusi odbyły się prawdziwie wolne wybory, z udziałem emigracyjnych opozycjonistów, Łukaszenka miałby spore szanse na zwycięstwo. Paradoksalnie wojna, w którą pośrednio się zaangażował, tylko umocniła jego władzę. Po pierwsze, Białorusini zrozumieli, że mogło być gorzej – mogli zostać wysłani na front. Uwierzyli, że zapobiegł temu sam Łukaszenka, przekonując Putina, iż bezpośredni udział Mińska w konflikcie jest zbędny. Po drugie, doskonale rozumieją, że w tej chwili jedyną alternatywą dla „Bački” jest wchłonięcie Białorusi przez Rosję. Czyli znowu – bezpośredni udział w wojnie. Bo nikt się nie łudzi, że Cichanouska wróci na białym koniu, wyzwoli rodaków i wprowadzi kraj świata zachodniego, który zresztą już nie jest tak kuszącą opcją jak cztery lata temu. A i wtedy przecież Białorusinom chodziło o demokrację bardziej niż o zbliżenie z Zachodem. Jeden z liderów ówczesnej opozycji, Walery Capkała, apelował wówczas do Putina o pomoc w walce z Łukaszenką... Po trzecie wreszcie, dla „Bački” na Białorusi nie ma alternatywy. Nawet gdyby Białorusini przestali się bać „ostatniego dyktatora Europy”, to nie ma nikogo, kto poprowadziłby ich do walki o władzę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ellen DeGeneres i jej „żona” Portia de Rossi postanowiły wyjechać z USA po zwycięstwie Donalda Trumpa FOT. KELLY SULLIVAN/GETTY IMAGES



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczczyńska

„Strajk seksualny”, wyjazd z USA, ścięcie włosów. Amerykańskie celebrytki w histeryczny sposób zareagowały na zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich. Europejskie feministki wyrażają solidarność

Nie ma nic potężniejszego niż kobieta, której czas nadszedł! Nie mogę się doczekać, aż Kamala Harris zostanie naszym następnym prezydentem” – zadeklarowała przed wyborami w USA Ellen DeGeneres, osobowość telewizyjna prowadząca przez lata autorski talk-show „The Ellen DeGeneres Show”. Harris prezydentem nie została, a reakcja DeGeneres i jej partnerki była szybka. „Ellen DeGeneres i Portia de Rossi pożegnały się ze Stanami Zjednoczonymi, a kluczowym czynnikiem było zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach. Zamieszkały w nowym domu w Cotswolds – regionie w południowo-zachodniej Anglii, ok. dwóch godzin od Londynu. Para wynajęła to miejsce przed wyborami, jednak i tak była rozczarowana wygraną Trumpa. Jak stwierdziło jedno ze źródeł, po wyborach postanowiły wynieść się z kraju natychmiast” – podał portal TMZ, a za nim największe światowe media. „Ellen była wśród znanych darczyńców wiceprezydent Harris, wystawiając dla niej czek na kwotę 3,3 tys. dol. Poparła również demokratkę w mediach społecznościowych po tym, jak wiceprezydent została nową kandydatką po odsunięciu na boczny tor Joe Bidena. Ellen i Portia ewidentnie są zdecydowane i nie żartują – para planuje wystawić na sprzedaż swój dom w Montecito w Kalifornii. Chociaż Ellen nie jest pierwszą gwiazdą, która groziła emigracją po zwycięstwie Trumpa, jest jedną z niewielu, która faktycznie dotrzymuje swojej obietnicy. Cześć, Ellen!!!” – podsumowano żartobliwie.

Prezenterka szybko odnalazła się w nowym celebryckim środowisku.

Ucieczka przed Trumpem

■ Była widziana w towarzystwie Idrisa Elby, znanego z roli w serialu „Luther”, podczas ekskluzywnego przyjęcia w North Oxfordshire. Tabloidy przyłapały ją też w pubie Farmers Dog prowadzonym przez Jeremy’ego Clarksona, gdzie bawiła się w gronie brytyjskich gwiazd. Kamala Harris odwiedziła show DeGeneres już w kwietniu 2018 r. (była wtedy senatorem). – Jest wielu, którzy chcieliby zobaczyć ją w roli prezydenta USA jako pierwszą kobietę w historii – zapowiedziała wtedy swojego gościa, dodając, że Harris ze swoimi politycznymi osiągnięciami już przeszła do historii. DeGeneres zapytała Harris: „Gdybyś musiała utknąć w windzie z prezydentem Trumpem, Mikiem Pence’em [ówczesny wiceprezydent USA – przyp. red.] lub Jeffem Sessionsem [były prokurator generalny – przyp. red.], kto by to był?”. Demokrat-ka odpowiedziała: „Czy ktoś z nas musi wyjść żywy?”, po czym się roześmiała. Ta wypowiedź została przypomniana we wrześniu tego roku, gdy w krótkim czasie doszło do drugiej nieudanej próby zamachu na życie Donalda Trumpa.

Wyjazd DeGeneres i jej partnerki z USA wzbudził mieszane emocje. Prezentarka brytyjskiej stacji Sky News Danica De Giorgio zażartowała z przeprowadzki. – Szokujące i smutne wieści dla... Amerykanów, którzy głosowali na Donalda Trumpa – rozpoczęła kpiąco. – Prezentarka talk-show Ellen DeGeneres i jej żona Portia de Rossi uciekły z USA i przeprowadziły się do Wielkiej Brytanii po ogłoszeniu wyniku wyborów prezydenckich. Co robi Ameryka bez Ellen DeGeneres? Tej samej kobiety oskarżonej o znęcanie się nad personelem na planie swojego programu i tworzenie toksycznej atmosfery, a także tej samej kobiety, która śmiała się z zabicia Trumpa? – pytała z ironią De Giorgio.

BEZ SEKSU

Wyemigrowanie z kraju rządzącego przez Trumpa zapowiedziała też wokalistka Barbra Streisand. W listopadzie 2023 r. powiedziała: „Nie mogę mieszkać w tym kraju, jeśli Trump zostanie prezydentem”. Dodała, że rozważa wyjazd do Anglii. Inna piosenkarka, Cher, deklarowała wyjazd zarówno przed wyborami w 2016 r., jak i 2023 r. – Ostatnim razem prawie dostałam wrzodów – powiedziała

Cher, komentując pierwszą kadencję biznesmena. – Jeśli się dostanie do Białego Domu, to kto wie? Tym razem wyjadę – powiedziała przed tegorocznym głosowaniem. Aktorka Sharon Stone poinformowała w lipcu, że rozważa kupno domu we Włoszech, jeśli zwycięży Donald Trump. – Myślę, że to mądre rozwiązanie w tej sytuacji – stwierdziła.

Aktorka Whoopi Goldberg wybrała mniej radykalną (ale trudniejszą do zweryfikowania) formę protestu przeciw prezydentowi elektowi. Dołączyła do „seksualnego strajku”, w ramach którego antytrumpowskie Amerykanki ogłosiły, że nie będą uprawiały seksu z mężczyznami. „Bez seksu. Bez randek. Bez małżeństwa. Bez dzieci” – to hasło feministycznego ruchu 4B, który został zainicjowany w 2019 r. w Korei Południowej. „Małżeństwo jest główną przyczyną patriarchy w Korei Południowej” – ogłosiła youtuberka Jung Se-young, która cieszy się dużą popularnością wśród młodych. Związek małżeński porównała do niewolnictwa, którego kaidany uda się zrzucić tylko pod warunkiem całkowitej odmowy relacji seksualnych i uczuciowych z mężczyznami. To wszystko w sytuacji, gdzie Korea Południowa jest określana mianem „demograficznego „Titanica”. Dzietność jest tam obecnie już trzykrotnie niższa niż poziom zastępowalności pokoleń, jednak feministyczne zmiany kulturowe i antynatalizm są na tyle powszechne, że nadzieje na zmianę są niewielkie.

Antytrumpistki postanowiły przeszczerpić ruch 4B na amerykańską ziemię. Przekonują, że skoro Donald Trump chce odebrać im ich „prawa reprodukcyjne” (chodzi o aborcję), to one przestaną uprawiać z mężczyznami seks. Sześćdziesięcioletnia Goldberg, współprowadząca program „The View” w stacji ABC, postanowiła włączyć się do akcji. Podczas emisji show zwróciła się bezpośrednio do mężczyzn, powtarzając przekaz ruchu 4B: – Nie dotarliście tu sami, mężczyźni.

**Antytrumpowskie
Amerykanki ogłosiły, że
nie będą uprawiały seksu
z mężczyznami**

Nie możecie tego zrobić bez nas. A jeśli wam nie pozwolimy, to nie dostaniecie nic. To takie proste – stwierdziła. Co ciekawe, dosyć szybko Goldberg zaczęła tonować nastoje. Podczas dyskusji w „The View” uspokajała inne komentarki, mówiąc, że należy poczekać na to, co realnie robi Trump. – Nic nie da się zrobić dopóty, dopóki nie wiesz, z czym walczysz. To jak sikanie pod wiatr; nie pomaga. Po prostu masz moką twarz – stwierdziła. – Recz w tym, że tracisz wiarygodność na różnych polach, jeśli nie wiesz, o czym mówisz. Dlatego mówię, że musimy poczekać i zobaczyć, co on dokładnie zamierza zrobić – dodała.

Nie wycofała się jednak z „seksualnego strajku”, o którym lewicowy przeciw „The Guardian” pisał z dużą dozą sceptycyzmu: „Czy te internetowe pogawędki faktycznie przekładają się na działania off-line? Na razie to tak nie wygląda. Nie ma żadnych dowodów na to, że w USA odbywają się strajki seksualne na dużą skalę przeciwko Trumpowi. Całe to załamywanie rąk przez gazety takie jak »New York Times« wydaje się dotyczyć czegoś, co tak naprawdę nie istnieje. Nagłówki traktujące kobiety jako pewnego rodzaju monolit zaciemniają również fakt, że według AP VoteCast 53 proc. białych kobiet głosowało w tym roku na Trumpa”.

O ile deklaracji Goldberg dotyczących „protestu seksualnego” nie da się zweryfikować, o tyle zapowiedź, że nie ma zamiaru wypowiadać nazwiska Trumpa, mówiąc per „on”, już łatwiej. – Harris była wszędzie, rozmawiała ze wszystkimi, a ludzie nie zagłosowali – nie wiem dlaczego. On jest prezydentem – podsumowała czarnoskóra gwiazda wyniki wyborów w USA na wizji.

Amerykańskie przeciwniczki republikańczy nie odpuszczają. Dwa dni przed inauguracją jego drugiej prezydenckiej kadencji, która zaplanowana jest na 20 stycznia, w stolicy USA odbędzie się „Marsz Ludu”. Manifestacja ma stanowić wyraz wsparcia dla praw kobiet, imigrantów, osób LGBTQ oraz mniejszości etnicznych i religijnych, które rzekomo atakuje Trump. – Maszerujemy, aby kontynuować walkę o naszą wolność, nasze rodziny, naszą przyszłość i aby podkreślić, że w obliczu rosnącego autorytaryzmu nie poddamy się przed czasem – po-

wiedziała dziennikarzom Rachel O'Leary Carmona, działaczka Marszu Kobiet.

ŁYSY PROTEST

Na wyższy poziom absurdu sprawę politycznego sprzeciwu wobec Trumpa wniosły jego przeciwniczki skupione na platformie TikTok. – Właśnie się obudziłam z poczuciem ożywienia. A wy tak się czujecie? Bo ja tak. Nie wiem, jak tego używać, zobaczmy – mówi ok. 40-letnia kobieta, trzymając w dłoniach maszynkę do golenia. – Daję sobie spokój z Ameryką. Dałam sobie też spokój z farbowaniem włosów. Je..ć farbowanie włosów, je..ć zapuszczanie włosów. Je..ć bycie szczupłą i atrakcyjną. Je..ć bycie tym wszystkim, czym były patriarchy chce, żebyśmy były. Bo jest jasne, że mają nas gdzieś – grzmi.

Ma pretensje do wszystkich, którzy oddali głos na biznesmena. – Mówię też do was, panie, które macie w sobie zinternalizowaną mizoginię. Do mniejszości, które tak bardzo boją się kobiet u władzy, że wolicie przytulić się do białego mężczyzny, na wypadek gdyby jakieś okruszki spadły z jego talerza – mówi z pretensją, zamieniając w końcu maszynkę na zwykłe nożyczki i tnąc niedbale włosy.

Inna z użytkowniczek opublikowała sugestywne nagranie, na którym trzyma z dumą kota („kocie mamy” stały się w kampanii obiektem krytyki ze strony Trumpa i jego współpracowników), z podpisem: „Wykonując swoją robotę jako Amerykanka, zerwałam ostatniego wieczoru z moim chłopakiem popierającym republikanów, a dziś rano oficjalnie dołączyłam do ruchu 4B”. Wideo opublikowała dzień po wyborach prezydenckich. Wśród setek antytrumpowskich filmów można znaleźć ten, na którym młoda dziewczyna chwali się treningiem na siłowni. „Pracuję nad wymarzonym ciałem, którego przez następne cztery lata nie dotknie żaden mężczyzna”.

Histeria amerykańskich feministek udzieliła się niektórym Europejkom. Pewna Francuzka opublikowała w sieci „instrukcję” dla tych „uciśnionych” koleżanek, które chciałyby wyemigrować z USA. – Podaję wszystkie informacje dotyczące uzyskania prawa do pobytu oraz wizy długoterminowej [...]. Mówię bardzo poważnie. Jesteście tutaj mile widziane. Nie jest to najlepszy kraj na świecie, ale o wiele lepszy niż USA pod

Być może rozwiązaniem jest wsadzenie wszystkich przerażonych wizją prezydentury Donalda Trumpa na statek i wysłanie w długi rejs dookoła świata

rządami Donalda Trumpa. Jeśli zdecydujesz się przyjechać do Francji, to odezwij się – zachęca. Głosy poparcia płyną z Niemiec, Hiszpanii czy Holandii. Z kolei do kobiet ścinających włosy dołączyła polska prezenterka Monika Richardson. „W proteście przeciw wynikowi wyborów w USA... Chyba pójdzie na całość” – taką relację na Instagramie opublikowała fryzjerka celebrytki.

Być może rozwiązaniem jest wsadzenie wszystkich przerażonych wizją prezydentury Donalda Trumpa na statek i wysłanie w długi rejs dookoła świata. Na taki pomysł wpadła firma Villa Vie Residences, oferująca najem długoterminowy luksusowych apartamentów na statku. Cztery lata, czyli cały okres rządów biznesmena, za w sumie 160 tys. dol. W tym czasie rezydenci wycieczkowca mieliby przybić do 425 portów w 140 krajach, unikając życia w kraju tego „faszysty”. Ofertę podzielono na pakiety roczne, dwuletnie, trzyletnie i czteroletnie. Pakiet jednoroczny nazywa się „Escape From Reality” („ucieczka od rzeczywistości”), ten trwający dwa lata – „Mid-term Selection” (w nawiązaniu do wyborów śródkresowych „mid-term elections”, które odbędą się w 2026 r.). Pakiet trzyletni to „Anywhere but Home” („Wszędzie, tylko nie w domu), a czteroletni „Skip Forward” („Przeviń do przodu”). Podróż obejmuje przystanki na Karaibach, w Ameryce Południowej i rejs wokół Antarktydy.

Dyrektor generalny Villa Vie, Mikael Petterson, powiedział agencji informacyjnej WFLA, że firma przygotowała program przed ogłoszeniem wyników wyborów prezydenckich. Jednak pakiet rejsowy może być dobrą opcją dla tych, którzy nie byli zadowoleni z rozstrzygnięcia. – Uważamy, że mamy idealny produkt dla tych, którzy powiedzieli, iż opuszczają

kraj, jeśli XYZ wygra wybory – powiedział. – Mieliśmy dwie grupy oglądające partie wyborcze na pokładzie, gdzie połowa społeczności oglądała Fox News na jednym końcu statku, a druga połowa oglądała MSNBC na drugim. Możemy mieć różne poglądy polityczne, ale nasza społeczność jednoczy się dzięki pasji do eksplorowania świata w bardzo realny sposób, który wykracza daleko poza politykę – przekonuje Petterson. Jak opisywało CNBC, „coraz większa liczba zamożnych Amerykanów planuje opuścić kraj”.

Straszenie Donaldem Trumpem to także domena europejskich mediów. „To, że Trump opowiada się za tym, by kobiety były na »swoim miejscu«, stało się jeszcze bardziej oczywiste w ciągu ośmiu lat od 2016 r. Prezydent elekt opowiada się za pozabawieniem kobiet praw, w tym do autonomii ciała i opieki zdrowotnej” – przekonuje brytyjski magazyn „Prospect”.

„Ewentualna wygrana Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA może wpłynąć na prawa reprodukcyjne kobiet i doprowadzić do ograniczeń w dostępie do aborcji na całym świecie” – ostrzegała w maju „Gazeta Wyborcza”.

Brytyjsko-amerykański „The Week” stworzył nawet listę pt. „89 rzeczy o kobietach, które powiedział Donald Trump”. Opisano tam bardziej i mniej wybredne komentarze czynione na przestrzeni lat pod adresem Kamali Harris, Hillary Clinton, Briggitt Macron, ruchu #MeToo czy kobiet jako takich. Nie trzeba dodawać, że niemal wszystkie cytaty ukazują Trumpa jako mizogina traktującego panie z góry.

Co ciekawe, cała feministyczno-liberalna kampania wymierzona w polityka nie okazała się w pełni skuteczna. Na Trumpa zagłosowało 55 proc. mężczyzn i 45 proc. kobiet. Jednak w przypadku białych kobiet zwyciężył republikanin. „Wysokie Obcasy” próbują przekonywać, że to z powodu ich łatowierności. „Na Trumpa głosują przede wszystkim niewykształcone, białe kobiety z przedmieść, zdecydowanie mniej zamożne. Słuchają Trumpa, gdy obiecuje, że ceny spadną i ich sytuacja materialna się poprawi. To właśnie bieda często sprawia, że wyborcy przysmakują oko na oczywiste wady Trumpa i na afery, w które był wplątany” – wyjaśnia Edyta Bryła.



Make Volkswagen Great

Po raz ostatni na temat umowy między Unią Europejską a grupą Mercosur głośno było przed pięcioma laty. Żegnający się wówczas ze stanowiskiem przewodniczącego Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker zdołał jeszcze doprowadzić do osiągnięcia porozumienia, które okrzyknięto „największą umową o wolnym handlu w historii”. Fakt ten celebrowano ze szczególną satysfakcją, ponieważ Europa znajdowała się w samym środku wielkiego sporu z Donaldem Trumpem, który nie tylko zawiesił rozmowy na temat umowy handlowej TTIP [Transatlantyczne Partnerstwo w dziedzinie Handlu i Inwestycji – przyp. red.] między UE a USA, lecz także wprowadził rekordowe cła w wymianie transatlantycznej.

Historyczna umowa czekała już tylko na ratyfikowanie przez Parlament Europejski, lecz w październiku 2020 r. przyjęto w nim specjalną rezolucję stwierdzającą, że umowa nie może zostać przyjęta w pierwotnym kształcie, dlatego konieczne było podjęcie dal-



Jakub Wozinski

Forsując umowę handlową między Unią Europejską a krajami grupy Mercosur, Niemcy wraz z grupą sojuszników chcą uratować swój przemysł kosztem europejskich rolników. W oczekiwaniu na objęcie urzędu przez Donalda Trumpa przywódcy unijni chcą rzutem na taśmę zabezpieczyć sobie wielki, liczący ok. 800 mln mieszkańców rynek zbytu. Gdyby ta sztuka im się powiodła, mogliby sobie osłodzić przyszłe trudy związane z nadciągającą wojną handlową

szych negocjacji. Te zaś od początku były bardzo trudne i skomplikowane, a jeszcze w 2019 r. Emmanuel Macron miał zagrozić brazylijskiemu prezydentowi Jairowi Bolsonaro, że jeśli wystąpi z paryskiego porozumienia klimatycznego, to cała umowa zostanie całkowicie zerwana.

Po kilku latach rozmowy na temat umowy handlowej znów weszły w fazę

decydującą, ponieważ po wyborach do europarlamentu zapewniono już większość potrzebną do ratyfikowania umowy. Europejska Partia Ludowa (w której skład wchodzi Koalicja Obywatelska), od początku będąca głównym rzecznikiem doprowadzenia umowy z krajami Mercosur do skutku, zwiększyła nawet nieznacznie liczbę mandatów. Głównymi



Again

FOT. ALOPHE-STICK

czynnikami mobilizującymi do przyspieszenia prac są jednak oczywiście wizja nadciągającej wojny z Donaldem Trumpem oraz spodziewany w związku z tym wzrost poparcia dla „populistów” w innych krajach. Po kolejnych wyborach do unijnego parlamentu ratyfikowanie umowy może być już zwyczajnie niemożliwe.

FRANCUZI NA CZELE BUNTU

Wizja ewentualnego szybkiego wprowadzenia w życie porozumienia z krajami Ameryki Południowej wywołała w całej Europie falę protestów. Najbardziej dały one o sobie znać we Francji, która jest największym producentem żywności w całej Unii Europejskiej (ok. 17 proc. wartości całej produkcji we wspólnocie) i dla której utworzono pierwotnie dopłaty rolnicze. Emmanuel Macron wybrał się nawet przy okazji szczytu państw grupy G20 w Brazylii na małe tournée po Ameryce Południowej, aby przekonać tamtejszych przywódców do swoich racji.

Obawy Francuzów, Irlandczyków czy Polaków nie są bezpodstawne, ponieważ największą część eksportu z krajów grupy Mercosur stanowią żywność oraz żywe zwierzęta (ponad 32 proc.). Proponowana umowa miałaby umożliwić m.in. sprzedaż dodatkowych 99 tys. ton wołowiny ponad obecne 200 tys. ton rocznie. Osobną kwestią pozostaje to, że standardy produkcji żywności czy hodowli w Ameryce Południowej pozostawiają, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia. Nawet oficjalne audyty przeprowadzane przez unijne organy wykazują, że drób, wołowina czy wieprzowina z Brazylii produkowane są według standardów niedopuszczalnych na terenie Unii.

Umowa handlowa z grupą Mercosur pod wieloma względami przypomina to, co Polsce próbuje narzucić się w związku z nieograniczonym dopuszczeniem do unijnego rynku produktów rolnych z Ukrainy. Podczas gdy Ukraina jest potentatem w produkcji zboża czy oleju słonecznikowego, państwa Wspólnego Rynku Południa dominują na światowych rynkach w zakresie produkcji wołowiny czy soi. Ogromny areał upraw, duża dostępność taniej siły roboczej, korzystny klimat oraz niskie standardy ekologiczne sprawiają, że kraje tego regionu wyraźnie zwiększyły w ostatnim czasie również produkcję m.in. ryżu czy kukurydzy, a także hodowlę drobiu czy wieprzowiny. Żywność produkowana jest jednak m.in. przy pomocy zakazanych gdzie indziej pestycydów, a drób, bydło i trzoda hodowane są przy użyciu znacznej ilości hormonów czy antybiotyków.

Kraje Mercosur przypominają także Ukrainę pod względem dominacji wielkich rolniczych holdingów, których właścicielami często bywają międzynarodowe koncerny i grupy kapitałowe. Świetnej ilustracji dostarcza tu choćby brazylijska „Wielka Trójka” w zakresie produkcji wołowiny, w której skład wchodzi JB, Marfig i Minerva. Mimo że pierwotnie były to firmy rodzinne, z czasem przekształciły się w typowe korporacje posiadające międzynarodowy akcjonariat, w którego skład wchodzi m.in. wielkie koncerny spożywcze, zachodnie fundusze emerytalne czy też ogromne firmy inwestycyjne w rodzaju BlackRock. Dość podobnie przedstawia się sytuacja w Argentynie, gdzie wśród największych producentów

żywności są m.in. amerykańska firma Cargill, posiadająca siedzibę w Genewie Bunge czy Monsanto.

CHINY W TLE

Międzynarodowym koncernom i firmom inwestycyjnym zależy w oczywisty sposób na tym, żeby artykuły rolne i spożywcze napotykały możliwie jak najmniej przeszkód przy eksporcie, a o ich sile przekonał się najlepiej przy okazji „wojny zbożowej” z Ukrainą. Analogie z naszym wschodnim sąsiadem na tym się jednak nie wyczerpują. Ważnym elementem całej układanki są bowiem zasoby mineralne. Na terenie państw grupy Mercosur zlokalizowane są obfite pokłady litu, grafitu, niklu, manganu oraz metali ziem rzadkich. Eksport tej grupy towarów to aż 29,6 proc. całego wywozu liczącego ok. 800 mln mieszkańców bloku. Najbogatsze kraje europejskie chcą uzyskać preferencyj-

Gorączkowym dążeniem do podpisania umowy z krajami Mercosur dowodzona przez Niemców Unia Europejska kompromituje swoje zielone zaciętrzewienie

ny dostęp do tych zasobów głównie ze względu na Chiny, które narzuciły całemu światu bezprecedensowo niskie ceny aut elektrycznych głównie dzięki dominacji w tym obszarze.

Chiny zdobyły w ostatnich latach w Ameryce Południowej wiele przyczółków, w czym ogromny udział ma m.in. skrajnie lewicowy prezydent Brazylii Lula da Silva. Dla europejskiego przemysłu motoryzacyjnego kwestia podpisania umowy z Mercosur nabiera zatem wyjątkowego znaczenia, ponieważ mogłaby ona zapewnić nie tylko znaczne zasoby litu potrzebnego do produkcji baterii, lecz także wielki rynek zbytu. Chiny i Unia Europejska doprowadziły właśnie do eskalacji konfliktu o auta elektryczne, co spowodowało wyraźne załamanie sprzedaży, ale jeśli tylko cła na samochody z Europy w Ameryce Południowej zostaną obniżone z obecnych 35 proc., to sytuacja może ulec diametralnej zmianie.

■ Parcie na doprowadzenie umowy do skutku ze strony samego tylko lobby motoryzacyjnego jest więc ogromne, a przecież w dość podobnej sytuacji są także branże chemiczna czy maszynowa. Wywołane przez ekologizm wysokie koszty produkcji w połączeniu z narastającą konkurencją z Azji pozbawiają europejskich producentów rynków zbytu oraz zmniejszają konkurencyjność, a szerokie otwarcie najbardziej protekcyjnego rynku kontynentalnego na świecie (którym jest Mercosur) otworzyłoby zupełnie nowe możliwości.

Kluczowa dla losów proponowanej umowy może być postawa libertariańskiego prezydenta Argentyny. W przeciwieństwie do większości rządzących na kontynencie Javier Milei opowiedział się wyraźnie po stronie Stanów Zjednoczonych. Głowa argentyńskiego państwa z chęcią podpisywałaby umowę o wolnym handlu, ale właśnie z USA. Milei po spotkaniu z Emmanuelem Macronem powiedział, że ma do obecnego kształtu umowy pewne zastrzeżenia. Charyzmatycznemu prezydentowi z pewnością zależy na zwiększeniu eksportu argentyńskiej żywności czy surowców (choćby dlatego, że jego poprzednicy całkowicie zlikwidowali rezerwy walutowe kraju), lecz trudno go podejrzewać o chęć zacieśniania więzów politycznych z Unią.

EKOLOGIA DLA NAIWNYCH

Dążeniom do zawarcia umowy towarzyszy niestety skrajne zakłamanie eurokratów, którzy demonstrują przy okazji, jak bardzo luźne jest ich przywiązanie do jakkolwiek pojętej ekologii. W oficjalnych komunikatach podkreśla się na każdym kroku, że umowa z krajami Mercosur jest szczególnie ważna ze względu na możliwość szybszego osiągnięcia celów polityki klimatycznej. Minerale i metale z Ameryki Południowej mają przyspieszyć budowę paneli słonecznych, farm wiatrowych czy aut elektrycznych. Nie wspomina się jednak przy tym, że w zamian za ten ułatwiony dostęp w krajach Mercosur znacznie zintensyfikuje się gospodarkę rabunkową i przyspieszy degradację znacznych obszarów. Tropikalny las w Brazylii znika w najszybszym tempie nie tylko ze względu na rozrastające się plantacje palmy, lecz także pastwiska. Otwarcie się na europejski rynek zwiększy

także eksport środków chemicznych, w tym pestycydów, które są w Ameryce Południowej w powszechnym użyciu.

Szczytem absurdu jest natomiast to, że w czasie, gdy Unia Europejska forsuje swój Zielony Ład w rolnictwie wraz z uprawami ekologicznymi, wzrostem liczby nieużytków, strategią od pola do stołu i redukcją środków chemicznych, szeroko otwiera się drzwi przed żywnością produkowaną z pogwałceniem wszystkich tych zasad. Wściekłość rolników w całej Europie nie jest wcale przypadkowa, ponieważ można odnieść zasadne wrażenie, że eurokraci świadomie chcą złożyć w ofierze kontynentalne rolnictwo tylko po to, aby zapewnić wybranym branżom przemysłu świetny dostęp do wielkiego rynku zbytu.

Dążące do szybkiego wprowadzenia w życie warunków umowy Niemcy niestety na razie świetnie wykorzystują to, że w Unii jest co najmniej kilka państw, którym bardzo zależy na rozwoju wymiany z Ameryką Południową i które nie muszą czuć się bardzo stratne na napływie żywności i artykułów rolnych. Dotyczy to w szczególności takich krajów jak Hiszpania czy Portugalia, które tradycyjnie utrzymują ożywione kontakty z krajami grupy Mercosur. Wielu innym krajom, które nie są dużymi producentami żywności ani nie utrzymują zażyłych relacji handlowych z Ameryką Południową, cała sprawa jest w znacznej mierze obojętna. Dlatego właśnie Francji i Włochom jest tak trudno znaleźć sojuszników.

Do przyjęcia umowy wystarczy ratyfikowanie przez Parlament Europejski oraz Radę UE kwalifikowaną większością głosów. W tej sytuacji rola Polski jest kluczowa, ponieważ większość kwalifikowaną może powstrzymać tzw. mniejszość blokująca, czyli co najmniej cztery kraje o liczbie mieszkańców wynoszącej minimum 35 proc. populacji całej Unii Europejskiej. Stanowisko rządu nie zostało jeszcze niestety oficjalnie i wyraźnie wyartykułowane, co nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę służalczość obecnej władzy względem Berlina. Mimo wszystko pojawiły się też nieoficjalne zapowiedzi, że rząd Donalda Tuska miałby mimo wszystko stanąć po stronie Francji i Włoch. Kolejne protesty rolników w trakcie rozpędzającej się coraz bardziej kampanii przed wybora-

mi prezydenckimi nie byłyby obozowi władzy na rękę.

POLSKA NA TRZECIM PLANIE

Umowa handlowa zawierana pomiędzy blokami państw liczącymi odpowiednio 445 mln i 800 mln mieszkańców siłą rzeczy musi stanowić ogromny kompromis zawarty pomiędzy najsilniejszymi państwami i korporacjami. W tym skomplikowanym układzie interes Polski stanowił od samego początku kwestię drugo- czy nawet trzeciorzędną, a zdanie polskiego państwa zaczęło się liczyć dopiero na etapie finalnego liczenia głosów. To niestety bardzo kiepski prognostyk przed spodziewaną dalszą federalizacją Unii Europejskiej, w której kompetencje w zakresie negocjowania umów handlowych mają być stopniowo przejmowane przez organy centralne.

Samo parcie do zawarcia umowy handlowej w obecnym kształcie pokazuje zaś przede wszystkim, że Niemcy nie są tak naprawdę skłonne do podjęcia jakiegokolwiek daleko idącej reformy Unii Europejskiej. Proponowane porozumienie w obecnym kształcie nastawione jest na wskrzeszenie tradycyjnych branż przemysłu, które zwyczajnie nie są już w stanie zapewnić przewagi nad branżą technologiczną z USA czy Azji. Niemcy chcą znów być liderami motoryzacji czy przemysłu maszynowego, ale prawdziwą różnicę robią dziś nowe technologie. Jednocześnie napływ taniej i słabej jakości żywności zza oceanu ośmiesza prowadzoną od kilkudziesięciu lat politykę rolną, która na dodatek na przestrzeni lat kosztowała podatników setki miliardów euro. Poprzez umowę z grupą Mercosur pół Europy ma się poświecić w imię akcji „Make Volkswagen Great Again”, lecz ten model gospodarczy ewidentnie stracił już zdolność do użycia.

Gorączkowym dążeniem do podpisania umowy z krajami Mercosur dowodzona przez Niemców Unia Europejska kompromituje także swoje zielone zaciętrzewienie i marnotrawstwo na to publicznych środków. Ogromna presja finansowa i regulacyjna nakładana na Europejczyków w związku z rzekomym ratowaniem planety zostaje niczym przy pomocy czarodziejskiej różdżki zdjęta z południowoamerykańskich producentów, jeśli tylko wymaga tego interes niemieckiego państwa i przemysłu. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Trumpiści z Koziej Wólki

Sześć lat temu w tym miejscu – w felietonie „Dziwak Trump obniża podatki” – opisałem niebywałe jak na polskie standardy wydarzenie, którym było obniżenie przez ówczesnego prezydenta Donalda Trumpa podatków Amerykanom. Obniżenie ich w tym samym czasie, gdy w Polsce rzekomo trumpista, czyli „trumpista” Mateusz Morawiecki, w pocie czoła raz za razem je podnosił. To znaczy jedno – jak PIT – nieco obniżał, wszelako inne – jak podatek zdrowotny czy akcyzę – ogromnie podnosił, a do tego jeszcze inne – tzw. opłatę mocową, podatek cukrowy, podatek od deszczówki itd. – do naszego coraz bardziej rozbuchanego systemu podatkowego dorzucał, windując poziom polskiego fiskalizmu.

Amerykanom w spadku po trumpiście Trumpie pozostały więc niższe podatki, a nam po „trumpiście” Morawieckim – wyższe; i to o ileż wyższe! Dość wspomnieć, że wydatki publiczne Polski, czyli wydatki opłacane z pieniędzy zabieranych wcześniej podatnikom, podskoczyły w Polsce już aż do 48,9 proc. PKB i wyższe w UE notują jedynie Francja, Finlandia, Belgia, Austria, Włochy oraz Chorwacja.

Ale nawet teraz, gdy amerykański trumpista Trump kroczy po władzę w USA, a polski „trumpista” Morawiecki od roku jest w opozycji, nie mamy się czym frasować. Jak się bowiem okazuje, „w przyrodzie nic nie ginie”, więc natych-

miast po zwycięstwie Trumpa w Ameryce w Polsce objawił się kolejny „trumpista” u władzy – Donald Tusk. I realizuje założenia trumpizmu w taki sam sposób, w jaki czynił to jego poprzednik: czyli jeszcze bardziej podnosi przeróżne obciążenia podatkowe – nie tylko akcyzę na tytoń i alkohol – lecz także ostro zwiększa zadłużenie państwa. A i na tym w uprawianiu „trumpizmu” Tusk przecież nie poprzestaje.

Albowiem gdy trumpista Trump z impetem przystępuje do odchudzenia amerykańskiej administracji – budżet USA ma zostać zmniejszony aż o 2 bln dolarów (z obecnych 6,75 bln dol.), a więc aż o około 30 proc. – mianując szefami tej operacji Elona Muska oraz Viveka Ramaswamy’ego i dając im na jej przeprowadzenie półtora roku – „trumpista” Tusk dalej bez opamiętania rozmnaża swój rząd. Rząd, który już i tak jest liczniejszy od rządu „trumpisty” Morawieckiego – a to przecież wydawało się niemożliwe – bo składa się nań aż ponad 130 osób, i który jest największym rządem w UE, a do stania się największym rządem w całej Europie brakuje mu już tylko – jak wskazuje money.pl – prześcignięcia liczebnością rządów Białorusi i Rosji. No, ale wiadomo – dla chcącego nic trudnego. A dla chcącego „trumpisty”, czyli antytrumpisty Tuska – tym bardziej.

Czymże bowiem jest polski „trumpizm”, jeśli nie prostą odwrotnością amerykańskiego trumpizmu? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Sabotaż klimatyczny

Zielony Ład to program katastrofalny – nie tylko dla Polski, choć dla nas szczególnie, ale dla całej Unii Europejskiej. Uparte, fanatyczne wręcz przepychanie regulacji, które zubażają już teraz Europejczyków, a całym gałęziom przemysłu grożą utonięciem (Volkswagen, zdaje się, zalicza już krach z powodu przymusowego wciskania klientom aut na baterię, których ci po prostu nie chcą), sprawia wrażenie sabotażu. Szukając wyjaśnienia tego amoku, siłą rzeczy człowiek rozsądny i umiający liczyć może myśleć jedynie albo o skrajnym fanatyzmie podszytym głupotą; albo o skrajnym egoizmie, a więc myśleniu w kategoriach wąskiego interesu klasy politycznej, która czuje się właścicielami UE; albo o pozaeuropejskiej agiturze wpływu. Ta ostatnia hipoteza staje się coraz bardziej nęcąca.

Tytuł „Sabotaż klimatyczny”, który nosi najnowsza książka Tomasza Cukiernika, doskonale oddaje istotę sprawy. Nasz publicysta na 300 stronach wypełnionych liczbami, faktami, tabelami i wykresami, rozmowami z ekspertami oraz odniesieniami do raportów i aktów prawnych zawarł niezliczoną liczbę dowodów na potwierdzenie tezy, że polityka klimatyczna Unii Europejskiej

zniszczy Europę, a przede wszystkim zniszczy Polskę.

To nie jest książka dla osób o słabych nerwach. A już z pewnością nie dla osób o słabych nerwach, które oczekują, że mają przed sobą przynajmniej 20 lat życia, o młodszych nie mówiąc. Z rozważań Cukiernika wynika bowiem jasno, że za dwie

dekady możemy żyć w smutnym kołchozie, gdzie większość ludzi nie będzie mieć ani pieniędzy, ani wolności.

Klimatystyczny aktywiści twierdzą, że młodzi ludzie zaczynają mieć „depresję klimatyczną”.

Istotnie, taki może być skutek prania mózgu przez klimatystycznych alarmistów i historyków. Tymczasem prawdziwa i uzasadniona depresja może dopaść czytelników „Sabotażu klimatycznego”, rysującego scenariusz przemiany UE w ponury, neokomunistyczny twór, gdzie ideologia klimatystyczna wchodzi w miejsce dawniej przeznaczone dla marksizmu-leninizmu.

Mimo to – polecam. Lepiej wiedzieć, co nas czeka, i starać się podejmować w związku z tym świadome decyzje, także wyborcze, niż żyć w błogiej nieświadomości i któregoś dnia zapytać siebie samego, jak to się stało, że się... W każdym razie – nie tak miało być. ©©





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zamek w Oporowie

Warownia w Oporowie pod Kutnem to szczególnie rodzynek wśród architektury centralnej Polski. Rzadko przetrwały tutaj stare zamki zachowujące jeszcze klimat gotyckich, ceglano-kamienianych budowli. Zwykle zrujnowane przez Moskali lub Szwedów, porzucone przez właścicieli, stały się w XIX w. składem cegieł i kamieni dla pracowitych chłopków albo oszczędnych obywateli ziemskich. Taki los spotkał choćby zamki w Ciechanowie, Rawie czy w Czersku, z których ocalały tylko elementy, zwykle wieże i części murów. Tymczasem Oporów nie tylko wciąż cieszy oko wyglądem bliskim pierwotnemu, lecz także ma unikalne wnętrza, w których podziwiać można zarówno

dawne meble i obrazy, jak i renesansowe piece, kolekcję ceramiki oraz dawnej broni.

Zamek wybudowany został w latach 1434–1449 przez biskupa kujawskiego i późniejszego prymasa Polski Władysława

Oporowskiego. Po jego śmierci przejął go brat Piotr, wojewoda łęczycki, stronnik króla Kazimierza Jagiellończyka, który brał udział w wojnie trzynastoletniej z zakonem krzyżackim i negocjował zawarcie drugiego pokoju toruńskiego w 1466 r. Na przykładzie Oporowa widać, jak etapami powstawały późnośredniowieczne zamki biskupie i rycerskie. Najpierw, w początkowym okresie budowy, wzniesiono zachodnią wieżę mieszkalną – tę, przy której znajduje się dzisiaj brama prowadząca do zamku. Równocześnie z nią pobudowano wały obronne

– wówczas jeszcze zapewne drewniano-ziemne, tworząc dziedziniec – i zbudowano drugą, południowo-wschodnią, wieżę mieszkalną. Następnie zbudowano w miejscu prowizorycznych umocnień potężne, ceglane mury obronne posadowione na niezwykle głębokich, siedmiometrowych fundamentach opartych na dębowych palach wzmocnionych gliną. Później dobudowano także półkolistą basztę, w której znajdowała się kaplica. Kolejny etap rozbudowy obejmował budowę domu mieszkalnego na zachód od drugiej wieży mieszkalnej, wzdłuż muru obronnego. Samą wieżę zaś włączono w obręb tego obiektu. Zapewne dokonał tego fundator zamku – wspomniany Władysław Oporowski, który w połowie XV w. został arcybiskupem gnieźnieńskim. Oporów, choć nie tak obszerny jak rezydencje innych magnatów koronnych, wyposażony był w hypocaustum, czyli w urządzenia ogrzewające, które w XV w. były niezwykle kosztowne. Miał je jako jeden z nielicznych zamek krzyżacki w Malborku.

Oporowscy zarządzali zamkiem aż do końca XVII w. Później dobra przeszły w ręce Tarnowskich, wreszcie w 1718 r. kupił je Jan Sołłohub, podkomorzy gostyński, a potem podskarbi litewski i wojewoda brzesko-litewski, za ponad 41 tys. złotych polskich, co wówczas nie było wygórowaną sumą. Po jego śmierci oddłużone i dobrze prosperujące majątności zostały podzielone między jego synów; w 1786 r. przejął je płk Jan Sołłohub, który następnie je zastawił. Zamek z okolicznymi wsiami przeszedł w ten sposób w ręce Adama Wodzyńskiego, a od 1792 r. – Kajetana Korzeniowskiego herbu Lis, pisarza litewskiego. Później trafił do rąk córki Anny i jej

męża Aleksandra Pocięja, wreszcie w ręce Oborskich, którzy przeprowadzili remont i odbudowę wieży, która zapadała się pod ziemię. Zapewne za ich rządów przebudowano zamek, dodając pseudogotyckie elementy architektury. Później, do lat 30. XX w., właścicielami zamku stała się rodzina Orsettich. Potem przeszedł on w ręce Karskich, jednak w czasie drugiej wojny zakwaterowali się tutaj Niemcy.

W 1945 r. zamek został przejęty przez państwo. Być może podzieliłby los wielu innych dworów i rezydencji złupionych, zniszczonych i pozostawionych bez konserwacji, gdyby nie upór i poświęcenie Wandy Kurnatowskiej, pierwszej dyrektorki skromnego muzeum utworzonego w 1947 r., a otwartego dwa lata później. Organizowała ona wystawy poświęcone tradycjom kultury szlacheckiej, wystawiając portrety, meble i pamiątki z dworów szlacheckich, podczas gdy oficjalnie, aby ukryć prawdziwy charakter ekspozycji, były to wystawki stylowych wnętrz mieszkalnych. Prawdziwa jednak odnowa zamku w Oporowie miała miejsce po 1961 r., kiedy dyrektorem muzeum została Grażyna Majewska. Przeprowadzono wówczas liczne prace konserwatorskie i archeologiczne, odkrywając polichromowane stopy, portale gotyckie i – co ciekawe – skrytki oraz schowki z kosztownościami po poprzednich właścicielach. Ciekawostką było to, że pod podłogą znaleziono zbiór broni ukrytej tam po powstaniu styczniowym. Dziś Oporów stanowi razem z zespołem parkowym prawdziwą perłę zachodniego Mazowsza, będąc jednym z nielicznych tak dobrze zachowanych i odrestaurowanych gotyckich zamków obronnych. ©



• Oporów

I RZECZYPOSPOLITA

RCS OBA



FOTO: PAP

Wprawdzie niewielkie miejskie samochody nie są już tak popularne jak przed laty, ale wciąż mają swoją klientelę. Na tyle dużą, że w tym roku Hyundai dokonał liftingu modelu i20. Na szczęście zmiany nie były rewolucyjne, bo wersja sprzed liftingu była już całkiem udana.

Z zewnątrz zmiany są ledwo widoczne. Odświeżony południowokoreański hatchback zyskał nieco bardziej dynamiczny wygląd (poprawiono m.in. kształt przedniego zderzaka) oraz jaskrawe kolory przywodzące na myśl gorące Włochy czy słoneczną Hiszpanię.

W testowanej wersji pod maską pracował trzycylindrowy silnik 1.0 T-GDI o mocy 100 KM i maksymalnym momencie obrotowym wyno-

szącym 172 Nm. Na pokładzie znajdowała się też automatyczna skrzynia biegów z podwójnym sprzęgłem (7DCT). Tak zestrojony miejski Hyundai potrzebuje na sprint od zera do setki aż 12,1 s. Prędkość maksymalna wynosi 185 km/h. Szalu nie ma, ale wbrew pozorom autem jeździ się przyjemnie. Da się nim też dość żwawo wyprzedzać na trasie (przyspieszenie od 60 do 100 km/h na czwartym biegu zajmuje 6,7 s). Na pochwałę zasługuje zwłaszcza precyzyjny układ kierowniczy.

A co ze spalaniem? Szalu nie ma. Ważące 1090 kg auto pali średnio ok. 5,5 l/100 km, a na ekspresówkach i autostradach wartość ta rośnie odpowiednio do ok. 6,2 l/100 km i 7,8 l/100 km.

Wnętrze i20 zostało bardzo praktycznie zaprojektowane. Jest tu zaskakująco dużo miejsca jak na kompaktowe auto o długości 4065 mm. Generalnie do ergonomii trudno się przyczepić. Stosunkowo duży w tym modelu jest też kufer o pojemności 352 l (w wersji Smart ma on wygodne dwa poziomy), a po złożeniu tylnej kanapy pojemność do ładunku powiększa się do 1165 l. Fotele są wystarczająco wygodne. Fizyczne przyciski ułatwiają szybką obsługę najbardziej istotnych ustawień. Polubić dają się też system multimedialny oraz 10,25-calowe zegary (w wyższej wersji wyposażenia). A co z wykończeniem kabiny? Teoretycznie w trzeciej odsłonie i20 powinno być już lepiej. Efekt jest jednak bardzo mało widoczny. Na pierwszy rzut oka kabina i20 jak była nudna i smutna, tak nudna i smutna pozostała. Po bardziej wnikliwym spojrzeniu widać jednak jaskrawy promyk nadziei: niektóre elementy zostały pomalowane w równie słonecznym kolorze jak lakier nadwozia. Są też lampki LED. Nadal brakuje możliwości bezprzewodowej obsługi Android Auto i Apple CarPlay.

Nowego i20 można kupić w promocji za 72,9 tys. zł (w wersji Pure z silnikiem 1.2 MPI z pięciobiegową skrzynią manualną i mocą zaledwie 79 KM). Wersja Modern z silnikiem 1.0 T-GDI (o mocy 100 koników) i sześciobiegowym manuałem to wydatek 78,4 tys. zł. Wersja wyposażenia Smart z silnikiem 1.0 T-GDI i automatem to wydatek 92,9 tys. zł. Po uzupełnieniu o dopłatę do lakieru, pakiet bezpieczeństwa i czarny dach cena na fakturze będzie już oscylować w okolicach 104 tys. zł. ©

REALME GT 7 PRO

Świetny główny aparat fotograficzny, piękny ekran, potężny procesor Snapdragon 8 Elite, wysoka klasa odporności na kurz i wodę (IP 68/69), przydatne funkcje sztucznej inteligencji (AI), pojemna bateria, szybkie ładowanie oraz atrakcyjny stosunek możliwości do ceny – to największe zalety najnowszego smartfona chińskiej marki realme.

Na pierwszy rzut oka smartfon ubrany w zawarte w zestawie etui wygląda jak jeden z setek innych na rynku. Jest elegancki i smukły, ale nie krzyczy: „Jestem drogim flagowcem!”. Świetne wrażenie robi produkowany przez Samsunga ekran OLED o przekątnej 6,78 cala i rozdzielczości 2780 x 1264, który prezentuje kolory w pełnej gamie DCI-P3 i oferuje wyjątkową jasność (szczytowa wynosi aż 6 tys. nitów).

To, co wyróżnia testowany model, to jego serce. Ośmiordzeniowy procesor Snapdragon 8 Elite w połączeniu z 12 GB pamięci RAM rzeczywiście jest bardzo wydajny.

Ogromną zaletą GT 7 Pro są możliwości fotograficzne tego smartfona. Zdjęcia wykonane obiektywem 50 MP są pełne detali i mają ładne kolory. Sztuczna inteligencja koryguje wykonane telefonem fotografie, tak aby były jak najwyraźniejsze. Algorytmy pracują też nad poprawą barw (najczęściej



wychodzi to dobrze, choć AI ma czasem skłonność do przesady). Jest też kilka przydatnych funkcji AI, jak fotografia nocna (w tej kategorii ten smartfon wymiata), gumka (do szybkiego usuwania zbędnych elementów na zdjęciach) czy studio (które potrafi świetnie przerobić zdjęcia portretowe). Aparat główny potrafi nawet działać w trybie kamery podwodnej (GT 7 Pro ma certyfikat IP68/69). Nie dajcie się jednak nabrać zbyt łatwo podekscytowanym recenzentom: nie jest to model do robienia zdjęć rafy koralowej, bo bezpiecznie nurkować z tym smartfonem można tylko w wodzie słodkiej (producent nie daje gwarancji, że po eksperymentach w morzach i oceanach GT 7 Pro nadal będzie działał).

Kolejny ważny plus to akumulator o pojemności aż 6500 mAh i szybkim ładowaniem o mocy 120 W. Niestety, GT 7 Pro nie da się ładować bezprzewodowo. Inne wady? Jakość fotografii z aparatu ultraszerokokątnego i aparatu przedniego (do selfie) w tej kategorii cenowej powinna być lepsza. Brakuje obsługi eSIM. Poza tym smartfon jest nieco ciężki (waży 222,8 g), a zaszyty w systemie bloatware może być irytujący. Mimo tych minusów stosunek do możliwości jest atrakcyjny. Wariant z 256 GB pamięci na dane kosztuje 3699 zł, a z 512 GB 3999 zł. ©



ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Wraz z pierwszym świątecznym adwentowym zapalonym na wierzchołkach w naszych kościołach zaczyna się najpiękniejszy – według nas – czas przygotowania do świąt. Od pierwszych dni grudnia intensywnie myślimy i często rozmawiamy o świątach Bożego Narodzenia – co kupimy, co przygotujemy, jakie prezenty, o której się spotkamy, kogo i kiedy zaprosimy itp. W tym rozgardiaszu nieodmiennie wyłania się jednak plan, według którego później działamy. Jednak zaczynamy od mocnych postanowień. Wiąże się to oczywiście z adwentem i z postanowieniami adwentowymi, które zawsze podejmujemy. Nie jemy słodczy, mięsa i nie pijemy alkoholu, poza tym nie uczestniczymy w „hucznych zabawach”, jak każe Kościół. Jest to dla nas szczególny czas, nie tylko oczyszczenia i hartowania charakteru, lecz także przemysłu. A zawsze jest o czym myśleć, prawda?

Skoro nie jemy mięsa, to co jemy? Proponujemy śledzie pod pierzynką. Pierwszy raz próbowałyśmy ich na przyjęciu, gdzie wszystkie potrawy przygotowała nasza znajoma z Ukrainy. Sałatka ta jest bardzo popularna właśnie na Wschodzie, szczególnie na terenach poradzieckich i w samej Rosji. Jest świetną alternatywą dla tradycyjnych śledzi podawanych z olejem czy w śmietanie. Sałatka układana jest warstwowo w szklanym naczyniu tak, aby można było zobaczyć warstwy dania. Składa się z pokrojonych filetów śledziowych, ugotowanych buraków, są też wersje – z ziemniakami i ugotowanym

SIOSTRY GOTUJĄ

Danie „szuba”

na twardo jajkiem, cebulą i jabłkiem. Każdą warstwę przekładamy majonezem lub sosem majonezowo-śmietanowym, na wierzchu zaś posypujemy sałatkę posiekanymi jajkami, tartym żółtym serem i świeżym koperkiem. Na Ukrainie mówią na to danie „szuba”, co oznacza po rosyjsku futro, bo w samej istocie sałatki chodzi o pięknie ułożone kolejne warstwy, które są luźne i puszyste jak futro.

Śledzie pod pierzynką

- 400 g śledzi wcześniej namoczonych
- sok z połówki cytryny
- 1 łyżka musztardy
- 2 średnie buraki ćwikłowe, ugotowane lub upieczone
- 3 ziemniaki ugotowane
- 4 ogórki kiszzone
- 5 jajek na twardo
- 150 g sera żółtego
- sól, pieprz
- pęczek szczypiorku i koperku

Sos: 300 ml majonezu lub tyle samo majonezu wymieszanego z kwaśną śmietaną

Śledzie pokroić na kawałeczki, skropić sokiem z cytryny, dodać musztardę, doprawić solą, pieprzem, ułożyć na dnie naczynia i posmarować sosem majonezowym. Ziemniaki i buraki ugotować razem ze skórką, ostudzić i obrać, pokroić na małe kawałeczki, dodać sól, pieprz i pokrojone ogórki kiszzone, ułożyć kolejną warstwę, posmarować majonezem lub sosem. Na wierzchu ułożyć warstwę ugotowanych i posiekanych jajek na twardo, na koniec posmarować wszystko ostatnią częścią majonezu, a dla dekoracji posypać szczypiorkiem i koperkiem. Podawać najlepiej schłodzone i następnego dnia. © ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

W aurze luksusu

Niektórzy może lubią tam chodzić; ja w chwili wejścia zaczynam obmyślać drogę ucieczki. Te światła, te wystawy, a jeszcze teraz te sączące się piosenki łątkristmasowe. Galeria Mokotów (przepraszam – teraz Westfield) to miejsce piekielne, a także warszawski przyczółek elegancji. Drogie sklepy, światowe marki. Błask, zapach perfum. Podaruj sobie odrobinę luksusu, może nawet więcej niż odrobinę. Wdychaj aurę beztroskiego shoppingu, do którego nawołują cię z każdej strony.

W co bardziej, jak to się mówi dzisiaj, „selektywnych” sklepach Galmoku (to jego ludowa nazwa) przy wejściu stoją panowie, których jedynym zadaniem jest uprzejmie witac i żegnać klientów. Młodzi i przystojni mówią „dzień dobry” i wtedy czujesz się, jakbyś przyszła z wizytą do znajomych. Psycholodzy od marketingu powiedzieli, że tak trzeba, bo to zachęca klientów. Na pewno mają rację.

Młodzi i przystojni – tak było jeszcze niedawno. Bo teraz zwróciło moją uwagę, że ci panowie przy wejściu, którzy jeszcze niedawno byli 20-, najwyżej 30-latkami, zniknęli. Zamiast nich w drzwiach witają seniorzy. Człowiek się zastanawia, ile czasu ktoś po sześćdziesiątce może stać na nogach, które już w życiu swoje przeszły i może teraz zasługiwałyby na mały odpoczynek.

To nie koniec zmian. W eleganckim i dość drogim sklepie z ubraniami w przymierzalni spotkałam panią w wieku, hm, żeby nie obrazić, posttrolejbusowym (dla młodszych czytelników: w latach 50., 60. i 70. warszawskie trolejbusy miały numery zaczynające się na 50, stąd żartobliwe określenie „wiek trolejbusowy”).

Pani była ok. sześćdziesiątki, sympatyczna, doradzająca, uśmiechnięta. A za ladą, gdzie się płaci, pracowała dziewczyna, którą dziś poprawna uprzejmość kazałaby nazwać osobą body positive, po polsku z ciepłopozytywnością. W normalnym języku: gruba. I dodam: ładna i bardzo miła.

Im bardziej atakują nas wizerunki pięknych, szczupłych, perfekcyjnych, idealnych, młodych, zgrabnych itp., itd., tym bardziej rośnie katalog określeń antydyskryminacyjnych wobec tych, którzy nie załapują się do powyższych kategorii.

Ja się w sumie cieszę, że starszy pan może dorobić do emerytury i że ta otyła dziewczyna znajdzie pracę w rezerwacie chudych. Jest to w sumie pozytywna zmiana. Tylko w sumie: bo jeśli to rozbić na detale, to nie wiem, czy bardziej bym się cieszyła, widząc tego pana karmiącego kaczuszkę z wnukiem. Bo taka już rola tzw. pewnego wieku. Kto chce, może z tej roli wyjść, ale tylko wtedy, kiedy sam chce, nie wtedy, kiedy musi. Ale cieszy mnie to, że handel młodych i pięknych otworzył się na innych. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Bezpartyjny prezydent

Wiedziałem, że tak będzie z tymi wyborami na prezydenta RP. Że nagle wszyscy kandydaci okażą się bezpartyjni. No, może z wyjątkiem prezydenta (jeszcze tylko Warszawy) Trzaskowskiego, któremu trudno będzie pogodzić wiceszefowanie Platformie z bezpartyjnością. Ale ten numer już się udał np. takiemu Hołowni, który obwieścił samego siebie jak najbardziej bezpartyjnym. Ten próbuje narodowi sprzedać swoją inicjatywę jako naprawę „trzecią drogę”, choć będzie to raczej trudne do dowiedzenia. Boć Hołownia dostał głosy ludzi, którzy byli w sumie za PO, choć bardziej przeciw PiS, ale tylko dlatego, że im było głupio na PO głosować. Nie dlatego, że Hołownia był jakąś wyczekiwaną alternatywą dla wojny polsko-polskiej. A jeśli nawet nią dla kogoś był, to swą partyjnością i stanem po jednej stronie z jednym z plemion udowodnił swą plemienną partyjność. Trudno więc, by ktoś uwierzył w jego trzecie drogowość, a już tym bardziej bezpartyjność. Wiem, o czym mówię, gdyż sam przeanalizowałem potencjał prawdziwej „trzeciej drogi” w swojej książce pt. „Trzeci sort”.

Ale ważniejsze jest tu zjawisko ogólne – powszechne udawanie bezpartyjności. Oj, wiedzą politycy, że bycie partyjnym to obciach. Pewnie to

wychodzi z badań, ale także z ogólnego osądu wyborców co do społecznej estymy do zawodu polityka. A więc odbywa się wyborcze teatrum – jak przed ostatnim maratonem wyborczym – byli zwolennicy migracji przed wyborami stają się nadgranicznymi jastrzębiami, tęczowi idą do chrztu (który notabene nie wiadomo, czy się im przyjmie za pierwszym razem), podżegacze wojenni stają się gołębiami pacyfistami – wszystko po to, by tylko taktycznie schlebić suwerenowi, po zbadaniu takowego.

Tak samo jest z partyjnością kandydatów. I tu wszystko tak samo się odbędzie. Suweren o pamięci złotej rybki daje możliwość wybranej już klasie politycznej niewywiązywania się z obietnic. Te są ważne tylko na dzień wyborów, a zaraz po nich wszystko wraca w swoje koleiny. Można więc do woli lekceważyć złote rybki w akwariu polskiej polityki. One nie będą za chwilę pamiętały, co kto obiecywał, nawet bezpartyjności, byleby karma była wysypywana po ich stronie akwariu. A że karmy coraz mniej, a rybki nie kumają dlaczego, to klasa polityczna nie zajmuje się pracą nad przywróceniem karmy, tylko szukaniem po drugiej stronie winnego jej braku. Na co patrzą bezwolne złote rybki przez szkło akwariu, które coraz częściej staje się szkłem ekranu telewizora. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Czy oni się już nie zmieniają (?)

Wśrodkowisku konserwatywnych dziennikarzy i publicystów powtarzana jest anegdota – podczas pierwszej kadencji PiS znany profesor historii wytknął prezesowi partii błędy i zaniechania, których dopuścił się obóz Zjednoczonej Prawicy; Kaczyński odpowiedział krótko: „Innej Polski dla ciebie nie mam”.

Obserwując to, co działo się w PiS podczas wyłaniania kandydata na urząd prezydenta, znów możemy odczuć ten sam rodzaj rezygnacji i pogodzenia się z niereformowalnością największej formacji politycznej, która przyznała sobie mandat reprezentowania obywateli patriotycznego. Nie chcę wymieniać wszystkiego, co doprowadziło PiS do oddania władzy. Te skandaliczne błędy w różnych tekstach opisywali autorzy naszego tygodnika. Część najważniejszych powodów wyliczam w mojej książce „Warto grać czysto”.

Tygodnik publikował także list prof. Andrzeja Nowaka „Głos starego wyborcy z myślą o młodszych” (luty 2024 r.), w którym wybitny historyk, wyliczając błędy Jarosława Kaczyńskiego, pisał wprost, że przywódca nie sprostął odpowiedzialności, którą na siebie przyjął, oraz że nie przygotował PiS „na wypadek, który przecież był do przewidzenia: wyborczej porażki z rywalem, który nie będzie przestrzegał żadnych reguł demokracji, przyzwoitości ani prawa do zdobyciu władzy”.

Potem byliśmy świadkami dwóch słabych kampanii wyborczych, odbywających się wprawdzie przy akompaniamencie „łomotu”, ale wszystko wyglądało tak, jakby nikt w PiS z jesiennej porażki nie wyciągnął wniosków.

I teraz też można odnieść wrażenie, że przy okazji wyłaniania kandydata dla niektórych konkurentów właśnie przejęcie partii okazało się ważniejsze niż obiektywne szanse na wyborcze zwycięstwo w maju. W łonie PiS doszło do brutalnej rywalizacji o przywództwo – czyli o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. Najsmutniejsze jednak, że gdy jest ostatnia szansa, by powstrzymać domknięcie systemu przez niemiecko-brukselską oligarchię, start bardzo dobrego kandydata – dr. Karola Nawrockiego – obciążony jest licznymi niedoróbkami. Montowany na chybcika komitet poparcia ze skompromitowanym „piątką dla zwierząt” Czałańskim, którego obecność odrzuca potencjalnych wyborców Konfederacji, potem przemówienie samego Nawrockiego, które wyraźnie mu nie leżało, w dodatku czytane z kartki, jakby nie było można załatwić promptera, młodzież w tle z miną „co ja tu robię?”, kamera rejestrująca zmęczonego prezesa, który pokonuje drogę na mównicę, kulejąc, by wygłosić pierwsze wystąpienie po „bezpartyjnym obywatelskim” kandydacie.

Panowie, ogarnijcie się – tak tej kampanii nie wygracie! ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Babcia bez kagańca

Ale historia. Andrzej Mleczko ogłosił, że po 45 latach zakończył współpracę z „Polityką”, bo go tam próbowali cenzurować. Stop. Już starożytni nowojorczyrzy ryli na skałach Central Parku, że postępowe lewactwo walczy o wolność słowa i rysunku, pod warunkiem że pisze i rysuje się to tylko, co lewactwu miłe. Stop. Żartować można, owszem, ale kierunkowo. Stop. Mleczko, jak widać, nie połapał się w kierunkach.

Kubusia Wojewódzkiego sąd skazał na 400 tys. zł grzywny za reklamowanie alkoholu. Stop. Oprócz niego sąd skazał też na 450 tys. grzywny Palikota, który był współnikiem Wojewódzkiego w wyciąganiu pieniędzy od naiwnych inwestorów. Stop. Palikot siedzi, ale Kubuś ciągle na wolności. Stop. Swoją drogą: co trzeba mieć w głowie, żeby dwóm rozgarniętym jak kupa liści pajacom powierzyć swoje pieniądze? Stop.

Katarzyna A., znana jako Babcia Kasia, kobiecina wrzeszcząco-protestująca przeciw wszystkiemu, co związane z PiS, została skazana przez sąd za pogryzienie człowieka i uderzanie go pięścią. Stop. Ma zapłacić nawiązkę i przez 10 miesięcy nieodpłatnie wykonywać prace społeczne. Stop. Furiatki nie zbadano na wściekliznę, co w ocenie wielu prawników jest poważnym błędem, tym bardziej że Katarzynę A. widziano w Warszawie bez kagańca. Stop.

Szymon Hołownia postanowił zostać prezydentem i nagrał filmik, na którym założył bluź z kapturem na koszulę z kołnierzykiem. Stop. Za to bluźnierstwo będzie się smażyć w piekle, ale nie o to chodzi; chodzi o przekaz werbalny, a ten brzmiał pokrętnie oraz jadowicie: „Przy całym moim wielkim szacunku dla Rafała Trzaskowskiego, którego naprawdę lubię i uważam, że jest megaoczytanym, bardzo fajnym gościem, ale w mojej ocenie, i dlatego startuję, to nie jest ten człowiek na to miejsce, bo się po prostu nie zgadza, jak to mówią w wojsku, karta opisu stanowiska, czyli wymagania wobec człowieka z możliwościami, kompetencjami i całą drogą życiową, które Rafał ma ogromne, ale głęboko jestem przekonany, że to nie w tym momencie i nie w tym czasie i ryzyko przegrania w tym momencie, tak jak w 2020 r., jest ogromne”. Stop. Oprócz tego, że jest to zwykły źle sklejonny bełkot, bo właściwie to nie wiadomo, co Hołownia konkretnie zarzuca Trzaskowskiemu, stwierdzić trzeba, że według Hołowni on jako były konferansjer w TVN uważa, iż jego kompetencje i droga życiowa są wartościowsze niż Rafała, co jest słodkie i urzekające. Stop.

Bogusław Ziętek, szef Sierpnia '80, nazwał premiera Donalda Tuska debilem. Stop. Przypomnijmy, że Sąd Najwyższy uznał w innej sprawie, ale też osób publicznych, iż użycie słowa „debil” ma znikomą społeczną szkodliwość. ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Łowy w słodkiej wodzie

Bardzo ciekawa przygoda przydarzyła się, jeśli wierzyć oficjalnym komunikatom, kierownictwu partii PiS. Przez ostatnie, burzliwe w świecie polityki miesiące zajmowało się ono głównie badaniami, które wyłonić miały prezydenckiego kandydata tej partii. O rozmaitych etapach tych długotrwałych i wyczerpujących poszukiwań z upodobaniem informował media sam Jarosław Kaczyński. „Trwają dodatkowe badania, właściwie to jest kontynuacja pogłębiona tych wcześniejszych. Zobaczymy. Każdy z tych panów ma te cechy, które zostały opisane w tych początkowych badaniach jako te warunkujące możliwość sukcesu, i każdy z nich, także jeżeli chodzi o inne elementy osobowości, różnego rodzaju umiejętności czy rozeznanie w rzeczywistości, prezentuje się bardzo dobrze, stąd trudność wyboru. To jest trudność nadmiaru, tylko że nie można niestety trójgłowego prezydenta wybrać”. Podobne rozterki opisał niegdyś poeta słowami:

*Uchem strzyże, głową kręci,
I to pachnie, i to nęci;
Od któregoż teraz zacznie,
Abym sobie podjeść smacznie?*

Tym bardziej zaskoczyła wyborców nowina, że tak starannie przebadany kandydat nie został wcale wskazany ani nominowany przez PiS. To nie do Jarosława Kaczyńskiego należało ostatnie słowo. Karola Nawrockiego zgłosił do

wyborów prezydenckich nadzwyczaj liczny „komitet obywatelski”. Zasiada w nim ponad setka niepokornych artystów, spiszowych postaci historycznych i uczonych profesorów wszelkich nauk.

Wybór dr. Nawrockiego uzasadniono argumentem, że „ma on Polskę w sercu”. Trudno podejrzewać, by do takiej konkluzji doprowadziła uczonych analiza jakichkolwiek badań społecznych użyczonych przez partię. Podejrzanie, że podpisali się oni jedynie pod uprzednią decyzją podjętą przez inne, ukryte przed wyborcami gremium, mogłoby uchodzić za obraźliwe wobec tak nieposzlakowanych wzorów obywatelskiej i naukowej rzetelności. Czyżby kandydatura Karola Nawrockiego potwierdziła angielskie powiedzenie „great minds think alike”? Istnieje też inne wytłumaczenie.

Zdarza się czasem, że doświadczony i wyekwipowany wędkarz przez długi czas przygotowuje sobie łowisko, zanęca je regularnie, pielęgnuje i strzeże. Bez rezultatu. Niespodziewanie pojawia się w tym miejscu hałaśliwy urlopowicz, ambitnie wymachujący nad głową kupioną w dyskoncie wędką. Zakłada na haczyk kulkę z chleba i z dumą wyciąga z wody wielkiego jak patelnia karpia lub leszcza.

Pasjonaci wędkarstwa potrafią opowiedzieć wiele podobnych historii. Ryby zapewne też, ale trudniej je od leszczy usłyszeć. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zwycięstwo kompensacyjne

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

W tym roku Marek Kusto skończył 70 lat. Piłkarz zapomniany, i to zapomniany skrajnie nie-słusznie. Uczestnik trzech mundialów (1974, 1978, 1982), na których rozegrał trzy spotkania, wchodząc z ławki rezerwowych. Wszystkie te wejścia miały miejsce na mistrzostwach świata w Hiszpanii. Tylko trzy spotkania na mundialach. Znacznie mniej niż Robert Lewandowski, który tych spotkań miał ze dwa razy więcej. Marek Kusto nie zrobił też oszałamiającej kariery w piłce klubowej. Gdzież tam belgijskiemu Beveren do takich potęg jak Borussia Dortmund, Bayern Monachium czy FC Barcelona, w których grał i gra nadal kapitan polskiej reprezentacji. A jednak to

Marek Kusto był również na argentyńskim mundialu rozegranym w 1978 r. Kadra Jacka Gmocha zakończyła go na piątym – szóstym miejscu. Jestem z pokolenia, które pamięta gorycz zawodu, ba, nawet upokorzenia, które cała piłkarska Polska wtedy odczuwała. Klęska! Wstyd! A dzisiaj wielkim sukcesem polskiej piłki jest wyjście z mundialowej grupy choćby na trzecim miejscu, a ogólną miserię naszego futbolu kompensujemy sobie, emocjonując się kolejnymi rozgrywkami hiszpańskiej La Liga i bramkami strzelanymi dla Barcelony przez „Lewego”.

Mistrzami w kompensowaniu tej naszej piłkarskiej miserii byli (i są) komentatorzy. Gdy Jerzy Dudek po bajecznym występie w finale Ligi Mistrzów w 2005 r. przeszedł z Liverpoolu do Realu Madryt, gdzie czekał go podobny los co Marka Kustę na kolejnych mundialach (ławka rezerwowych), ciągle słyszeliśmy, że w El Clásico Barcelona gra „z drużyną Jurka Dudka”.

Mentalność kompensacyjna zagościła także w naszej polityce. Tak należy tłumaczyć skandowanie w Sejmie przez posłów Prawa i Sprawiedliwości nazwiska zwycięzcy niedawnych wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Polityczne zmartwychwstanie (nawet nie powrót) Donalda Trumpa mimo lawiny wyroków sądowych i kolejnych postępowań organizowanych przez amerykańską odmianę „demokracji walczącej”, w której szeregi ochoczo wstąpiło stado niezależnych celebryckich i medialnych umysłów (nie za darmo, ma się rozumieć), to dla polityków do niedawna rządzącej partii musiało być doznanie podobne do tego, którego doznaje polski

kibic ogrzewający się w blasku wielkości każdorazowej „drużyny Roberta Lewandowskiego” – czy to z Dortmundu, Monachium, czy z Barcelony.

„Odniesione” przez PiS 5 listopada kompensacyjne zwycięstwo za oceanem było tym większe, że przecież czołowi politycy obecnie rządzącej koalicji (lub ich żony) koncertowo zbłąznili się, porównując Donalda Trumpa do Hitlera, Stalina i Mussoliniego i obnażając jego „30-letnią współpracę” z rosyjskimi służbami. A autor tej ostatniej frazy, obecny szef polskiego rządu, do starej błazenady dodał nową, publicznie zarzekając się na konferencji prasowej, że on „niczego takiego nie sugerował”. Teraz przynajmniej wiemy, że ulubionym filmem pana premiera są „Młode wilki” i zawarta tam dobra rada jednego z głównych bohaterów: „Gdy cię złapią na gorącym uczynku za rękę, mów, że to nie twoja ręka”. W różnych modyfikacjach rada ta stanowi istotę marketingu politycznego uprawianego przez obóz „demokracji walczącej”.

Kompensacyjne zwycięstwo może, ale nie musi być zachętą do „murzyńskości” (termin zastosowany przez autora niesławnego „hołdu berlińskiego”). Może być inspiracją. Tak jak kiedyś spełniły się słowa Jarosława Kaczyńskiego o „powtórce Budapesztu w Warszawie”, tak w 2025 r. mogą spełnić się oczekiwania prawicy – dzisiaj równie odległe od spełnienia, jak szanse prezydenckie Donalda Trumpa w 2023 r. – na zwycięstwo w wyścigu o polską prezydenturę. Może posłowie skandujący w Sejmie nazwisko amerykańskiego prezydenta elekta chcieli tak naprawdę krzyczeć: „Never give up!”. Jeśli tak, to jest nadzieja. ©

Teraz wiemy, że ulubionym filmem pana premiera są „Młode wilki” i zawarta tam dobra rada: „Gdy cię złapią na gorącym uczynku za rękę, mów, że to nie twoja ręka”

Marek Kusto (100 lat życzeń!) jest bardziej utytułowanym piłkarzem niż słynny „Lewy”. Bo to on dwa razy zdobył trzecie miejsce na świecie (1974, 1982).

Rezerwowy wielkich drużyn Kazimierza Górskiego i Antoniego Piechniczka osiągnął w piłce reprezentacyjnej sukcesy, o których Lewandowski może tylko pomarzyć. A przecież tylko sukces z reprezentacją zapewnia piłkarską „nieśmiertelność”. Kim byłby Pelé bez trzech tytułów mistrza świata? Kim byłby Maradona bez cudownego mundialu z 1986 r.? Kim byłby Ronaldo bez mistrzostwa Europy i Messi bez zwycięstwa na ostatnim mundialu? Byliby wielcy, ale bez korony.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CERNOWSKI/D. JAROSŁAW

Naród się poruszył. Jakby ziemia drgnęła, a pod tą ziemią uśpiony smok. Naród amerykański otrząsnął i warknął. Zasyczał: MAMY DOŚĆ. I tyle wystarczyło, aby marksисти i zбочeńcy zaczęli się cofać do nor.

Wielkie firmy wycofują się z programu DEI (Diversity, Equity, Inclusion). Ford, Toyota, John Deere oraz Walmart. Ta potężna sieć sklepów miała wcześniej w ofercie zбочone ubranka dla dzieci oraz sponzorowała tęczowe przedsięwzięcia. Teraz – pod naporem opinii publicznej – zmienia kierunek i wycofuje trefny towar, aby nie wkurzać przebudzonego smoka. Po wyborach naród przestał pokornie znosić DEI. „Proszę wezwać kierownika tego stoiska! Co wy tu wystawiacie w dziale dziecięcym? Ja tu przyszedłem z dzieckiem! Proszę sprzątnąć te świństwa, bo was oskarżę o deprawację nieletnich!”. I... Walmart właśnie sprząta.

DEI to nie tylko towar, nie tylko kampanie reklamowe i nie tylko sponsorowanie zбочonych organizacji, lecz także polityka zatrudnienia. Kiedyś kadrowiec szukał fachowców z wykształceniem i umiejętnościami do wykonywania konkretnej roboty. Po wejściu DEI kadrowiec szuka według innego klucza – pierwszeństwo mają: kolor skóry inny niż biały, płęć dowolna, byle nie męska oraz przeróżne dziwactwa i dewiacje, a nawet choroby umysłowe. I nagle w recepcji eleganckiego hotelu pojawia się mężczyzna w damskiej sukience, a klienci mają się zachowywać normalnie wobec kogoś, kto normalny nie jest. DEI.

Zacznijmy od góry: rzecznikiem prasowym w Białym Domu została czarna lesbijka dlatego, że „zaliczała” dwie kategorie DEI – jest czarna i jest lesbijką. Poza tym jest niekompetentna, odpowiedzi na pytania dziennikarzy albo nie zna i mówi: „Wróć z tym do państwa jutro, bo teraz nie wiem”, albo nerwowo szuka ściąg w segregatorze, a potem czyta, co jej napisali. Dostała pseudonim Pani Segregator. Język angielski zna słabo (imigrantka haitańska), robi zenujące błędy gramatyczne, jest mało inteligentna, a nawet zwyczajnie głupia. Kompromituje kraj, a spotyka się z dziennikarzami z całego świata i reprezentuje prezydenta USA.

Na zasadzie DEI dobrano też Kamalę Harris – Biden jest biały to do pary z nim musiał być ktoś kolorowy; Biden jest mężczyzną to jego wice musiała być kobietą i w ten sposób znów mamy „zaliczone” dwie kategorie „niebiały” i „niemężczyzna”.

Naród warknął: MAMY DOŚĆ, zagłosował na program MAGA. Plan jest taki:

W pierwszym dniu urzędowania prezydent Trump zwolni z amerykańskiej armii wszystkich osobników „trans”. Jest ich obecnie 15 tys. Przyszli do woj-ska, by skorzystać z darmowej operacji „zmiany płci”. Podatnik musiał płacić milion dolarów za każdą taką operację plus koszt rehabilitacji.

W pierwszym dniu urzędowania zdelegalizowana zostanie cenzura. Wszyscy pracownicy federalni, którzy brali udział w cenzurowaniu

zostaną zwolnieni z pracy. Osoby z sektora prywatnego, które przykładały ręce do cenzury nie będą mogły pracować dla władz federalnych. Uniwersytety blokujące wolność słowa stracą dotacje federalne.

Deep state (aparatury rządniczy zarządzający zza pleców polityków) zostanie rozmontowany. Tysiące biurokratów zostaną zwolnione tak po prostu – bo nie są do niczego potrzebne. Ponad 100 tys. posad i urzędów zostanie wyniesionych poza Waszyngton i ulokowanych w odległych zakątkach USA. Od tej pory urzędnicy z różnych resortów nie będą siedzieć w jednym mieście, spotykać się po pracy i knuć intryg przeciw Ameryce i Amerykanom. To będą gigantyczne czystki i wymiana skorumpowanego aparatu państwowego na nowy – zatrudnimy świeże kadry na prowincji.

Granice zostaną zatrzaśnięte i staną się szczelne. Jedyną drogą do USA będzie droga legalna i strzeżone przejścia graniczne. Na towary z Meksyku i Kanady zostaną nałożone cła w wysokości 25 proc. Zostaną zdjęte, gdy Meksyk i Kanada zaczną pilnować granic od swojej strony. Premier Kanady zadzwonił do Trumpa w ciągu dwóch godzin od ogłoszenia tego planu, a potem w telewizji zawiadomił, że wykona, co trzeba.

Ktokolwiek przekroczy granicę nielegalnie, będzie deportowany i zostanie zakaz wstępu do USA przez 10 lat. Nielegalni imigranci będą masowo deportowani. Kto przebywa w Ameryce nielegalnie, niech lepiej opuści teren USA samodzielnie i dobrowolnie, zanim my go zła-

piemy, deportujemy i obłożymy karami.

Prezydent Trump będzie zabiegał o wprowadzenie poprawki konstytucyjnej, która ograniczy liczbę kadencji dla członków Kongresu. (Proszę sobie wyobrazić, jakby to było cudownie, gdyby w Polsce wprowadzono ograniczenie liczby kadencji dla posłów i senatorów – skończyłaby się klasa polityczna, na wejście do Sejmu mieliby wreszcie szansę jacyś inni zwyczajni obywatele, a nie wciąż te same gęby. Jarosław i Tusk skończyliby się po dwóch kadencjach i poszli na emeryturę).

Prezydent Trump będzie zabiegał o uchwalenie ustawy stanowiącej, że jedynymi płciami uznawanymi przez rząd Stanów Zjednoczonych są płęć męska i żeńska, przypisywane przy narodzinach. Koniec z ideologią gender w szkołach, w sporcie, w armii.

Prezydent Trump wyda rozkaz zbudowania Żelaznej Kopyły nad terytorium całych Stanów Zjednoczonych, podobnej do tej, którą ma Izrael.

Ameryka będzie korzystać ze wszystkich swoich zasobów: mamy węgiel – będziemy palić węglem, mamy ropę i gaz – będziemy korzystać z ropy i gazu. Wszelkie regulacje „klimatyczne” utrudniające obywatelom normalne życie i rozwój gospodarczy zostaną zniesione.

To tylko niewielki fragment planu. Plan jest gotowy do odpalenia na wszystkich możliwych frontach – tak aby przeciwnik nie nadązał ani komentować, ani reagować. Ich jest mniej niż nas. (W Polsce podobnie – klasa polityczna zarządzająca Polakami stanowi mniejszość. Gdyby naród warknął tak jak w USA, kasta polityczna musiałaby uciekać do nory). © ©

Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~1413~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: „CZAS BEZPRAWIA”
DOUGLAS BOYD: „EKSPANSJA KREMLA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

498,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 915zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

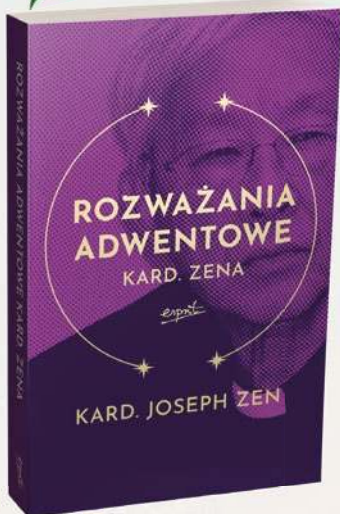
TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 93cebe61ae

WYDAWNICTWO ESPRIT POLECA

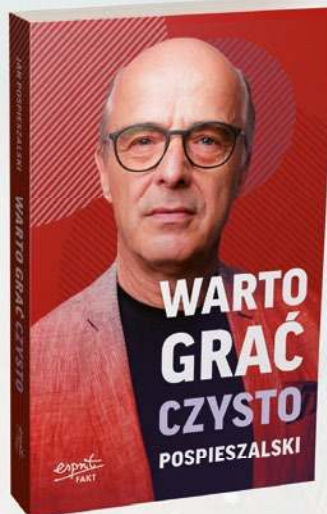
Wartościowe książki, idealne na prezent dla Twoich bliskich



Rozważania adwentowe kardynała Zena

~~39,90 zł~~ 27,90 zł

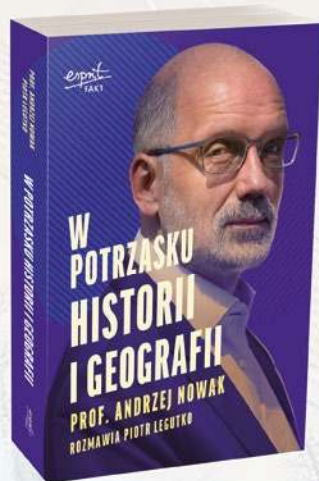
Kardynał Joseph Zen, znany ze swojej odwagi w głoszeniu Ewangelii i głębokiego zaangażowania w sprawy Kościoła, swoimi rozważaniami pomaga przygotować się do jednego z najważniejszych okresów liturgicznych – Bożego Narodzenia.



Warto grać czysto

~~54,90 zł~~ 38,90 zł

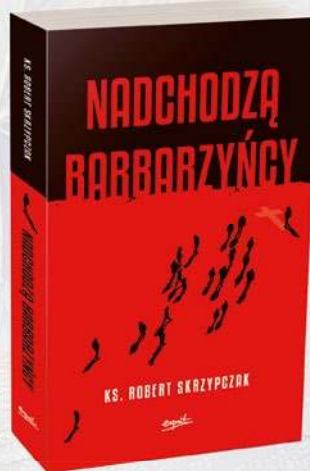
Jan Pospieszalski, znany polski muzyk, dziennikarz i publicysta, w swojej książce dzieli się osobistymi refleksjami na temat mediów, polityki i współczesnych wyzwań społecznych.



W potrzasku historii i geografii

~~54,90 zł~~ 38,90 zł

Najnowsza książka i pierwszy wywiad rzeka wybitnego znawcy historii Polski, **profesora Andrzeja Nowaka**. Historyk zabiera czytelników w fascynującą podróż przez wieki polskich zmagani z potężnymi sąsiadami, wewnętrznymi wyzwaniami i globalnymi trendami.



Nadchodzą barbarzyńcy

~~49,90 zł~~ 34,90 zł

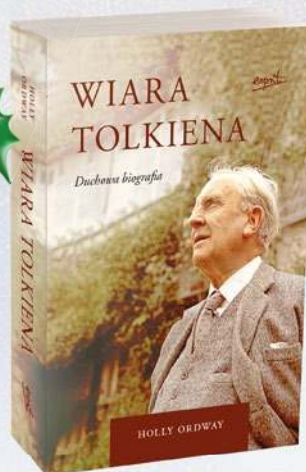
Ksiądz Robert Skrzypczak ukazuje, jak ważne jest, abyśmy – będąc świadkami tragicznych wydarzeń współczesnego świata – nie tracili z oczu większej, transcendentnej perspektywy. To nie tylko diagnoza naszych czasów, lecz także wezwanie do odnowy duchowej i moralnej – zanim będzie za późno.



Do zamówień od 99 zł
Kalendarz 2025
– Rok z ojcem Dolindo gratis!

Zamów na stronie
www.esprit.com.pl
lub po numerem telefonu:
12 262 35 51

esprit



Wiara Tolkiena

~~99,90 zł~~ 69,90 zł

Holly Ordway w swojej biografii skupia się na głęboko zakorzenionej wierze katolickiej Tolkiena, która kształtowała jego życie, wybory oraz sposób postrzegania świata. Bogato ilustrowana fotografiami książka jest nie tylko jego biografią duchową, ale także studium ukazującym, jak przenikały się jego wiara i twórczość.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego